

Jiddu KRISHNAMURTI
UWAGI O ŻYCIU

t. I

Tłumaczyła Wanda Dynowska
(42 spośród 88 rozdziałów oryginału)

Commentaries on Living. From the Notebooks of J. Krishnamurti, t. 1, wyd. D.

Rajagopal,

Victor Gollancz, London 1956.

Uwagi o ludziach i życiu. Biblioteka Polsko-Indyjska, Madras 1959; wyd. 2

Bombay 1970.

SPIS TREŚCI

(numery rozdziałów wg wydania angielskiego)

1. [Trzech świątobliwych egoistów](#)
2. [Utożsamianie się](#)
3. [Plotki i zgryzoty](#)
4. [Miłość a myśl](#)
5. [Samotność a osamotnienie](#)
7. [Bogaty i biedny](#)
8. [Obrzędy](#)
9. [Wiedza](#)
10. [Zacność](#)
11. [Polityka](#)
12. [Doznawanie](#)
13. [Cnota](#)
14. [Prostota serca](#)
15. [Oblicza jednostki ludzkiej](#)
16. [Sen](#)
17. [Miłość w stosunkach wzajemnych](#)
18. [Znane i nieznanne](#)
19. [Szukanie prawdy](#)
20. [Wrażliwość](#)
22. ["Ja"](#)
23. [Wierzenia](#)
24. [Cisza](#)
25. [Wyrzeczenie się dostatku](#)
26. [Wrażenia i ich powtarzanie](#)
29. [Medytacja](#)
30. [Złość](#)
32. [Oddzielność](#)
33. [Władza](#)
34. [Wierność zasadom](#) (przełożył Szczęsny Górski)
36. [Słowa](#)
37. [Pojęcie a fakt](#)
39. [Samoobrona](#)
41. [Świadomość \(Awareness\)](#)
42. [Osamotnienie](#)
43. [Konsekwentność](#)
49. [Problemy i od nich ucieczka](#)

50. [To co jest a co powinno być](#)
52. [Zazdrość](#)
53. [Bezpośredniość](#)
55. [Wyzwanie i odpowiedź](#)
56. [Wyłączność w posiadaniu](#)
57. [Poczucie godności własnej](#)
 64. [Płomień a dym](#)
 - 65.

Jiddu KRISHNAMURTI
[UWAGI O ŻYCIU](#)

I. 1. TRZECH ŚWIĄTOBLIWYCH EGOISTÓW

Przed paru dniami przyszło do mnie trzech świętobliwych egoistów. Pierwszy był *Sanjasinem*, (tj. człowiekiem, który się wyrzekł świata); drugi orientalistą, a zarazem wyznawcą wszechludzkiego braterstwa; trzeci pracował z całym przekonaniem nad urzeczywistnieniem wspaniałej utopii. Każdy z nich był całkowicie oddany swej pracy i patrzył z góry na działalność i postawę życiową innych ludzi, każdy też czerpał natchnienie i siły z własnych przekonań. Wszyscy trzej byli namiętnie przywiązani do swych poglądów, a w każdym na swój sposób zaznaczała się dziwna bezwzględność.

Mówili mi - zwłaszcza ów utopista, - iż gotowi są wyrzec się wszystkiego dla swych przekonań, nawet siebie i przyjaciół poświęcić. Byli na pozór łagodni i skromni - najbardziej ten od braterstwa - a jednak była w nich jakaś twardość, nieczułość serca i owa szczególna nietolerancja, właściwa ludziom którzy się czują czymś lepszym od innych. Uważali się za wybranych, którzy są powołani do wskazywania drogi innym bowiem sami posiadli wiedzę i są pewni swej słuszności.

Sanjasin w toku poważnej rozmowy, stwierdził że przygotowuje się do następnego żywota. Obecny - mówił - może mu dać niewiele, albowiem potrafił już przeniknąć na wskroś wszystkie światowe ułudy i oswobodzić się od doczesnych spraw. Przyznawał iż ma pewne wady, oraz trudności w koncentracji, ale - dodał - w następnym wcieleniu musi dorosnąć do ideału, który już dziś widzi przed sobą. Całe jego zainteresowanie i energia skupiały się w przekonaniu iż ma się stać kimś wybitnym w następnym swym życiu. Rozmawialiśmy dość długo a on wciąż podkreślał z naciskiem doniosłość jutra, przyszłości. Przeszłość - mówił - istnieje tylko w związku z przyszłością, a terażniejszość jest jeno przejściem w przyszłość; "dziś" może być ciekawe tylko przez wzgląd na jutro. Gdyby to jutro nie istniało, po cóż byśmy mieli podejmować jakiegokolwiek wysiłki? Można by równie dobrze wegetować, lub jak ciele trwać w miłym spokoju.

Całe życie było dlań nieustannym przesuwaniem się przeszłości w przyszłość poprzez chwilową terażniejszość; powinniśmy więc używać jej - mówił, - aby się stać w przyszłości człowiekiem wybitnym - silnym, rozumnym, współczującym. Zarówno terażniejszość, jak przeszłość przemijają, ale w jutrze dojrzewa owoc. Podkreślał wciąż iż dziś jest jeno szczeblem i nie należy o nie zbytnio się troszczyć, ani mu nadawać wielkiego znaczenia, trzeba natomiast widzieć jasno ideał jutra przed sobą i wytrwale ku niemu

dążyć, a osiągnie cię cel. Teraźniejszość niecierpliwiła go i męczyła niewymownie.

Wyznawca braterstwa był bardziej wykształcony, używał też bardziej poetycznego języka; umiał świetnie operować słowami, mówił łagodnie, miękko i przekonująco. On również stworzył idealny obraz siebie w przyszłości. Musi stać się nie byle kim. Idea ta wypełniała jego serce, toteż już zawczasu starał się gromadzić swoich przyszłych uczniów. Śmierć - mówił - jest piękna, gdyż zbliża nas do tej boskiej wizji nas samych w przyszłości; a myśl o niej czyni nam życie w tym brzydkim i smutnym świecie znacznie łatwiejszym.

Pragnął gorąco przetwarzać i upiększać świat i pracował szczerze dla urzeczywistnienia braterstwa ludzi. Uważał iż ambicja wraz z nieodłącznym od niej okrucieństwem i amoralnością jest nieodzowna na tym świecie gdzie wszak należy niejednego dokonać; twierdził również, iż chcąc prowadzić różne organizacyjne prace, trzeba - niestety - mieć dość twardą rękę. Praca nasza jest ważna, - mówił - gdyż ma pomagać ludzkości, więc każdy kto się jej przeciwstawia musi być odsunięty - oczywiście łagodnie. Organizacja stworzona dla wykonywania tej pracy ma najwyższą wartość, toteż nie możemy dopuścić aby jej utrudniano. "Inni mają swoje drogi i metody - dodał, - ale w istocie nasza jest najważniejsza, a każdy kto nam w tej pracy przeszkadza, nie jest jednym z nas."

Utopista był dziwnym połączeniem idealisty i człowieka na wskroś praktycznego. Ewangelią jego nie było dawne, lecz nowe; w to nowe wierzył bez zastrzeżeń. Twierdził, iż wie co przyszłość niesie, albowiem ta nowa ewangelia dokładnie ją, przepowiedziała. Planem jego było najpierw szerzyć zamęt, a potem organizować i przeprowadzać swoje. Teraźniejszość - mówił - jest zgniła, trzeba ją zburzyć doszczętnie i dopiero po zniszczeniu jej coś nowego zbudować. Trzeba poświęcić teraźniejszość dla jutra; człowiek przyszłości jest ważny, los człowieka dzisiejszego ma małe znaczenie. "Wiemy dobrze, jak stworzyć tego człowieka przyszłości" - mówił - "możemy z łatwością ukształtować jego umysł i urobić serce, ale aby dokonać czegoś dobrego, musimy wprawdzie zdobyć władzę; gotowi jesteśmy poświęcić siebie i innych, aby stworzyć nowy porządek na świecie; zniszczymy każdego, kto nam stanie na drodze, bowiem jakość środków nie ma żadnego znaczenia; cel uświęca wszystkie środki".

"Dla osiągnięcia ostatecznego celu tj. pokoju, można używać każdej formy gwałtu i przymusu; dla zapewnienia swobody jednostce w przyszłości, ucisk i tyrania są dziś nieuniknione. Gdy pochwycimy władzę w swe ręce," - stwierdzał - "będziemy używali wszelkiego rodzaju przymusu, byle za wszelką cenę zbudować nowy porządek na świecie; by zorganizować bezklasowe społeczeństwo, nie mające żadnych kapłanów. Nie odstępimy nigdy od naszej podstawowej tezy, zjednoczyliśmy się z nią całkowicie, ale będziemy zmieniać strategię i taktykę w zależności od zmieniających się warunków. Planujemy, organizujemy i działamy w jednym celu: by zniszczyć człowieka dzisiejszego, a stworzyć człowieka jutra".

Sanjasin, wyznawca braterstwa i utopista, wszyscy trzej żyją dla jutra, dla przyszłości. Nie mają, w zwykłym tego słowa znaczeniu, wygórowanych ambicji, nie pragną zaszczytów, bogactwa, sławy czy uznania; ambicje ich są o wiele subtelniejsze. Utopista utożsamiał się z pewną grupą i wierząc w jej siłę był pewien iż jest zdolna nadać nowy kierunek życiu całego świata; wyznawca

braterstwa marzył o wzniesieniu się na wyżyny; a *Sanjasin* o osiągnięciu swego celu - doskonałości. Wszyscy trzej są pochłonięci swym własnym stawaniem się, rozwojem i ekspansją swego "ja". I nie dostrzegają że właśnie te pragnienia są zaprzeczeniem pokoju, braterstwa, prawdziwego szczęścia.

Ambicja w jakiegokolwiek formie - żywiona w imieniu grupy, czy z pragnienia osobistego zbawienia lub duchowych osiągnięć - jest tłumieniem i odwlekaniem bezpośredniego czynu. Pragnienie wybiega zawsze w przyszłość; chęć stania się czymś jutro, kiedyś, w przyszłości, hamuje czyn w "dziś". A właśnie "dzisiaj" o wiele więcej znaczy aniżeli jutro; chwila obecna zawiera całość czasu; dogłębne zrozumienie tego wyzwala nas z więzów czasu. Stawanie się czymś dokonuje się zawsze w czasie, jest jego przedłużaniem, a więc i przedłużaniem męki. Stawać się jest czymś zgoła innym aniżeli *być*. Być można tylko w teraz, a wejść w stan *bytu* jest największą z przemian. Stawanie się czymś jest jeno formą ciągłości, przedłużaniem czasu; a przemiana dogłębna i całkowita, może dokonać się tylko w "*teraz*"; tylko w teraz można *być*.

I. 2. UTOŹSAMIANIE SIĘ

Co jest przyczyną, że identyfikujemy się z czymś poza sobą, z grupą, organizacją, narodem? Dlaczego nazywam siebie chrześcijaninem, hindusem czy buddystą, albo zostaję członkiem którejś z niezliczonych sekt? Należymy do tej czy też innej, religijnej albo politycznej grupy, dzięki tradycji lub przyzwyczajeniu, dzięki własnemu impulsowi lub przesądom, czy też z lenistwa albo naśladownictwa. A wzorując się na innych utożsamiamy się z daną grupą, co kładzie kres wszelkiej twórczej myśli i rozumieniu; i człowiek staje się pionkiem w rękach partyjnego czy religijnego kierownika, albo swego ulubionego przywódcy.

Parę dni temu ktoś powiedział iż czuje się wyznawcą Krishnamurtiego, o kimś innym zaś wspominał, że tamten należy do innej grupy. Ale mówiąc to nie zdawał sobie zupełnie sprawy, co znaczy taka przynależność; a nie był to wcale człowiek niemądry, był kulturalny, odcytany, rozsądny, nie był też sentymentalny i nie traktował spraw emocjonalnie, raczej odwrotnie, patrzył jasno i trzeźwo.

Dlaczegoż został wyznawcą, Krishnamurtiego ? Najpierw szedł za wzorem innych, należał do rozmaitych grup i organizacji, aż wreszcie poczuł się nimi znudzony i znalazłszy nowego człowieka stał się jego wyznawcą i z nim się utożsamiał. Ze słów jego można było wywnioskować że swe poszukiwania uważa za skończone. Zarzucił kotwicę, i na tym kończy swe wędrówkę odkrywczą. Wybrał i nic już nie będzie mogło ruszyć go z tego stanowiska. Zapuści teraz wygodnie korzenie i będzie stosował się z żarliwością do wszystkiego co było już, lub jeszcze będzie powiedziane.

Czy takie utożsamianie się z innym człowiekiem jest dowodem miłości? Czy obejmuje ono odkrywcze eksperymentowanie? Czy może odwrotnie, wszelkie utożsamianie się kładzie kres miłości i samodzielnemu odkrywaniu? Wszak identyfikowanie się z czymkolwiek bądź jest formą posiadania, stwierdzaniem własności, a czyż uczucie posiadania nie jest zaprzeczeniem miłości? Uważać coś za swą własność to upewnić się w poczuciu bezpieczeństwa, otaczać się murem, który nas chroni i czyni niedosięgalnym. W każdym utożsamianiu się kryje się zawsze mniej lub bardziej subtelny opór, a czyż miłość jest rodzajem samoobronnego oporu? Czy miłość może w ogóle

istnieć tam gdzie jest samoobrona?

Miłość jest bezbronna, giętka, odbiorcza, jest najwyższą wrażliwością, a identyfikowanie się niweczy wszelką wrażliwość; nie idzie ono nigdy w parze z miłością, jedno wyklucza drugie. Identyfikowanie się z czymkolwiek bądź jest w samym swym założeniu procesem myślowym, który dąży do zabezpieczenia się i ekspansji; w tym procesie stawania się czymś, człowiek musi bronić się i sprzeciwiać, posiadać i odrzucać; może w nim zdobyć więcej sprytu i twardości, ale cóż to ma wspólnego z miłością? Utożsamianie się niweczy wolność, a tylko w pełnej swobodzie może istnieć ta najwyższa forma wrażliwości jaką jest miłość.

Czy identyfikowanie się z czymś jest potrzebne aby móc odkrywać i eksperymentować? Czy sam akt poddania się czemuś, czy komuś, nie ucina wszelkiej możliwości dociekliwego badania? Nie można doznać szczęścia jakie rodzi się z prawdy, gdy nie eksperymentujemy w odkrywaniu siebie. A identyfikowanie się uniemożliwia odkrywczność; jest ono jedną z odmian lenistwa; jest jakby doświadczeniem zastępczym - poprzez kogoś innego - a więc czymś sztucznym i nieprawdziwym.

Aby móc samemu doświadczać, trzeba skończyć z wszelkim utożsamianiem się, jak i ze strachem; lęk uniemożliwia prawdziwe doznania. A u podłoża wszelkiego utożsamiania się - z człowiekiem, grupą, ideologią, czy teorią - kryje się zawsze strach. Lęk zawsze się czemuś przeciwstawia, coś tłumi, budzi chęć samoobrony; a w tym stanie czyż można się puścić na nieznaną morza? Nie da się znaleźć prawdy i szczęścia jeżeli nie podejmiemy takiej odkrywczej wędrówki, badając drogi i działania naszego "ja". Wszak nie można odpłynąć od brzegu stojąc na kotwicy. Utożsamianie się jest schronem. A wszelkie schronienie wymaga obrony; a to, co jest bronione niszczy się szybko. Identyfikowanie się z czymkolwiek sprowadza nieodmiennie swe własne zniszczenie; stąd powstają ustawiczne starcia i konflikty pomiędzy różnymi wiernościami.

Im bardziej staramy się utożsamić z czymś albo odwrotnie walczymy przeciw temu, tym większe powstają w nas przeszkody ku rozumieniu. Gdy jasno zdamy sobie sprawę z całego procesu utożsamiania się z różnymi, zarówno zewnętrznymi jak wewnętrznymi, czynnikami i zrozumiemy że jego zewnętrzne wyrazy są tylko projekcją naszej własnej wewnętrznej chęci i potrzeby, dopiero wówczas prawdziwe odkrywanie i radość stają się możliwe. Ale człowiek, który się z czymś na stałe utożsamił, nigdy nie pozna wolności. A tylko w wolności jawi się Prawda.

I. 3. PLOTKI I ZGRYZOTY

Jakże uderzająco są do siebie podobne! Jedne i drugie rodzą się z niespokojnej, rozproszonej myśli. Umysł pełen niepokoju i powierzchownej ruchliwości lubuje się w różnorodnych i ciągle zmieniających się wyrazach i działaniach; musi być wciąż czymś zajęty, pożąda coraz silniejszych wrażeń i zmiany przedmiotów przyciągających jego uwagę; a plotki i obmowy tego wszystkiego mu dostarczają.

Zajmowanie się plotkami jest antytezą wrażliwości i głębszego odczuwania. Mówienie o innych, czy to źle czy dobrze, jest ucieczką od siebie, a ta z kolei staje się przyczyną rozedrgania myśli. Wszelka ucieczka jest z samej swej natury pełna niepokoju. Większość ludzi zajmuje się z upodobaniem cudzymi

sprawami; wyraża się to między innymi w chętnym czytaniu niezliczonych czasopism, które wypełniają całe szpalty opisami kradzieży, zabójstw, rozwodów itp.

Interesuje nas co inni o nas myślą, chcemy więc i o nich wszystko wiedzieć; liczymy się z ich opinią, stąd powstają różne, brutalne i subtelne, formy snobizmu i hołdowania autorytetom. I rozpraszamy się coraz bardziej, uzależniając się od rzeczy zewnętrznych; a wewnątrz szerzy się w nas pustka. Im więcej uwagi kierujemy ku zewnątrz, tym więcej potrzebujemy wrażeń i rozrywek, a ich wpływ czyni całą psychikę niespokojną, a myśl rozproszoną, nie zdolną do głębszych odkryć i dociekań.

Zajmowanie się plotkami to wyraz rozedrgania myśli; ale samo powstrzymywanie się od nich nie dowodzi że umysł jest cichy. Cisza i spokój umysłu nie rodzą, się z jakiegokolwiek zaprzeczenia czy wyrzeczenia się, przychodzą one wraz z rozumieniem tego co *jest*. Aby zrozumieć to co *jest* trzeba być niesłuchanie czujnym i ogarniać w lot każdą rzecz, bowiem to co *jest* nie pozostaje w bezruchu, nie jest nigdy statyczne.

Większość z nas nie czułaby wcale że żyje gdybyśmy się wciąż o coś nie kłopotali i nie martwili; nieustanne borykanie się z trudnościami jest dla wielu ludzi jakby potwierdzeniem ich własnego istnienia. Po prostu nie możemy sobie wyobrazić życia bez jakiejś troski czy kłopotu, i zdaje się nam że im więcej nas pochłania jakaś sprawa, tym żywsi jesteśmy i bardziej aktywni. A przecie nieustanne naprężenie myśli zajętej jakimś problemem -najczęściej przez nią samą stworzonym - tylko nuży umysł i stępią wrażliwość.

Co jest przyczyną tego nieustającego zaabsorbowania myśli jakąś trudnością lub zagadnieniem? Czy kłopotanie się, jakby ciągle przeżuwanie, trosk i zmartwień może coś pomóc i rozwiązać? Czy też odpowiedź na nurtujące nas zagadnienie przychodzi sama gdy myśl się ucisza? Ale większości ludzi spokój i cisza myśli wydają się czymś przerażającym; boją się takiej ciszy w sobie, bo któż wie co się z niej może nagle, nieoczekiwanie wyłonić, a ciągle troskanie się o coś jest przed tym ochroną. Psychika która się obawia odkrywać w sobie nieoczekiwane musi z konieczności utrzymywać postawę obronną, a nieustanne kłopotanie się jest jej samoobroną.

Powierzchniowe warstwy naszego umysłu stały się nazbyt ruchliwe i rozedrgane pod wpływem otaczających warunków, przyzwyczajień, oraz ciągłego naprężenia; życie współczesne wzmaga tę zewnętrzną ruchliwość i rozproszenie, i to się zmienia również w formę samoobrony. Wszelka postawa obronna jest rodzajem oporu i utrudnia *rozumienie*.

Kłopotanie się o coś jak i plotkowanie jest na pozór wyrazem żywego i głębszego zainteresowania, ale przy bliższym badaniu przekonujemy się iż wcale nie wynika z żywości odczuwania, lecz po prostu z chęci wrażeń i podnieć; te wciąż się zmieniają dlatego też przedmioty naszych trosk jak i obmów są coraz to inne. Ale ta zmiana jest tylko zmodyfikowane formą tego samego. Zarówno plotki jak i zgryzoty mogą zniknąć dopiero wówczas, gdy zrozumiemy przyczyny rozproszenia myśli. Samoopanowywanie, ćwiczenia i urabianie myśli nie sprowadzą spokoju, tylko stępią i zacieśnią umysł i zmniejszą naszą wrażliwość.

Ciekawość nie prowadzi do rozumienia, przychodzi ono wraz z poznawaniem siebie. Człowiek który cierpi nie jest niczego ciekaw; sama ciekawość wraz z jej spekulatywnymi odmianami, stanowi przeszkodę w samopoznaniu.

Spekulacje myślowe jak i ciekawość dowodzą tylko niepokoju i rozedrgania myśli; a rozproszony choćby najzdolniejszy umysł niweczy szczęście i rozumienie.

I. 4. MIŁOŚĆ A MYŚL

Myśl, z całą swą emocjonalną zawartością, to nie miłość. Myśl nieodmiennie miłości zaprzecza, gdyż podstawą jej jest pamięć, a miłość nie ma nic z pamięcią wspólnego. Gdy myślimy o kimś kochanym, owa myśl nie jest miłością. Możemy sobie przypominać przyzwyczajenia, ruchy, sposób bycia, upodobania czy antypatie przyjaciela, i myśleć o miłych lub smutnych chwilach czy zdarzeniach w naszym wzajemnym stosunku, ale obrazy, które nam pamięć podsuwa, to nie miłość. Myśl z samej swej natury zawsze dzieli i wyodrębnia. Poczucie czasu i przestrzeni, rozłąki i bólu rodzą się wszystkie z myślowego procesu, a miłość może istnieć tylko tam, gdzie ten proces ustaje.

Intelekt nieuniknieniem wytwarza poczucie własności, ów zmysł posiadania, z którego świadomie lub nieświadomie rodzi się zazdrość; a gdzie jest zazdrość tam nie może być miłości; a jednak większość ludzi uważa właśnie zazdrość za wyraz miłości. Zazdrość i zawiść są zawsze wytworem myśli, reakcją emocjonalnych składników intelektu. Gdy poczucie posiadania lub bycia posiadany, napotyka zaporę i zahamowanie, tworzy się pustka, którą wypełnia zazdrość zamiast miłości. Tyle zawiłych komplikacji i cierpienia powstaje właśnie dlatego że myśl chce grać rolę miłości.

Gdy nie myślimy często o kimś bliskim jesteśmy skłonni przypuszczać że go nie kochamy; ale czy *myślenie* o kimś jest miłością? Gdybyśmy na przykład spostrzegli że nie myślimy o przyjacielu, którego - wedle naszego przekonania - kochamy, byłibyśmy tym niemal przerażeni, nieprawdaż? Podobnie gdybyśmy nie zwracali się myślą do kogoś drogiego który umarł, wyrzucilibyśmy sobie oziębłość, obojętność, brak wierności, i w tym poczuciu staralibyśmy się specjalnie zwracać ku niemu myśl, stawialibyśmy przy sobie i wpatrywali się w jego fotografie, lub we własne o nim wspomnienia - czyli obrazy myślą lub ręką ludzką stworzone; - ale wypełniać serce obrazami wyobraźni to nie zostawiać w nim miejsca na miłość. Gdy przyjaciel jest z nami nie *myślimy* o nim, prawda? Tylko w jego nieobecności pamięć przywołuje sceny i zderzenia przeżytych z nim, a minionych chwil; czyli poczyna odtwarzać to, czego już nie ma, co umarło. I to ożywianie nieistniejącej, martwej przeszłości, jakże często nazywamy miłością. - Czyli dla wielu ludzi miłość jest ożywianiem tego, co jest już martwe; a to jest zaprzeczaniem samemu życiu. Żyjemy więc wciąż martwą przeszłością, tym czego nie ma, toteż sami jesteśmy jakoby martwi, choć nazywamy to miłością.

Wszelkie procesy myślowe zaprzeczają zawsze miłości. To myśl, a nie miłość, stwarza różne komplikacje emocjonalne. Myśl jest największym wrogiem miłości. Oddziela to, *co jest*, od tego *co powinno być*; i na tym podziale i odróżnieniu opiera się cała nasza moralność; ale zarówno ludzie moralni jak i amoralni, nie wiedzą, czym jest miłość. Wskazania moralne stworzone przez intelekt, aby utrzymać w pewnych ramach wzajemne stosunki ludzkie w społeczeństwie, nie mają nic wspólnego z miłością; stanowią raczej proces tężenia, na kształt twardniejącego cementu.

Myśl nie jest nigdy drogą do miłości; nie może budzić jej ani rozwijać, bowiem

miłości nie da się hodować jak roślin w ogrodzie. Sama chęć wyrabiania jej i kultywowania jest procesem myślowym.

Każdy kto potrafi z pewną dozą czujności obserwować siebie, stwierdzi z łatwością, jak wielką rolę odgrywa w jego życiu myśl. Ma ona oczywiście swe właściwe miejsce, spełnia swoje zadanie, ale nie ma ono nic wspólnego z miłością. Tylko to, co ma jakiś związek z myślą, może być przez myśl rozumiane; a tego, co nie ma z nią *żadnego* związku, intelekt nigdy nie zdoła uchwycić. Spytacie, czymże tedy jest miłość? Miłość jest stanem duszy, w którym myśl całkowicie ucicha. Ale samo określanie miłości jest procesem intelektualnym, więc nie ma z nią nic wspólnego.

Trzeba zrozumieć myśl samą w sobie, a nie starać się schwytać miłość myślą. Jednak samo odsunięcie wszystkich myśli nie sprowadza jeszcze miłości. Można uwolnić się od intelektualizmu, gdy zrozumimy w pełni prawdziwe znaczenie procesów myślowych; a na to potrzeba głębokiego rozumienia siebie; płytkie i powierzchowne o sobie twierdzenia na nic się tu nie zdadzą. Umiejętność prawdziwej medytacji, a nie przyzwyczajenia myślowe, jasna świadomość i czujność wobec siebie, a nie określenia i definicje, odsłaniają nam istotę procesów myślowych. A bez doświadczalnego ich poznania miłość się nie objawi.

I. 5. SAMOTNOŚĆ A OSAMOTNIENIE

Słońce już zaszło, a sylwetki drzew rysowały się wyraźnie na tle ciemniejącego nieba. Szeroka, majestatyczna rzeka płynęła spokojnie i cicho; księżyc podnosił się znad horyzontu, wychylając się spoza pni dwóch wielkich drzew, ale długie cienie nie kładły się jeszcze na ziemię.

Szliśmy spadzistym brzegiem rzeki, a potem ścieżyną biegnącą wzdłuż zielonych, pszenicznych pól. Starożytna to była droga; liczyła wiele stuleci, tysiące ludzi od wieków nią chadzało; była bogata w tradycję i ciszę. Biegła między polami, wśród wielkich mangowych drzew i opuszczonych świątynek. Duże ciemniejące plamy ogrodów zaznaczały się wyraźnie w zbliżającym się zmierzchu, a urocza woń groszków pachnących unosiła się w powietrzu. Ptaki układały się po gniazdach do snu, a w dużym stawie odbijały się pierwsze gwiazdy.

Przyroda nie była słodka ani łaskawa w ten wieczór. Drzewa spowite milczeniem i mrokiem wydawały się surowe i skupione w sobie. Minęło nas na rowerze paru żywo rozprawiających wieśniaków i znów zapanowała ta sama głęboka cisza, spokój który nastaje, gdy rzecz wszelka zdaje się samotna i w sobie skupiona.

Ale samotność ta nie jest samotnością bolesną ani przerażającą, jest ona inna. Jest to samotność samego istnienia, niczym nie skażona, bogata pełnią, doskonała. To drzewo tamaryszku opodal, samo w sobie skupione, jest tylko i jedynie sobą. Podobnie samą, zwartą i całkowitą w sobie jest *ta* samotność. Człowiek jest sam - jak ogień, jak kwiat, ale nie zdaje sobie sprawy z ogromu i nieskazitelnosci tego stanu. Tylko trwając w takiej samotności można wejść w kontakt i prawdziwe obcowanie ze wszystkim co nas otacza. *Ta* samotność to nie zamykanie się, ani odpychanie czegokolwiek bądź. Jest ona oczyszczeniem, uwolnieniem się od wszelkich motywów, pragnień, dążeń i celów. Samotność ta nie jest wytworem umysłu ani jego celem; nie można jej

chcieć. Gdy taka chęć się w nas pojawia jest ona tylko ucieczką od smutku iż nie potrafimy z niczym wejść w żywy kontakt, w prawdziwe zjednoczenie.

Samotność bolesna to osamotnienie, z jego lękiem i udręką, nieunikniony skutek działania naszego małego "ja". Właśnie ten proces odosabniania się - czy to ograniczony i ciasny, czy w swym zasięgu szeroki - stwarza zamęt, chaos, konflikty i cierpienia. Odosabnianie się nie może nigdy zrodzić prawdziwej samotności; musi ono całkowicie zniknąć, aby mogła się pojawić samotność istotna. Ta jest jednolita i niepodzielna; a odosabnianie się jest zawsze dzieleniem i wyodrębnianiem. To, co jest samo w sobie samotne, jest zarazem giętkie, a więc wytrzymałe. Tylko owo samoistnie samotne może wejść w kontakt z tym, co jest bezgraniczne i bezprzyczynowe. Dla człowieka który, zna *taką* samotność - życie jest wieczne, nie ma dlań śmierci. Bo to, co jest samoistne nie może przestać *być*.

Księżyc wznosił się teraz ponad wierzchołki drzew, a cienie stawały się coraz ciemniejsze i głębsze. Pies gdzieś zaszczekał gdyśmy przechodzili koło wioski, wracając brzegiem rzeki. Nurt jej był tak cichy, iż chwycił odbicie gwiazd i świateł wielkiego mostu w oddali. Na wysokim brzegu stały dzieci; aż do nas dobiegał ich śmiech i kwilenie jakiegoś niemowlęcia. Rybacy wytrząsali i układali swe sieci. Nocny ptak cicho przeleciał. Z drugiego brzegu dolatywała tęskna pieśń, słowa jej brzmiały wyraźnie i przejmująco. Oto znów ta wszechprzenikająca samotność życia, które samo w sobie skupione trwa.

BOGATY I BIEDNY

Było gorąco i parno, a hałas dużego miasta nappełniał powietrze. Ciepły wiatr niósł się od morza, a od czasu do czasu zalatywał zapach benzyny i smoły. Choć czerwone słońce zapadało już w morze, upał jeszcze nie zelżał. Grupa osób która zapełniała przed chwilą pokój, rozeszła się, a my wyszliśmy na ulicę.

Papugi jak lśniące zielone błyskawice powracały właśnie na nocne legowiska; wylatują one wczesnym rankiem kierując się ku północy, do sadów i pól zielonych, w szeroką przestrzeń, a nad wieczorem wracają by spędzić noc wśród gałęzi miejskich drzew. Ciekawy jest ich lot, nigdy równy, raczej gwałtowny, zuchowaty, hałaśliwy. Nie lecą wprost przed siebie, jak inne ptaki, a zataczają kręgi, to w lewo to w prawo, lub spadają nagle w listowie drzew. Ze wszystkich ptaków mają chyba najbardziej niespokojny lot; ale jakie są piękne, o tym połyskliwym złoto-zielonym upierzeniu i czerwonym dziobie! Sępy szpetne i ciężkie, długo krążyły nad drzewami aby wreszcie usadowić się na palmach do snu.

Zbliżał się do nas jakiś człowiek grając na fujarce; szedł pod górę nie przestając grać. Poszliśmy za nim, Skręcił w jedną z małych uliczek wciąż grając. Jakże dziwnie brzmiała ta pieśń fujarki wśród gwaru miasta; dźwięki jej przenikały głęboko w serce. Było w nich coś z prawdziwego piękna.

Idąc w pewnym oddaleniu za grajkiem, minęliśmy parę wąskich uliczek, aż znaleźliśmy się na szerszej i lepiej oświetlonej. Na brzegu chodnika siedziała tu grupa ludzi, grajek przyłączył się do niej, a my uczyniliśmy to samo. I oto siedzieliśmy wokół niego, a on grał. Słuchaczy stanowili przeważnie posługacze, kierowcy taksówek i stróże nocni, było też kilkoro dzieci i opodal parę psów. Samochody mknęły ulicą; w jednym z nich szofer był przy

kierownicy, a w jasno oświetlonym wnętrzu siedziała pięknie ubrana dama. Drugi samochód przystanął, kierowca wyskoczył i przyłączył się do naszej grupy. Wszyscy rozmawiali głośno i wesoło, śmiejąc się i gestykulując; ale pieśń fujarki nie przerywała się ani na chwilę; a w tonach jej było coś porywającego.

Wkrótce odeszliśmy w stronę morza, szeroką drogą, mijając rzęsiście oświetlone domy ludzi zamożnych. Bogatych otacza zazwyczaj swoista, im tylko właściwa atmosfera; choćby byli najbardziej kulturalni, delikatni, o starożytnych tradycjach i wielkiej ogładzie, cechuje ich zawsze jakaś wyniosłość i nieprzystępność, owa niezachwiana pewność siebie i jakaś twardość, którą tak trudno przełamać. To nie oni posiadają bogactwo, a bogactwo posiadało ich; a to w swych skutkach jest gorsze od śmierci. Filantropia jest wyrazem ich pychy i zarozumiałości; mniemają iż są włodarzami swych dóbr, dają dużo na cele humanitarne, ustanawiają fundacje, tworzą stypendia, więc uważają się za dobroczyńców, budowniczych i twórców. Wznoszą kościoły i świątynie. Ale ich bóg jest bogiem ich złota. Wobec tak wielkiej nędzy i poniżenia wokoło, trzeba doprawdy być bardzo nieczułym aby móc być bogaczem. Czasem przychodzą pytać, dyskutować, dociekać jak znaleźć prawdę. Ale ludziom bardzo bogatym jak i bardzo ubogim jest niezmiernie trudno znaleźć Rzeczywiste. Biedni pożądamy bogactw i władzy, a bogaci są schwytni w tryby własnego postępowania; a jednak ludzą się że mogą do Prawdy się zbliżyć. Spekulują nie tylko w handlu, ale i na temat ostatecznej Prawdy; zdają się brać lekko tak jedno jak drugie; ale mogą osiągnąć tylko to, co się ukrywa w ich własnym sercu, Ich wierzenia i obrzędy, nadzieje i obawy nic mają nic wspólnego z Rzeczywistym, gdyż w sercach ich panuje pustka. Im większe są zewnętrzne, na pokaz roztańczone zbytki, tym większe wewnętrzne ubóstwo.

Wyrzec się dóbr, wygod i stanowisk i odejść od świata - jest rzeczą stosunkowo łatwą; ale na to by odrzucić żądę bycia czymś i chęć stawiania się ciągle *większym*, potrzeba mądrości i rozumienia. Władza jaką daje bogactwo jest przeszkodą w rozumieniu Prawdy, podobnie jak i siła płynąca z różnych uzdolnień i talentów. Swoisty rodzaj pewności siebie, jaki temu towarzyszy, jest najoczywistej przejawem naszego "ja". Ale to poczucie władzy i pewności siebie można przecie odrzucić, choć nie jest to łatwe. Natomiast znacznie trudniejsze, bardziej subtelne i utajone są impulsy i żądza władzy kryjące się w chęci stawiania się czymś. Ekspansja, powiększanie swego znaczenia w jakiegokolwiek formie - czy to przez bogactwo, czy przez cnotę - jest zawsze procesem agresywnym, wytwarzającym tarcia i antagonizmy. Intelpekt obciążony żądzą stawiania się nie może być nigdy spokojny; spokoju nie zdobywa się przez ćwiczenia i praktyki, nie jest on również wytworem czasu. Spokój jest stanem rozumienia, a żądza stawiania się temu rozumieniu zaprzecza i je uniemożliwia. Stawianie się - "ja będę" - wytwarza poczucie czasu, które jest w istocie odkładaniem rozumienia na przyszłość. Myśl: "ja będę" jest ułudą zrodzoną z przekonania o swej własnej ważności.

Morze było w tej chwili niespokojne, jak i miasto, ale niespokojność ta miała jakąś głębię i treść. Nisko nad horyzontem zabłysła wieczorna gwiazda. Wracaliśmy ulicą pełną autobusów, taksówek i tłumów ludzkich. Na chodniku leżał śpiący, prawie nagi, człowiek; był to żebrak, wyczerpany, niedożywiony; trudno go było obudzić. A po drugiej stronie ulicy rozciągały się zielone

trawniki i rozkwiecione krzewy publicznego parku.

I. 8. OBRZĘDY

Na obszernym dziedzińcu, wśród drzew, stał kościół. Wchodzili tam ludzie biali i ciemnoskórzy. Wewnątrz było więcej światła aniżeli w europejskich kościołach, ale urządzenie było zupełnie takie same. Właśnie odbywał się piękny obrzęd. Po skończonym nabożeństwie zaledwie paru ludzi kolorowych zwróciło się do białych, i odwrotnie; i każdy poszedł w swoją stronę.

A na innym kontynencie, na drugim końcu świata, była świątynia, gdzie śpiewano sanskryckie strofy i odprawiano *Pudzę* - obrzęd Hinduizmu. Tutaj wierni wypełniający chram należeli do innego typu kultury. Ton i rytm słów sanskryckich jest przejmujący i mocny, posiada dziwną powagę i głębię.

Można się nawrócić z jednego wyznania na drugie, przejść od jednych dogmatów i wierzeń do innych, ale nie można się nawrócić ku rozumieniu Rzeczywistego i Prawdy. Można zmienić zdanie i wierzenie, ale Prawda -Bóg - nie jest sprawą przekonań; jest to doznanie nie oparte na żadnym dogmacie ani wierzeniu, ani też na żadnym uprzednio doświadczonym przeżyciu. Jeśli przeżywamy coś, co się rodzi z naszego wierzenia przeżycie to będzie reakcją przez nie uwarunkowaną. Jeśli przychodzi jakieś nagłe, zupełnie nieoczekiwane i bezpośrednie doznanie, a my potem na nim opieramy następne, nowe, wówczas będą one tylko ciągłością pamięci, reagującej na kontakt z chwilą obecną. Pamięć jest zawsze rzeczą martwą, ożywającą tylko przy kontakcie z wiecznie żywą terażniejszością.

Nawrócenie jest zamianą jednego dogmatu lub wierzenia na inne, przejściem od jednego rodzaju obrzędów do innych - które nam w danej chwili dają więcej zadowolenia, - ale to nie otwiera nam bynajmniej drogi do Prawdy. Odwrotnie: szukanie tego, co nam da większe zadowolenie przeszkadza ujrzeć Rzeczywiste i Prawdę. A przecież właśnie do takich nawróceń dążą różne zorganizowane religie i wyznaniowe grupy; usiłują one nawracać ludzi ku bardziej lub mniej logicznym dogmatom, przesądom, nadziejom i oczekiwaniom. Zapraszają nas do lepszego więzienia. Może ono być wygodne lub niewygodne, to zależy od naszej natury i upodobań, ale jest zawsze i w każdym razie więzieniem.

Zarówno w religii jak polityce, na różnych poziomach kultury odbywają się wciąż takie nawracania. Organizacje ze swymi przywódcami kwitną i prosperują przez utrzymywanie ludzi w obrębie ideologii jakie im przedstawiają, czy będą one religijne, czy ekonomiczne. I w tym procesie kryje się wzajemny wyzysk. Prawda jest poza wszelkimi schematami i ideologiami, poza strachem i nadzieją. Jeśli chcecie odkryć najwyższe szczęście Prawdy, musicie zerwać z ograniczeniami ideologii, obrzędów i ceremonii.

Intelekt znajduje zabezpieczenie w religijnych i politycznych schematach i czerpie z nich siłę; właśnie ten fakt nadaje żywotność wszelkim zrzeszeniom. Są w nich zawsze starzy bywalcy i nowicjusze; oni to utrzymują ruch w organizacjach i podtrzymują ich lokaty i stan posiadania; a zasięg wpływów i prestiż stowarzyszenia przyciągają ku niemu ludzi hołdujących powodzeniu i światowym mądrościom. Gdy intelekt spostrzeże że dotychczasowe ramy ideologiczne już go nie zadawałają i nic wzmagają jego żywotności, zwraca

się do innych wierzeń i dogmatów, które nowych dostarczają podniet i zadowolenia i więcej dodają sił. Intelkt jest więc wytworem środowiska, żywi się i odświeża zewnętrznymi wrażeniami i utożsamianiem tj. jednoczeniem się z różnymi ideologiami; dlatego też trzyma się uparcie reguł postępowania, schematów myślenia, itp. Dopóki umysł jest wytworem przeszłości, nigdy nie odkryje Prawdy, a nawet nie dopuści by Prawda się objawiła. Trzymając się zrzeczeń i organizacji tym samym oddala od siebie szukanie Prawdy.

Oczywistym jest że obrzędy stwarzają atmosferę w której uczestnicy czują się zazwyczaj miło i dobrze; zarówno jednostkowe jak zespołowe rytuały dają pewien spokój myśli i stanowią uderzającą przeciwagę nudy i uciążliwości codziennego życia. Posiadają dużo swoistego piękna, harmonii, rytmu; ale w istocie są podnietami, które, podobnie jak wszystkie inne środki podniecające z czasem przytępią myśl i wyziębiają serce. Obrzędy stają się przyzwyczajeniem, tak iż trudno bez nich się obejść. I ową tęsknotę do nich, czy też potrzebę ich, uważa się za duchowe odnowienie, za wzmocnienie sił by lepiej stawić czoło życiu, za codzienną czy cotygodniową medytację itp.; ale wnikając nieco głębiej w ten proces, zauważymy iż są one próżnym powtarzaniem, dającym wspaniałą, a wielce "szanowną" ucieczkę od konieczności poznawania siebie. A bez niego wszelki czyn ma niewielką wartość.

Powtarzanie słów, zdań, śpiewów, chociaż na razie może się zdawać podnietą i czynnikiem podnoszącym, w istocie działa usypiająco, A gdy w takim przytępionym stanie przychodzą różne przeżycia są one tylko projekcjami naszego "ja". Jakkolwiek byłyby przyjemne są zawsze złudne. Doznanie Prawdy nie przychodzi pod wpływem żadnych praktyk, ani powtarzanych obrzędów. Prawda nie jest celem jakiegoś procesu, ani rezultatem dążeń i wysiłków. Nie można jej przywoływać, albowiem nie należy do dziedziny myśli.

I. 9. WIEDZA

Czekaliśmy na pociąg; było późno. Dworzec kolejowy był brudny, zatłoczony i hałaśliwy, a powietrze duszne i ciężkie. Duży tłum oczekiwał na pociąg jak my; dzieci krzyczały, opodal matka karmiła niemowlę, sprzedawcy głośno zachwalali swój towar, roznoszono kawę i herbatę, było rojno i gwarno. Chodziliśmy tam i z powrotem po peronie obserwując ruch otaczającego nas życia. Wtem zbliżył się do nas jakiś człowiek i łamaną angielszczyzną począł mówić; wyjaśniał iż baczenie się nam przyglądał i poczuł jakiś wewnętrzny nakaz przemówienia do nas. Mówił z dużym wzruszeniem; przyrzekał iż będzie odtąd prowadził życie uczciwe i czyste, że od tej chwili nie będzie palił; dodał iż nie posiada wykształcenia, jest tylko chłopcem od rikszy. Miał dużo siły w wyrazie oczu i miły uśmiech.

Wkrótce nadszedł pociąg. W wagonie przedstawił się nam jakiś pan; był to znany uczonec, władał kilkoma językami, posługując się każdym swobodnie. Był podeszły w latach, dostatni, dumny ze twego wykształcenia i pełen ambicji. Mówił dużo o medytacji, ale miało się wrażenie że nie opiera się na własnym doświadczeniu. Jego bóg był bogiem książkowym. A jego stosunek do życia był tradycyjny i prawowitny; wierzył w celowość wcześnie układanych małżeństw i był zwolennikiem surowych reguł postępowania. Był przekonany o wyższości swej klasy, uważał również iż są duże różnice w umysłowych zdolnościach różnych kast. Zdradzał dziwną próżność - dumę z

wiedzy i stanowiska.

Słońce zachodziło. Pociąg biegł przez malowniczą okolicę. Stada powracały z pastwisk, wzbijając tumany złotawego pyłu. Znad horyzontu podnosiły się wielkie czarne chmury, raz po raz dawał się słyszeć daleki grzmot. Jakże radośnie śmiała się zieleń pól, jak miło wyglądała wioska tuląca się do stóp góry! Zapadał zmierzch. Dostrzegliśmy dużego jelenia pasącego się spokojnie na łące, nawet nie podniósł głowy, by spojrzeć na przelatujący pociąg.

Wiedza jest błyskiem światła na wąskim odcinku pomiędzy ogromem ciemni nieznanego; ale nie jest w stanie ponad ten mrok się wznieść, ani weń przeniknąć. Wiedza jest nieodzowna dla techniki, jak węgiel dla lokomotywy, ale nie może nigdy sięgnąć w nieznanne. Niewiadome nie daje się włączyć w krąg znanego. Trzeba odsunąć wszystko co się wie, aby niewiadome mogło się objawić. Ale jakież to trudne!

Całą istotą tkwimy w przeszłości, myśl nasza wysnuwa się z tego co minęło. Przeszłość to *znane*, a reakcja przeszłości rzuca zawsze cień na to, co jest *teraz*, co *znane nie jest*. To nie przeszłość jest nieznaną, a terażniejszość. Przyszłość jest jeno przedłużeniem przeszłości torującym sobie drogę w jutro poprzez nieznaną terażniejszość. Ów odstęp, ów interwał pomiędzy przeszłością a przyszłością wypełniają raz po raz świetlne błyski wiedzy, przysłaniając próżnię terażniejszości; ale właśnie w tej próżni ukrywa się cud życia.

Namiętne oddawanie się wiedzy, podobnie jak każdy nałóg, może być ucieczką od lęku przed pustką, zawodem, osamotnieniem, od lęku że jesteśmy "niczym". Wiedza jest jakby cienką świetlną zasłonką na powierzchni niezgłębionego mroku, w który myśl nie jest w stanie przeniknąć. Człowiek w lęku przed tym niewiadomym uchodzi w teorie, nadzieje, wiedzę, wyobraźnię, i ta wiedza staje się przeszkodą w wejściu i rozumieniu nieznanego. Odrzucić wiedzę to dopuścić lęk; a nie polegać na intelekcie - jedynym narzędziu postrzegania jakie posiadamy - to stać się otwartym i bezbronny wobec smutków jak i radości życia. Ale nie łatwo jest odrzucić wszystko co wiemy. Być ciemnym i niewykształconym nie znaczy to jeszcze być wolnym od gromadzonej wiedzy. Właściwą ciemnotą - niewiedzą - jest brak czujnej samoświadomości (*self-awareness*); a wiedza jest niewiedzą gdy nie rozumiemy dróg i reakowań naszego "ja". Zrozumienie siebie jest jednocześnie uwolnieniem się od wiedzy.

Można się od niej uwolnić gdy zgłębimy pobudki naszych pożądań i cały proces zdobywania i gromadzenia. Ustawiczna chęć zbierania, śpichlerzowania wynika z pragnienia bezpieczeństwa i pewności. Szukamy zabezpieczenia się w posiadaniu, w potępianiu lub usprawiedliwianiu, a z tego rodzi się strach, który uniemożliwia wszelki bezpośredni kontakt z życiem. Tam gdzie ten kontakt jest żywy i staje się jednoczeniem się, gromadzenie traci swój sens. Wszelkie gromadzenie jest procesem samoobrony, który nas oddziela od życia, a wiedza ten proces wzmaga. Cześć dla wiedzy jest rodzajem bałwochwalstwa. Nie usuwa ona tarć, konfliktów i nędzy naszego istnienia. Płaszcz wiedzy ukrywa wzrastające wokół rozterki i cierpienia, ale nigdy nie może nas od nich uwolnić. Procesy myślowe nie prowadzą do Prawdy, ani do szczęścia które ona daje. Być pewnym swej wiedzy to odwracać się od niewiadomego.

I. 10. ZACNOŚĆ

Twierdził, iż nie jest chciwy, że zadawała się małym, a życie było dlań dotąd łaskawe, choć oczywista i on miał różne udręki, tak nieodłączne od ludzkiego żywota. Był to człowiek spokojny i skromny, lubiący aby nie naruszano jego łatwej niefrasobliwości. Mówił iż nie jest ambitny, ale prosił Boga o zachowanie wszystkiego co posiadał, modlił się za rodzinę i za równy bieg swego życia. Był wdzięczny iż los go nie zmuszał do stawiania czoła różnym trudnościom i konfliktom, jak to się działo z wieloma jego przyjaciółmi. Darzono go coraz większym szacunkiem; dawało mu to radość, a myśl że staje się jednym z *elity* była mu miła. Nie pociągały go nigdy kobiety, a życie rodzinne upływało harmonijnie, choć oczywiście zwykłe utarczki w małżeńskim stadle nie były mu obce. Nie miał specjalnych nałogów, ani rzucających się w oczy wad; modlił się często i wielbił Boga.

"Nie mam żadnych osobistych trudności ni problemów, co to może oznaczać?" Spytał mnie i nie czekając na odpowiedź z zadowolonym, a jednak nieco żalonym uśmiechem mówił dalej o swej przeszłości, o wychowaniu jakie dał dzieciom itd. Zaznaczył mimochodem iż nie jest hojny, ale daje coś niecoś, od czasu do czasu, na ile go stać. Był przekonany że każdy musi walczyć aby wyrobić sobie w świecie stanowisko.

Zacność jest to "nieszczęście", wysusza ona serce i myśl; wślizguje się niepostrzeżenie i niweczy wszelką miłość. Być "szanownym" - zacnym - to czuć, iż nam się dobrze wiedzie, to wyrobić sobie w świecie stanowisko, to wznieść wokół siebie mur pewności i zabezpieczenia, jakie daje majątek, powodzenie, władza, zdolności lub cnota. Ta ekskluzywność i pewność siebie rodzą niechęć i antagonizm w ludzkich stosunkach, z których się składa społeczeństwo. Ludzie szanowni i zacni stanowią zazwyczaj śmietankę towarzyską i są nieodmiennie przyczyną tarć i trudności. Człowiek "szanowny" jak i lekceważony, obaj są zawsze na łasce warunków i okoliczności; wpływ środowiska, ważkość tradycji mają dla nich ogromne znaczenie, gdyż ukrywają ich wewnętrzne ubóstwo. Owi "zacni" zajmują najczęściej stanowisko obronne wobec życia, są pełni obaw i podejrzeń. Lęk kryje się w ich sercu; "święte oburzenie" jest ich cnotliwością, a poczciwość i nabożność puklerzem ochronnym. Są jak bęben, pusty w środku, lecz głośny gdy się weń uderzy. Nie potrafią nigdy otworzyć serca na Prawdę, Rzeczywiste, gdyż podobnie jak i pogardzanych pochlania ich troska o własne doskonalenie. Szczęście jest nie dla nich, albowiem unikają Prawdy.

Brak chciwości i brak hojności łączą się ściśle ze sobą. Jedno i drugie jest procesem zamykania się w sobie, bierną formą egocentryzmu. Będąc chciwym trzeba być aktywnym; człowiek żądny czegoś musi walczyć, zdobywać, współzawodniczyć, być agresywny. Ale gdy nie ma tego impetu nie oznacza to braku chciwości, jest to po prostu zamknięcie się w sobie. Wszelki czyn jest ruchem, jest niepokojący, przerywa nasz bierny spokój, a nieraz jest trudną i bolesną walką; toteż egocentryzm - owo zamykanie się w sobie - pokrywamy słowami: "nie jestem chciwy". Mieć hojną rękę nie jest tym samym co mieć szerokie wielkodusze serce. Hojność ręki jest sprawą dość prostą, zależy w dużej mierze od zwyczajów i kultury w jakiej wychowaliśmy się; ale szerokość serca ma nieskończenie głębsze źródła; znaczenie jego jest bardziej doniosłe, albowiem może płynąć tylko z prawdziwego wszechstronnego rozumienia (awareness).

Nie być hojnym to znów przyjemne, dogadzające nam, a pełne zaślepienia pochłonięcie sobą, w którym trwamy jak w skorupie, nie wychylając się z niej na zewnątrz. Człowiek w takim stanie działa, ale jakby w pół śnie; a jego własne ruchy nie mogą go obudzić. Obudzenie się jest nieprzyjemne, może nawet bolesne, więc zarówno starzy jak młodzi wolą aby ich pozostawiono w spokoju, wolą stać się "szanowni" i zacni, czyli - martwi. Podobnie jak szczodrość serca tak hojność ręki, jest ruchem ku zewnątrz, ku ludziom, a to jest niejednokrotnie przykre, zwodnicze, i demaskujące nas wobec siebie samych. Hojność ręki nie jest trudna, spotyka się ją często. Szerokości serca nie da się rozwijać ani wyrabiać; jest to wolność od żądz gromadzenia.

Przebaczać może tylko ten, kto się wpiery uczył dotknięty, skrzywdzony, a to poczucie powstaje u ludzi którzy musieli rozwinąć w sobie wpiery dumę i miłość własną. Wielkoduszność i szerokość serca nie mogą się zrodzić dopóki istnieje w nas nieustanna pamięć siebie, owego - "ja" i "moje".

I. 11. POLITYKA

Wysoko w górach cały dzień padał deszcz. A nie był to drobny łagodny deszczyk lecz szalona ulewa, co to zmywa wydeptane ścieżki, łamie krzewy, wyrwa z korzeniami drzewa na stromych stokach górskich, powoduje obsunięcia się całych połaci gruntu, tworzy rwące, donośne szumem potoki, które dopiero po paru godzinach cichną i opadają.

Chłopczyk przemoknięty do ostatniej nitki bawił się w kałuży, nic zwracając najmniejszej uwagi na gniewne nawoływania matki. Krowa schodziła powoli po rozmokłej ścieżce, którą wstępowaliśmy pod górę. Zdawało się, że otwarty się upusty niebieskie i zaleją całą okolicę. Byliśmy również przemoczeni, zdjęliśmy więc większą część ubrania i z przyjemnością czuliśmy na skórze uderzenia deszczu. Dom nasz stał wyżej, na stoku góry, a w dole, u jej podnóża leżało miasteczko. Dał silny wichur od zachodu, pędząc coraz to nowe, czarne wściekłe chmurzyska.

W pokoju zastaliśmy ogień na kominku i parę osób czekających na rozmowę. Deszcz bił w okna, przedostawał się przez szczeliny i rozlewał w kałużę na podłodze; woda podpływała pod palenisko aż ogień trzaskał i pryskał. Gość nasz był sławnym politykiem, realistą, głębokim patriotą, szczerze oddanym swej pracy. Nie był ciasny ani egoistyczny, ambicje jego nie były osobiste, pragnął dobra sprawy i ludu. Nie był jednym z tych wygadanych trybunów, ani z polityków polujących na głosy wyborców; cierpiał niejednokrotnie dla sprawy, a przecież - o dziwo, - nie było w nim ani krzty goryczy. Sprawiał wrażenie bardziej człowieka nauki aniżeli polityki, ale obecnie polityka była jego żywiołem, a partia słuchała go bez zastrzeżeń, choć nieraz z pewnym niepokojem. Był marzycielem ale wszystko porzucił dla polityki. Towarzyszył mu przyjaciel, znany ekonomista; głosił on bardzo złożone teorie i miał mnóstwo danych dotyczących podziału olbrzymich dochodów społecznych. Orientował się świetnie w doktrynach ekonomistów zarówno lewicy jak prawicy, ale posiadał swe własne teorie ekonomicznego zbawiania ludzkości. Wyrażał się z łatwością i trafnie dobierał słowa; obaj wielokrotnie przemawiali do tłumów.

Czy zauważyliście ile miejsca poświęca się w gazetach i czasopiśmie polityce, oraz słowom i czynom różnych politycznych działaczy? Oczywiście podaje się też i inne wiadomości, ale polityczne są zawsze na pierwszym miejscu; ekonomiczne życie stało się dla nas najważniejsze. Zewnętrzne

warunki - wpływy, stanowiska, pieniądze, dobrobyt - mają, jak widać, przemożną nad nami władzę, one to kształtują nasze życie. Zewnętrzne formy - ubiory, tytuły, sztandary i specjalny ich kult - nabrały ogromnego znaczenia; a zapomina się o całości kształcie życia, albo się odeń świadomie odwraca. O wiele łatwiej rzucić się w działalność polityczną i społeczną, aniżeli usiłować zrozumieć życie w jego całości. Związek nasz z jakąś wyraźnie sformułowaną ideologią, z polityczną czy religijną zorganizowaną działalnością daje nam wielce "szanowną" ucieczkę od uciążliwej i męczącej drobnostkowości codziennego życia. Nawet będąc ciasnym i małego serca można mówić o wielkich rzeczach, o szeroko znanych i popularnych przywódcach, można pokrywać swą płytkość zdawkowymi frazesami o zagadnieniach światowych; a nieopanowany i rozproszony umysł może z dużym własnym zadowoleniem i ogólną aprobatą oddać się propagowaniu ideologii jakiejś dawnej czy nowej religii.

Polityka jest uzgadnianiem skutków; a że większość z nas obchodzi tylko skutki, przeto zewnętrzność nabrała dla nas tak wielkiego, dominującego znaczenia. Przez sprytne manipulowanie różnymi skutkami spodziewamy się zaprowadzić pokój i ład; niestety nie jest to takie proste. Życie jest procesem integralnym, ogarniającym zarówno zewnętrzną jak i wewnętrzną stronę; zewnętrzność wpływa bez wątpienia na stronę wewnętrzną, ale ta nieodmiennie zwycięża i zdobywa przewagę. W zewnętrznych przejawach wyrażamy to, czym jesteśmy. Nie da się oddzielić tego co jest wewnątrz od tego co jest zewnątrz i nie można ich utrzymać w oddzielnych przegródkach, gdyż nieustannie wzajemnie na siebie oddziałują; ale wewnętrzne tęsknoty, pożądania, ukryte motywy i zamysły są zawsze silniejsze. Życie nie jest zależne tylko od polityki i ekonomii, podobnie jak pojedynczy liść, gałąź, nie stanowią drzewa. Życie jest procesem olbrzymimi wszechogólnym, a piękno jego można odkryć tylko ogarniając je w jego całkowitości i pełni. To scalenie, ta integracja nie dokonuje się w powierzchniowej sferze politycznych i ekonomicznych uzgodnień, można je odkryć tylko w dziedzinach ponadprzeczynowych.

A że zajmują nas wciąż tylko przyczyny i skutki i nie umiemy nigdy wychylić się po za nie - chyba tylko w słowach, werbalnie - przeto życie nasze jest puste i niewiele warte. Dlatego też staliśmy się niewolnikami emocjonujących politycznych bodźców i religijnego sentymentalizmu. Jedyną nadzieją jest scalenie, zsyntetyzowanie tych wielu procesów które składają się na naszą psychikę; a do tego scalenia nie prowadzi żadna ideologia, ani poddawanie się jakimkolwiek, religijnym czy politycznym autorytetom. Pełne scalenie naszej istoty dokonuje się tylko w głębokim i wszechstronnym *rozumieniu* (awareness). Rozumienie musi sięgać w głąb naszej psychiki, a nie poprzestawać na jej powierzchniowych falowaniach.

I. 12. DOZNAWANIE

Dolina tonęła w cieniu; zachodzące słońce złościło odległe szczyty, a to wieczorne rozjarzenie zdawało się płynąć z samego ich wnętrza. Po północnej stronie drogi góry były skaliste i nagie, jakby wypalone słońcem; a po południowej zielone i aż ciężkie od gęstwiny krzewów i drzew. Droga biegła prosto, przedzielając dużą malowniczą dolinę. Góry zdawały się tego wieczoru bliskie a nierealne, lekkie i o miękkim konturze. Wysoko na tle nieba krążyły duże ciężkie ptaki. Szare wiewiórki przebiegały przez drogę; z daleka dolatywał warkot samolotu. Po obu stronach drogi rozciągały się starannie

utrzymane pomarańczowe gaje. Po upalnym dniu unosił się silny zapach rozgrzanej ziemi, skoszonego siana i wrzosów. Drzewa pomarańczowe o ciemnej zieleni świeciły gdzieś jaskrawością owoców. Rozlegały się nawoływania przepiórek, a samotny bażant właśnie zniknął wśród krzaków. Długa węzowata jaszczurka spłoszona przez psa czmychnęła w suche chwasty. Cisza wieczoru spływała powoli na ziemię.

Przeżycie już doznane, a stan aktualny doznawania to dwie rzeczy różne. Pierwsze jest zawsze przeszkodą w stosunku do drugiego. Przykre czy miłe, ale już minione przeżycie tamuje swobodne płynięcie *doznawania*. Przeżycie które minęło jest przeszłością, znajduje się już w sieci czasu, stało się pamięcią, a ta ożywa tylko jako reakcja na to, co zachodzi w "dziś". Życie jest w tym co jest *dziś*, a nie w tym co było wczoraj. Ważkość i siła minionych doznań rzucają cień na to, co przeżywamy teraz, a więc *doznawanie* - które jest zawsze w teraz - krzepnie, ścina się niejako, w doznane. Umysł nasz jest lamusem doznanych przeżyć, tego co jest znane i utwalone w pamięci, więc nigdy nie może być w stanie czystego doznawania, bo to, czego doświadcza jest zawsze tylko dalszym ciągiem już przeżytego. Umysł zna tylko tę następcość, a dopóki jest w jej więzach, człowiek nigdy nie zdoła przyjąć nowego; żyjąc wciąż dalszym ciągiem tego co było, nie może nigdy wejść w stan doznawania. To, co jest już doznane nie prowadzi do stanu świeżego, żywego *doznawania*, wszystko przeszłe musi zniknąć by ten stan mógł zaistnieć.

Umysł może przywoływać tylko swe własne projekcje, tylko to, co zna. Doznawanie nieznanego nie może się pojawić dopóki nie przestaniemy gromadzić doświadczeń. Myśl jest wyrazem niezliczonych przeżyć, jest działaniem pamięci; a dopóki ta jest czynna i wtrąca się w każde przeżycie, nie można wejść w stan czystego doznawania. Nie ma sposobu ani metody aby położyć kres gromadzeniu doświadczeń, gdyż każdy z umyślnie użytych środków staje się jedną więcej przeszkodą dla doznawania. Obracć cel to trzymać się przeszłości i stwarzać ciągłość; a posiadać środki do osiągnięcia celu to utrwalać znane. Samo pożądanie osiągnięć musi zniknąć, bo właśnie to pragnienie stwarza zarówno środki jak cel.

Dla doznawania nieodzowną jest pokora. Ale umysł nasz jest tak chciwy! Chce od razu wchłonąć ten nieuchwytny stan i dodać go do zasobu nagromadzonych doświadczeń! Od razu chce schwytać to nowe w sieć myśli a więc zmienić je w stare i tym sposobem stwarza podmiot i przedmiot, doznającego i doznawanego, a z tego rodzą się rozdwojenia i konflikty. W stanie płynącego doznawania jedno i drugie znika; nie ma tego, kto doznaje, ani doznawanego. Drzewo, pies, gwiazda wieczorna, nie są, w tym stanie, przedmiotem przeżycia, są ruchem prostego doznawania; nie ma w nim odstępu pomiędzy obserwatorem a obserwowanym; nie ma tu interwału ani w czasie ani w przestrzeni, przez który myśl mogłaby się wcisnąć w ten stan i przyswoić go sobie i z nim się utożsamić. Myśl jest nieobecna, jest tylko proste "bycie". O tym stanie *bytu* nie można myśleć, ani o nim medytować, nie jest to coś, co można osiągać. Doświadczający musi przestać przeżywać, dopiero wówczas nastaje prosty *być*. A cisza jego prądu jest poza czasem.

I. 13. CNOTA

Morze było spokojne, zaledwie drobne zmarszczki fal znaczyły się na białym

piasku wybrzeża. Wokół zatoki, nad brzegiem wygiętym w szeroki łuk, leżało od północy miasto, od południa rozciągał się aż po kraj wody palmowy gaj. Za piaszczystą ławicą można było dostrzec parę rekinów, a dalej sunęły rybackie łodzie; były one sklecone z kilku ogromnych bierwion związanych grubym powrozem; kierowały się na południe, ku małej wiosce ukrytej pomiędzy palmami.

Odbicie jaskrawo zachodzącego słońca rozjarzyło wschodnią część nieba, było to jakby drugim zachodem, a ogromne obłoki o przedziwnych kształtach płonęły wszystkimi kolorami tęczy. Było w tym widoku coś tak fantastycznie pięknego, iż niemal trudno było to znieść. Woda odbijała jaskrawy blask barw i przedziwna świetlna smuga biegła po niej daleko, aż do horyzontu.

Paru rybaków wracało z miasta do swej wioski, poza tym brzeg był pusty i cichy. Wysoko wśród chmur zapaliła się pierwsza gwiazda.

W naszej powrotnej drodze przyłączyła się do nas kobieta i wszczęła rozmowę na poważne tematy. Mówiła iż należy do pewnego stowarzyszenia, którego członkowie praktykują medytację i wyrabiają podstawowe cnoty. Raz na miesiąc obiera się jakąś określoną cnotę i codziennie stara się ją rozwijać i wprowadzać w życie. Z jej słów i wewnętrznej postawy można było wnosić iż wrosła niejako w tę samo-dyscyplinę, a jednocześnie czuć w niej było pewne zniecierpliwienie w stosunku do ludzi, którym obce były jej pojęcia i cele.

Cnota jest sprawą serca a nie rozumu. Gdy intelekt zaczyna świadomie wyrabiać cnoty, jest to tylko wyrachowaniem, samoobroną, sprytnym przystosowywaniem się do środowiska. Doskonalenie się jest zaprzeczeniem cnoty. Jak może istnieć cnota tam, gdzie jest strach? Strach pochodzi zawsze z mentalu, a nie z serca; ukrywa się przebiegle, różne przybierając formy - zacności, cnoty, służenia, przystosowywania się itd. W stosunkach ludzkich opartych na intelekcie strach będzie istniał zawsze. W istocie nasze "ja" nie jest oddzielne od swych intelektualnych czynności, ale samo siebie od nich oddziela i wyodrębnia i tym sposobem nadaje sobie trwałość i ciągłość. Jak dziecko ćwiczy gamy na fortepianie, tak nasze "ja" - intelekt - pilnie praktykuje cnoty, aby nadać sobie więcej trwałości i wyrobić zdolność opanowywania różnych życiowych sytuacji, albo też dla osiągnięcia tego, co uważa za najwyższe. Na to aby móc wychodzić życiu naprzeciw, trzeba być bezobronnym i nie tworzyć wokół siebie muru zacności i egocentrycznej, a wielce "szanownej" cnoty. Najwyższego nie można dosięgać, nie prowadzi doń żadna droga; stopniowe urastanie i wznoszenie się ku niemu nie jest możliwe. Prawda musi sama do nas przyjść; nie można ku niej dążyć; nie zbliży nas do niej na pewno praktykowanie cnot. To, co ludzie przez wyrabiane cnoty osiągną, nie jest Prawdą, tylko ich własnym z wnętrza psychiki rzutowanym pragnieniem. A tylko w Prawdzie jest szczęście.

Spryt intelektu i jego zdolność przystosowywania się w dążeniu do zabezpieczenia swej ciągłości, jest czynnikiem wciąż podtrzymującym w nas strach. I trzeba przede wszystkim ten strach głęboko zrozumieć, a nie myśleć o wyrabianiu cnot. Człowiek o ograniczonym umyśle i słabym charakterze może praktykować cnoty, ale pomimo to nie przestanie być małym i ciasnym. Cnota jest wówczas ucieczką od własnej małości, a wyrabiane i gromadzone zalety pozostają drobne i małostkowe. Dopóki nie zdamy sobie sprawy z tej małości jakże może w nas powstać doznawanie Prawdy? Jak może mały, ciasny, "cnotliwy" człowiek otworzyć się na przyjęcie niezmiernego?

W rozumieniu procesów naszego umysłu, czyli naszego "ja", cnota rodzi się

samorzutnie; nie jest ona wówczas ochronnym murem, ani samoobroną, jest czujnym, spontanicznym zdawaniem sobie sprawy (awareness) i dogłębnym rozumieniem tego co *jest*. Intelkt nie zdoła nigdy prawdziwie rozumieć; może wyrazić w czynie to, co już zostało zrozumiane, ale nie jest zdolny do istotnego *rozumienia*. Aby w coś wniknąć i je naprawdę zrozumieć musi zrodzić się w głębi serca zdolność odbiorczości i rozpoznawania (recognition), i całkowite przyjęcie tego co *jest*, a ta zdolność wykwita samorzutnie gdy myśl ucichnie. Ale taka cisza myśli nie jest wynikiem wyrachowania i z góry ułożonego, umyślnie podjętego wysiłku. Samo pragnienie ciszy jest odmianą pożądania osiągnięć, a to rodzi nieskończone rozterki i udręczenia. A żądza aby czymś jednym być, a czymś innym nie być jest zaprzeczeniem cnoty serca.

Cnota nie jest zmaganiem się ani zdobyczą, czy rezultatem osiągniętym długimi ćwiczeniami; jest ona stanem wewnętrznym który nie ma nie wspólnego z wyrażaniem się pożądań naszego "ja". Nie można *po prostu być*, gdy jest w nas wysiłek po temu. W naszym zmaganiu się aby czymś *być*, opieramy się i przeciwstawiamy, stosujemy umartwienia i wyrzeczenia, ale wzniesienie się ponad to wszystko nie stanowi jeszcze cnoty.

Cnotą jest spokój, cnotą jest wolność od żądy stawania się; a spokój ten płynie z serca, nie z myśli. Wprawdzie można uspokoić myśl przez odpowiednie ćwiczenia, praktyki, przymusy, ale taka dyscyplina niweczy cnotę serca, zaś bez niej nie masz pokoju, ni błogosławieństwa. Prawdziwą cnotą serca jest *wszechrozumienie*.

I. 14. PROSTOTA SERCA

Niebo było jasne i czyste. Nawet dużych krążących ptaków o szeroko rozpostartych skrzydłach, co to płyną tak lekko w przestworach, nie było dziś widać, ani najmniejszej przelotnej chmurki. Drzewa stały w ciszy, a wygięte stoki wzgórz tonęły w głębokim cieniu. Góry rysowały się ostro na tle zachodzącego słońca. Jeleń stał czujnie sprężony wpatrując się w coś ciekawie, i nagle rzucił się w skok do ucieczki za naszym zbliżeniem. Pod krzakiem siedziała nieruchoma - tej samej co ziemia barwy - ogromna jasnooka ropucha. Daleko w dole stał duży dom, otoczony wspaniałym ogrodem; w przylegającym doń stawie można było dostrzec kąpiących się ludzi. Całe obejście zdawało się ustronne i dostatnie, tchnące atmosferą wygody i bogactwa. A nieco dalej, przy zakurzonej drodze, stała na wyschłym ugorze chata, jej ubóstwo i zaniedbanie można było dostrzec nawet z oddali; atmosferą jej był ciężki trud i nędza.

Nam, patrzącym z góry, oba domostwa zdawały się stać tuż przy sobie; brzydota i piękno, dostatek i nędza zdały się stykać ze sobą.

Prostota serca ma większą wagę i większe znaczenie aniżeli prostota skromnego życia. Mieć nieduże wymagania, zadawać się małym, jest stosunkowo łatwo; wyrzec się wygod czy przyjemności, np. zarzucić palenie lub jakiś inny ulubiony nałóg, nie jest jeszcze wyrazem prostoty serca. A poprzestawanie na jednej na biodrach opasce, wśród świata który oddaje się wygodzie i zbytkom, strojom i rozrywkom, nie koniecznie dowodzi wewnętrznej wolności. Znałem człowieka który porzucił światowe życie i jego powaby, a jednak pożerały go żądze i pragnienia i nie mógł zaznać chwili spokoju, choć przywdział szatę mnicha. Miał niespokojne, szukające oczy, a

duszę rozdartą sprzecznościami wątpliwości i nadziei.

Można zewnętrznie wyrzekać się wielu rzeczy, oddawać się różnym praktykom i ćwiczeniom, i wyznaczać sobie krok za krokiem drogę do określonego celu; można mierzyć swój postęp wedle sprawdzianów cnoty - iluż to rzeczy już się wyrzekłem, na ile postąpiłem w opanowaniu, tolerancji, łagodności postępowania itd.; można nauczyć się sztuki koncentracji i odejść w puszcę lub usunąć się poza mury klasztoru, czy też zamknąć się w przyćmionym pokoju dla medytacji; albo spędzać dnie na modlitwie i czuwaniu; można zewnętrznie jak najbardziej uprościć swe życie i mieć nadzieję, że te starannie obmyślane, z góry ułożone metody pozwolą nam osiągnąć szczęście, które nie jest z tego świata.

Ale czyż się dojdzie do Prawdy przez zewnętrzne opanowanie i dyscyplinę? Zewnętrzna prostota - odrzucenie zbytków i wygodnictwa - jest oczywiście potrzebna, ale czyż ten gest może sam przez się otworzyć nam wrota do Prawdy? Troska o wygody i powodzenie obciąża umysł i serce, a udając się w daleką wędrówkę, trzeba być wolnym od wszelkich obciążeń. Dlaczego ten zewnętrzny gest zdaje się nam tak ważny? Dlaczego tak gorąco pragniemy uzewnętrznić nasze postanowienia? Czy jest to lęk przed łudzeniem siebie, czy też przed tym, co pomyślą lub powiedzą ludzie? Dlaczego chcemy sobie udowodnić że stosunek nasz jest rzetelny? Czy nie chodzi tu przypadkiem o upewnienie się, o przekonanie siebie o ważności naszego stawania się?

W pragnieniu stania się czymś biorą początek wszystkie skomplikowania. Powodowani wciąż wzrastającą chęcią stawania się kimś coraz większym - czy to wewnątrz czy zewnątrz - gromadzimy lub wyrzekamy się, pielęgnujemy cnoty, odrzucamy wady itd. Widząc że czas wszystko unosi, chcielibyśmy uchwycić się czegoś, co mu się ostoi. Borykanie się aby czymś być, a czymś innym nie być, trzymanie się jednego, odrzucając drugie, nie może nigdy ustać dzięki jakimś zewnętrznym gestom, praktykom czy regułom; ale samo zrozumienie tej walki uwolni nas prosto i naturalnie od gromadzenia wewnętrznych i zewnętrznych dóbr, a więc wyzwoli nas i od wszystkich płynących stąd rozterek. Wyrzeczenie nie prowadzi do Prawdy, dosięgnąć jej nie można *żadnym sposobem*, ani metodą. Wszystkie środki, metody i cele są jeno formą pożądań, muszą wszystkie zniknąć aby Rzeczywiste mogło się objawić.

I. 15. OBLICZA JEDNOSTKI LUDZKIEJ

Przyszedł nas odwiedzić w otoczeniu swych uczniów. Byli to ludzie różni, zamożny i ubogi, wysoki urzędnik państwowy i wdowa, fanatyk i młody człowiek o przyjemnym uśmiechu. Kompania to była miła i radosna. Na białym domu igrały cienie. Wśród gęstego listowia skrzeczały papugi; przejechała z hukiem ciężarówka. Młody człowiek z całą żarliwością dowodził jak wielką doniosłość w naszym rozwoju ma *Guru*, nauczyciel; inni zgadzali się z nim w pełni i uśmiechali z zadowoleniem gdy przedstawiał swój punkt widzenia jasno i obiektywnie. Niebo było o głębokim błękitcie, a biało-gardły orzeł krążył nisko, prawie nie poruszając skrzydłami. Był prześliczny dzień.

O jakże niszczyliśmy się wzajemnie, uczeń nauczyciela a Guru ucznia! Wciąż przystosowujemy się do innych, poddając się im, a potem zrywamy wiązy, by znów za chwilę wejść w określone ramy! Z wilgotnej ziemi ptak z mozołem wyciągał długą glistę.

Nie jedno w nas istnieje oblicze, nie jedna "osoba", jest ich wiele. Jedna nie przychodzi do głosu zanim tych wiele nie ścichnie. Owa krzykliwa ciżba walczy ze sobą dzień i noc, i ta wojna, to ścieranie się stanowi ból naszego życia. Ledwie uda się nam uciszyć jeden głos, a już powstaje drugi i dziesiąty, i ten pozornie nie kończący się proces to nasze życie. Staramy się narzucić jeden głos, jedne "osobę" reszcie, ale wkrótce i ta jedna się na wielość rozszczepia. Głos wielu staje się głosem jednej i owa jedna poczyną rządzić i nabierać znaczenia, ale jest to wciąż ta sama gadanina. Jesteśmy mnogością głosów, a usiłujemy pochwycić cichy i jedyny głos. Ten jeden zamienia liczne dopiero gdy te zamilkną, aby go usłyszeć. Ale wielość ich nigdy nie odnajdzie tego jednego.

Idzie nie o to jak usłyszeć ten jeden głos, idzie o zrozumienie splotu licznych głosów, z których się składa nasza istota. Jedno oblicze spośród wielu nie może pojąć pozostałych; jedna postać nie jest w stanie zrozumieć mnogości postaci które wchodzi w skład naszego "ja". Nawet gdy jedna stara się opanować inne, urobić je i nimi rządzić, usiłowania jej zawsze zacieśniają i zamykają nas w sobie. Część nie może zrozumieć całości, toteż nigdy nie rozumiemy siebie. Nie ogarniając wzrokiem całości nie jesteśmy jej świadomi, gdyż część wciąż pochłania całą naszą uwagę. Część się dzieli, rozszczepia i staje się wielością. Aby zdać sobie sprawę z całokształtu siebie, ze starć i konfliktów zachodzących pomiędzy tymi licznymi w nas "osobami", trzeba zrozumieć samą istotę *pożądania*.

Pożądanie jest motorem wszelkiego działania; chociaż chęci i dążenia są różnorodne, a nieraz sprzeczne i ścierające się ze sobą, przecie wszystkie nieodmiennie wypływają z pożądań. Nie należy ich tłumić, ani też starać się uszlachetniać, trzeba je *zrozumieć*; ale niejako bez obserwatora, bez tego, który rozumie, jakby poza nim. Bo jeśli obserwator który usiłuje rozumieć jest obecny, będzie on wciąż jeszcze wytworem pragnienia. Ale rozumieć bez doznającego - czyli bez podmiotu - to uwolnić się zarówno od tego jednego swego oblicza jak i od wielu.

Wszelkie działanie oparte na dostosowywaniu się i przeciwstawianiu, analizowaniu i zgadzaniu się, tylko zasila obserwatora, tego, który doświadcza; a ten nigdy nie zrozumie całości. Jest on sam tym wszystkim co nagromadził, a rozumienie nie rodzi się w cieniu przeszłości. Opieranie się na przeszłości, wyciąganie z niej wniosków może nam wskazać drogę działania; ale przygotowywanie sobie środków dla osiągnięcia czegoś, nie jest rozumieniem. Rozumienie nie należy do dziedziny intelektu; a gdy staramy się opanować i uciszyć myśl, aby uchwyciła to, co jest poza intelektem, doznanie nasze jest jeno projekcją przeszłości.

A w czujnym, jasnym uświadamianiu sobie (awareness) całokształtu tego procesu, powstaje samorzutnie cisza, która nie pochodzi od doznającego. I tylko w tej ciszy może zaistnieć rozumienie.

I. 16. SEN

Była chłodna zima, nagie drzewa wyciągały ku niebu bezlistne konary. Zielonych było zaledwie parę, lecz i one odczuwały dotkliwie zimne wichry i nocne przymrozki. W dali, na horyzoncie, rysowały się góry pokryte śniegiem, a nad nimi spiętrzały się białe, ciężkie obłoki. Trawa przybrała brązowo-rdzawy kolor, bowiem od wielu miesięcy nie było deszczów, a do wiosennych było jeszcze daleko. Uśpiona ziemia leżała odłogiem. Nie widziało się też

wesołej krzątanimy ptaków wśród zielonych żywopłotów, a drogi były twarde i pełne kurzu. Na jeziorze można było dojrzeć stadko dzikich kaczek odpoczywających przez chwilę w locie na południe. W górach kryła się obietnica wiosny, a ziemia wyglądała jej z utęsknieniem.

Co by się z nami stało, gdybyśmy byli pozbawieni snu? Czy mielibyśmy więcej czasu na walki, intrygi, złośliwości? Czy bylibyśmy jeszcze bardziej okrutni i bezwzględni? Czy też było by nieco więcej miejsca na pokorę, współczucie prostotę? Czy przejawialibyśmy więcej twórczości?

Sen jest czymś dziwnym, niezmiernie ważnym. Dla większości ludzi ich dzienne czynności rozciągają się i na stan nocnego spoczynku; ich sen jest dalszym ciągiem ich życia - tępego i przytłumionego lub pełnego podniecających wrażeń; przedłużeniem - na innym poziomie, - jego płytkości i bezsensownych walk.

Sen odświeża nasze fizyczne ciało; organy wewnętrzne, posiadające swe własne odrębne życie, odnawiają się w tym wypoczynku, pożądania ucichają podczas snu i nie narzucają się organizmowi; ale gdy ten jest odświeżony i wypoczęty pragnienia mają nowe, większe możliwości do wyrażania się i ekspansji. Jasne jest, że im mniej się wtrącamy w działanie wewnętrznych organów naszego ciała, tym lepiej, im mniej myśl chce rządzić ciałem, tym zdrowsze i naturalniejsze są jego funkcje. Jednak choroby ciała należą do innej kategorii, mogą one być skutkiem działania myśli, albo też wynikać z jego własnej słabości.

Sen ma bezsprzecznie duże znaczenie, ale im pożądania są bardziej zasilane, tym znaczenie jego jest mniejsze. Pożądania, czy to pozytywne czy negatywne, w zasadzie, swych podstaw są zawsze zabarwione agresywnością i utwierdzające nasze "ja", a sen jest czasowym tej cechy zawieszeniem. Sen nie jest odwrotnością pożądań, ani ich zaprzeczeniem, ale jest stanem, w którym nie mogą działać. Podczas snu uciszają się powierzchniowe warstwy naszej świadomości, a przez to samo stają się odbiorcze na wpływy pokładów głębszych; ale jest to oczywiście tylko częściowe oświetlenie całego zagadnienia.

W istocie jest zupełnie możliwe połączenie wszystkich warstw czy pokładów naszej świadomości, tak aby były w ciągłym z sobą kontakcie, zarówno podczas dnia - na jawie - jak i w nocy, podczas snu; a jest to niezmiernie ważne. Takie połączenie pozbawia intelekt poczucia swej ważności, a tym samym odbiera mu jego dominującą rolę. Wówczas jego zamykające się w sobie tendencje oraz wysiłki ku ekspansji znikają całkiem prosto i naturalnie. W tym procesie impuls do stawania się znika, pęd do nieustannego gromadzenia ustaje.

Prócz tego jeszcze coś więcej zachodzi podczas snu: oto nieraz rozwiązują się nurtujące nas problemy. Gdy świadomy umysł ucicha, staje się zdolny do przyjmowania odpowiedzi na zagadnienia które nas obchodzą; a dzieje się to zupełnie prosto. Ale rzeczą jeszcze ważniejszą i nad wszystko doniosłą jest dokonujące się w nas podczas snu odnowienie, bez żadnego z naszej strony wysiłku. Można rozwijać świadomie jakąś zdolność lub dar natury, można wyrabiać technikę, czy też dostosowywać swe postępowanie do jakiegoś wzoru, ale nie będzie w tym odnowienia. Rozwijanie, wyrabianie czegoś nie jest nigdy twórcze. Odnowienie twórcze dokonuje się samo, gdy nie ma z naszej strony żadnego wysiłku, gdy dobrowolnie odrzucamy wszelki impuls do gromadzenia, zdobywania i śpichlerzowania doświadczeń, jako środków do

zbierania coraz to nowych i wspinania się coraz wyżej. Właśnie ten zaborczy i samoobronny impuls stwarza rozpiętość czasu i uniemożliwia twórcze odnowienie.

Świadomość taka jaka znamy, działa zawsze w czasie, notuje i gromadzi doświadczenia na różnych swych poziomach; i wszystko, co się w tej świadomości odbywa jest jej własną projekcją, posiada właściwe sobie cechy i jest całkiem wymierne. Podczas snu ta świadomość albo zostaje zasilona, albo też zachodzi coś zgoła innego. U większości z nas sen wzmacnia nasze dotychczasowe przeżycia, jest także procesem notowania i gromadzenia, w ciągu którego dokonuje się ekspansja, ale nie odnowienie. Rozszerzanie swego "ja" - proces ekspansji - daje nam uczucie podniosłego podniecenia, zachwytu własnym osiągnięciem, jest dokonaniem - jak się nam zdaje - czegoś wielkiego, ale to wszystko nie jest bynajmniej twórczym odnowieniem. Cały ten proces stawania się i zdobywania musi skończyć się, ale nie po to, by nam ułatwić nowe doświadczenia; musi po prostu samorzutnie się skończyć.

Nieraz podczas snu, a niekiedy i za dnia, gdy troska o własne stawanie się całkowicie znika, gdy skutki jakiejś przyczyny przestają działać, rodzi się to, co jest *poza czasem*, poza obrębem wymiernej przyczynowości.

I. 17. MIŁOŚĆ W STOSUNKACH WZAJEMNYCH

Droga biegła niedaleko osiedla, wznosiła się na wzgórze skąd widziało się różne zabudowania, krowy z cielętami, kury, kurczęta, konie i wszelki rolny sprzęt. Droga to była przemiła; wiodła przez gęsty las, nieraz przebiegały nią sarny i inne leśne zwierzęta, zostawiając w miękkiej glinie ślady swych kroków. Gdy było cicho dobiegały tu śmiechy i głosy z osiedla, dźwięki muzyki radiowej niosły się z wiatrem daleko. Ferma była zasobna i dobrze utrzymana. Nieraz słyszało się gniewne, podniesione głosy, po czym gwar dziecinny przycichał. Z poza gąszczu drzew dolatywała pieśń, ale podniesione głosy przygłuszały je. Z domu wyszła kobieta; trzasnąwszy drzwiami skierowała się do opłotków obórki, gdzie poczęła nagle okładać krowę kijem. Głuchy, a przecie donośny odgłos uderzeń dobiegał aż do nas, na wzgórze.

Jakże łatwo jest zniszczyć to, co kochamy! Jak prędko powstają pomiędzy nami przegrody, jedno słowo, gest, uśmiech - wystarczą. Cień może paść z przyczyn nastroju, złego zdrowia, czy pożądania; i to, co było świetlane, staje się smutne i uciążliwe. Zużywamy się z biegiem czasu, i stosunek wpiery żywy i jasny zmienia się w nużący i skomplikowany Przez nieustanne tarcia, zawiedzione nadzieje i rozczarowania, to, co było proste i piękne, staje się ciężkie i bolesne. Stosunki z ludźmi są rzeczą złożoną i trudną; niewielu wychodzi z nich obronną ręką, bez blizn. Chcielibyśmy aby były trwałe, niezawodne, jakby statyczne, a one są w ciągłym ruchu, są procesem który trzeba wszechstronnie zrozumieć, a nie dostosowywać do jakichś wewnętrznych wzorów lub konwencjonalnych zwyczajów.

Na poddawaniu się i przystosowywaniu opiera się cała budowa społeczna; a rutyna i konwencjonalizm tego traci swą wagę i wpływ tylko tam, gdzie jest miłość. Miłość w stosunkach wzajemnych jest oczyszczająca, gdy możemy w nich odkrywać własne reakcje i odruchy naszego "ja". A jeśli stosunki nasze z ludźmi nie prowadzą do takich odkryć i odsłaniania siebie, mają niewielką dla nas wartość.

Ale jakże my się tych odkryć boimy! Samoobrona ta przybiera różne formy: narzucania lub poddawania się, lęku lub oczekiwania, zazdrości lub nadziei, czy też biernej zgody, itd. itd. Ale na nieszczęście nie umiemy kochać; a jeśli nawet Kochamy ograniczamy to uczucie, włączamy je w określone formy i wyobrażenia, nie dajemy pełnej swobody miłości.

Kochamy mózgiem, nie sercem. Intelpekt może się zmieniać i dopasowywać, ale nie miłość. Intelpekt może stać się nieprzystępny i niewrażliwy na cierpienie, ale miłość tego nie zdoła; intelpekt potrafił zawsze wycofać się i zabezpieczyć; może być wyłączny, zaborczy, osobisty, lub bezosobisty. A miłości nie można do niczego przystosować, nie da się jej zamknąć w żadne opłatki i niczym zabezpieczyć. Smutek naszego życia polega na tym że *nazywamy* miłością to, co właściwie należy do intelektu. Przepelniamy serce tym, co pochodzi z dziedziny myśli więc serca nasze są wciąż puste i głodne.

To intelpekt rodzi zaborczość i zazdrość, to on chwyta, trzyma, zagarnia, i on też niszczy i pustoszy. Życiem naszym rządzą intelpekt i nerwy. Pragniemy wciąż aby nas kochano; a nie znamy miłości która niczego nie żąda; dajemy tylko po to, aby coś w zamian otrzymać, a to jest hojnością typowo intelektualną, nic z sercem nie mającą wspólnego. Myśl wciąż szuka pewności i zabezpieczenia się, a czyż można upewnić się myślą w miłości? Czy może intelpekt, którego podłożem jest pamięć, jest czas, pochwycić miłość która jest sama w sobie wiecznością?

Ale nawet miłość serca ma swe niebezpieczeństwa; takeśmy zacieśnili i zdeprawowali nasze uczucia, iż serca nasze są dziś jakby stracone, pełne wahań i niepewności. I właśnie to czyni nasze życie tak ciężkim, trudnym i męczącym. Raz się nam zdaje że Kochamy, a za chwilę już się to ulatnia. Czujemy przyływ jakiejś wielkiej, ponad myślowej, nieuchwytnej mocy, płynącej z jakichś niezgłębionych źródeł, a za chwilę znów intelpekt się wkrada i niweczy tę moc; bo w owych starciach wewnętrznych zdaje się on być zawsze zwycięzca. Ani sprytny, przebiegły mental ani pełne wahań i niepewności serce nie mogą, rozstrzygnąć tej walki. I nie ma środków ani sposobów aby położyć jej kres. Samo szukanie sposobów wyjścia z niej jest jednym więcej usiłowaniem intelektu - naszego "ja" - aby zagarnąć władzę, usunąć rozterki, aby zdobyć spokój i zatrzymać miłość, gwoli stania się czymś samemu.

Najtrudniej nam zrozumieć że nie istnieją żadne sposoby ni środki by przywołać miłość gdy pożąda jej nasze "ja". Gdy dogłębnie zrozumiemy tę prawdę, wówczas zaświta możliwość przyjęcia czegoś, co nie jest z tego świata. A bez tego czegoś nie może zaistnieć trwała radość w stosunkach ludzkich, choćbyśmy się o to jak najusilniej starali.

Jeśli np. ku tobie zejdzie to błogosławione tchnienie, a na mnie ono nie wpłynie, konflikt pomiędzy nami będzie nieunikniony; może ty go nie odczujesz, ale we mnie na pewno wywoła to rozterkę i sprawi iż w bólu moim i smutku odejdę od ciebie. Ból jest równie wyłączny jak szczęście, i dopóki nie zrodzi się między nami *miłość*, która nie jest naszym własnym tworem, stosunki nasze będą bolesne i trudne. A gdy przyjdzie błogosławieństwo *tej* miłości, będziesz mnie kochał bez względu na to, jakim jestem, bo miłość twa będzie wówczas zupełnie niezależna od mego postępowania.

Cokolwiek by sobie intelpekt wyobrażał, faktem jest iż ty i ja jesteśmy oddzielni, wprawdzie wiele może nas łączyć, ale istotne zjednoczenie nie od ciebie zależy, możliwość jego jest we mnie. Nie dokona się ono nigdy przy pomocy

myśli, może przyjść gdy myśl ucichnie, bo doszła do swych ostatnich rubieży. I tylko wtedy stosunki nasze będą wolne od bólu.

I. 18. ZNANE I NIEZNANE

Długie cienie wieczoru kładły się na ciche wody. Po gwarnym dniu spokój schodził na szeroką rzekę. Ryby w podrzutach wynurzały się co chwila z wody, a olbrzymie, ciężkie ptaki powracały w gęstwą rozłożystych drzew na nocny spoczynek. Nie było ani jednej chmurki na srebrno-błękitnym niebie. Duża łódź, pełna ludzi, płynęła w dół rzeki, wszyscy śpiewali wybijając takt dłońmi. Z oddali dolatywało porykiwanie krów. Pachniało wieczorem. Girlandka nagietek unosiła się na wodzie i błyskała złotem w promieniach zachodzącego słońca. W tej wielkiej ciszy jakże żywe i piękne było wszystko - rzeka, ptaki i drzewa i ci na łodzi wieśniacy!

Siedzieliśmy pod drzewem zwróceni ku rzece. Parę chudych krów pasło się opodal. Obok wznosiła się mała świątynka; obejście wokół niej było czyściutko zamiecione, a kwieciami osypane, otaczające ją krzewy starannie utrzymane. Ktoś właśnie odprawiał w świątyni obrzęd wieczorny, a głos jego był monotony i smutny. Woda w ostatnich promieniach słońca jaśniała barwą świeżych pąków kwiatnych.

Po chwili ktoś usiadł przy nas i począł mówić o swoich przeżyciach. Opowiadał iż poświęcił wiele lat życia szukaniu Boga, praktykował różne umartwienia, wyrzekł się wielu drogich mu rzeczy. Brał również żywy udział w pracy społecznej, pomagał w budowaniu szkoły itp. Interesował się wielu sprawami, ale najgorętszym jego pragnieniem było znaleźć Boga; i oto dopięto teraz, po tylu latach, słyszy Jego głos, który kieruje nim zarówno w wielkich, jak i w drobnych sprawach. Odtąd nie ma własnej woli, idzie zawsze za tym wewnętrznym głosem Boga. Głos ten nigdy go dotąd nie zawiódł, choć zdarzało mu się czasem zmącić jasność odbioru; jedyną jego modlitwą była prośba o czystość naczynia, aby było godne przyjmowania tego głosu.

Czy możemy - wy lub ja - znaleźć Niezmierzone? Czy to, co jest wytworem czasu, może sięgnąć w ponadczasowe? Czy mogą starannie praktykowane ćwiczenia doprowadzić nas do tego co jest nieznanego? Czy istnieją jakieś drogi ku temu, co nie ma początku ni końca? Czy można to Rzeczywiste złowić w sieć naszych pragnień? Wszystko co możemy uchwycić będzie tylko projekcją tego co już znamy; a znane nie może nigdy schylać nieznanego. To, co jest nazwane, nie jest niewysłowionym; a nadając czemukolwiek imię budzimy jeno uwarunkowaną odpowiedź, ale te reakcje, choć mogą być miłe i wzniosłe, nie pochodzą od Rzeczywistego. Zazwyczaj odpowiadamy na bodźce; a Rzeczywiste nie dostarcza bodźców, ono *jest*.

Umysł porusza się wśród rzeczy znanych i zawsze ku znanym dąży, a w nieznanego nie może wychylić się nigdy. Nie da się myśleć o czymś całkiem niewiadomym, jest to po prostu niemożliwe. Wszystko o czym myślimy pochodzi ze znanego, z przeszłości, czy to bardzo odległej, czy przed chwilą minionej. Owa przeszłość jest myślą urobioną i ograniczoną przez wiele wpływów, zmienia się ona zależnie od warunków, ciśnień i okoliczności, ale pozostaje zawsze w obrębie czasu. Myśl może stwierdzać lub zaprzeczać, ale nie potrafi szukać nowego ani je odkrywać, nie może nawet na *nowe* natrafić. Dopiero gdy myśl ucicha, *nowe* może się nam odsłonić - ale myśl natychmiast zmienia je w stare, gdyż zagarnia je i włącza w zasób rzeczy już doznanych.

Myśl zawsze urabia, układa, zabarwia, nadaje kształty wedle wzoru przeżytych doświadczeń. Funkcją myśli jest przekazywanie, a nie stan doznawania. Gdy żywe, aktualne doznawanie dobiega końca, myśl wchodzi na scenę, określa je i podciąga pod znane kategorie. Myśl nie jest zdolna przeniknąć w niewiadome, toteż nie może *nigdy* odkryć ani doznać Rzeczywistego.

Reguły, wyrzeczenia, obrzędy, ofiary i praktykowanie choćby najszlachetniejszych cnót - to procesy myślowe, a myśl może się kierować tylko ku określonemu, a więc znanemu celowi. Osiągnięcia jej są zabezpieczaniem się i utwierdzaniem w znanym, dla samoobrony. A szukać schronienia w tym, co jest bezimienne, niewymowne - to temu zaprzeczać. Schronienie które da się znaleźć, będzie tylko projekcją przeszłości, a więc znanym. Myśl - psychika - musi być cicha, cicha do dna; ale tej ciszy nie da się kupić za cenę największych ofiar, nie pomogą też żadne stłumienia ani najwznioślejsze dążenia. Owa cisza przychodzi sama gdy człowiek nic nie trzyma, niczego nie pragnie, gdy nie chce niczym się stawać. Cisza ta nie wzrasta, nie można jej budować i nie da się jej zatrzymać wysiłkiem ani żadnym ćwiczeniem. Cisza ta musi pozostać dla intelektu równie nieznaną jak to, co jest poza czasem, bo jeśli intelekt jest jej świadom, wówczas pojawia się "doznający", który sam jest wypadkową przeszłych przeżyć i pamięta ubiegłe stany ciszy, a to co *już było* doznane jest tylko powtórzeniem, a więc projekcją naszego "ja". Intelekt nie może nigdy doznać nowego, toteż musi zupełnie ucichnąć.

Umysł jest cichy gdy nic nie przeżywa czyli nic nie określa, nie notuje, nie nazywa i nie stara się gromadzić w pamięci. A owo notowanie i określanie jest procesem, który się nieustannie w nas odbywa na różnych poziomach naszej świadomości, a nie tylko w powierzchniowej warstwie intelektu; więc gdy ten ucicha, głębsza świadomość może przyjść do głosu. Ale dopiero gdy *cała* nasza świadomość jest cicha i uspokojona, wolna od wszelkich dążeń, osiągnięć i stawań się - czyli prosta i bezpośrednia - bezmierne i pozaczasowe może się objawić.

Jednak chęć zatrzymania tej ciszy, tej wolności, zmienia się w ciągłość pamięci "doznającego" człowieka, a to stanowi przeszkodę dla Rzeczywistego. Rzeczywiste nie ma ciągłości; pojawia się z chwili do chwili, wciąż nowe, wciąż świeże. To co trwa, co posiada ciągłość nie jest nigdy twórcze.

Powierzchniowy umysł jest tylko narzędziem do porozumiewania się, nie może mierzyć tego, co jest niewymierne. O Rzeczywistym nie da się mówić; a gdy się o nim mówi, ono już nie jest Rzeczywistym.

I to jest medytacja.

I. 19. SZUKANIE PRAWDY

Przyjechał z bardzo daleka, przebył tysiące mil statkiem i samolotem. Znał tylko swój język i z największą trudnością przystosowywał się do naszego, jakże trudnego otoczenia. Był zupełnie nieprzyzwyczajony do tutejszego klimatu i rodzaju odżywiania, gdyż urodził się i wychował w klimacie górskim, a wilgotne gorąco męczyło go niepomierne. Był to człowiek odczytany, a nawet pod pewnym względem uczony, sam również pisywał. Zdawał się dobrze

znać filozofię zarówno Wschodu jak Zachodu; był rzymskim katolikiem, nie odpowiadało mu to jednak; trawiło go od dawna niezadowolenie, ale pozostawał w tym wszystkim przez wzgląd na rodzinę. Małżeństwo jego mogło być uważane za szczęśliwe, kochał też dwoje swoich dzieci. Były teraz w wyższych uczelniach, w tym odległym kraju, i wróżono im piękną przyszłość. Ale w nim niezadowolenie ze swego życia i czynów wzrastało stale przez ostatnie lata, aż parę miesięcy temu doszło do gwałtownego kryzysu. Opuścił rodzinę - zabezpieczywszy wpiery żonę i dzieci - i oto jest tutaj; ma dość środków na skromne utrzymanie, a przyjechał by szukać Boga. Twierdził iż jest pod każdym względem zrównoważony, a cel swój widzi jasno.

O zrównoważeniu nie mogą sadić ludzie pełni zahamowań, ani też ci, którym się dobrze powodzi. Może właśnie ci ostatni w ogóle nie są w równowadze; zaś ci którym się źle powodzi stają się cyniczni i rozgoryczeni albo znajdują ucieczkę w jakiejś, własną wyobraźnią stworzonej ułudzie. O zrównoważeniu nie mogą też decydować specjaliści od psychoanalizy; bo przystosowanie się do przyjętych norm niekoniecznie ma dowodzić zrównoważenia. Może właśnie te przyjęte dziś normy są wytworem cywilizacji pozbawionej równowagi. Społeczeństwo chciwe i zaborcze, te swymi schematami i normami postępowania nie jest zrównoważone, bez względu na to czy jest rządzone przez lewicę czy prawicę, czy środki wyzysku skupiają się w ręku państwa, czy obywateli. Równowagą jest brak chciwości i zaborczego zdobywania. Ale pojęcia zrównoważenia czy niezrównoważenia należą do dziedziny myśli, więc nie mogą być sprawdzianem. Wszak sama myśl pełna uwarunkowanych reakcji, zasad i osadów nie jest ścisła, nie odpowiada prawdzie. Prawda nie jest pojęciem ani wnioskiem.

Czy można znaleźć Boga szukając Go? Czy w ogóle można szukać *niepoznawalnego*? Wszak chcąc coś znaleźć trzeba wiedzieć czego się szuka. A jeśli szukamy z postanowieniem znalezienia, to, co znajdziemy będzie tylko projekcją nas samych, będzie tym, czego pożądamy; a wytwór pragnienia nie jest Prawdą. Szukać Prawdy to jej zaprzeczać. Prawda nie ma stałego przybytku, żadna nie prowadzi do niej droga, żaden przewodnik; a słowo "prawda" nie jest nią samą. Czy znajduje się ona tu, a nie tam? Czy właśnie ten człowiek może nam ją wskazać, a nie tamten? Czy w ogóle może istnieć jakiś do niej przewodnik? Gdy Prawdy chcemy świadomie szukać, to, co znajdziemy będzie jeno wytworem niewiedzy, bo samo jej poszukiwanie rodzi się z niewiedzy. Nie można rozglądać się za Prawdą, ani szukać Rzeczywistego, trzeba przestać żyć w naszym "ja", aby Prawda mogła się nam ukazać.

"Czyż naprawdę nie mogę znaleźć tego, co jest niewysłowione? Przyjechałem tu, bo się w tym kraju głębiej odczuwa tęsknotę do Prawdy; a fizycznie jest się o wiele swobodniejszym, nie potrzeba mieć tylu rzeczy, wpływ własności nie narzuca się nam tak silnie jak gdzie indziej. Chęć ujścia od tego ciężaru jest przecie jedną z przyczyn wstępowania do klasztoru; ale jest w tym również dużo z psychologicznego eskepizmu, a że ja wcale nie pragnę uciekać w zorganizowane osamotnienie, przeto jestem tutaj, i żyjąc własnym życiem, chcę znaleźć to, co jest niewysłowione. Czy jestem zdolny je znaleźć?"

Czyż jest to kwestia zdolności? Czy zdolność do czegoś nie oznacza również przyjęcia pewnej metody działania, pewnej z góry określonej drogi, wymagającej ciągłego dostosowywania się? Zadając to pytanie czy nie myślisz jednocześnie: "Czy ja, zwykła jednostka ludzka, mogę posiadać

dostateczne dane by zdobyć to, czego pragnę?" Wszak w tym pytaniu kryje się niedomówione przypuszczenie iż tylko wyjątkowi ludzie mogą znaleźć Prawdę, a nie zwykły szary człowiek. Czyż Prawda daje się poznać tylko nielicznymi niezwykle inteligentnym jednostkom? Dlaczego pytamy czyśmy zdolni ja, znaleźć? Czy nie dlatego że mamy przed oczami wzór, przykład kogoś kto Prawdę ponoć odkrył i zapatrzeli w ten wzór - w naszym mniemaniu o wiele od nas wyższy - odczuwamy niepewność i niepokój? Ów przykład nabiera więc ogromnego znaczenia, i powstaje współzawodnictwo pomiędzy nami a owym "ideałem": my również chcemy być zwycięzcami w wyścigu. Czy aby pytanie: "czy jestem zdolny?" nie wynika ze świadomego lub nieświadomego porównywania siebie - takim jakim jestem - z przypuszczanym poziomem owego ideału?

Dlaczego porównujemy siebie z ideałem ? Czy jakiegokolwiek porównywanie zbliża nas do rozumienia? Czy ideał jest czymś od nas różnym? Czy nie jest on naszym własnym dziełem, wytworem "domowego wyrobu", przez nas samych, wyobraźnią stworzonym? A stąd przeszkody w rozumieniu siebie takimi, jakimi naprawdę w tej chwili jesteśmy ? Czy porównywanie nie jest uchylaniem się od badania i rozumienia siebie? Istnieje wiele odmian i sposobów uciekania od siebie, a porównywanie jest jednym z nich. Szukanie tzw. Rzeczywistego, zanim nie zdobędziemy samopoznania jest również ucieczką od siebie. Dopóki nie zrozumiemy siebie, Bóg którego szukamy będzie bogiem złudnym, a wszelkie ułudy sprowadzają nieuniknienie rozterki i cierpienie. Bez samopoznania nie może istnieć prawdziwa - tj. z prawdą zgodna - myśl, a bez niej cała wiedza jest jeno niewiedzą, ciemnotą, prowadzącą do zamętu i spustoszenia. Ale samopoznanie nie jest ostatecznym celem, jest ono tylko jednym ważkim wylotem na bezgraniczne i niewymierne.

"Czy samopoznanie nie jest ogromnie trudne do zdobycia? Czy nie zabiera bardzo dużo czasu?"

Sama myśl że poznanie siebie jest tak trudne do osiągnięcia, stanowi największą przeszkodę. Nie przypuszczajmy iż jest ono trudne, ani że zajmie dużo czasu, nie określamy z góry czym jest, a czym nie jest. Zacznijmy. Odkrywa się siebie w działaniu, w naszym stosunku do zdarzeń i ludzi; a każdy czyn jest do czegoś stosunkiem. Samopoznania nie zdobywa się przez odosabnianie się ani oddalanie od życia; cofanie się od kontaktów z tym, co nas otacza, to śmierć. Śmierć jest ostateczny formą sprzeciwu, negacji, opierania się życiu. Opór przejawiający się jako stłumienie, podstawianie jednego za drugie - czyli uciekanie się do namiastek - albo jako sublimacja, uwznioślanie w jakiegokolwiek formie, jest przeszkodą w wyrażaniu się, a więc i swobodnym płynięciu samopoznania. Ale odkryć ten opór, to cofanie się - można tylko obserwując siebie w czynie, w stosunku naszym do rzeczy i ludzi. Opór - czynny lub bierny - wyrażający się w porównywaniu, usprawiedliwianiu, potępianiu, czy też utożsamianiu się, jest i sprzeciwianiem się i zaprzeczaniem temu co *jest*.

W tym co *jest* zawiera się prawda rzeczy każdej. Świadomość jej obecności - bez chęci wyboru ni wartościowania - jest odślanianiem jej i rozwijaniem. A to odślanianie i rozchylenie się Prawdy jest początkiem mądrości. A mądrość jest nieodzowna by to, co jest niewiadome i bezgraniczne, mogło się objawić.

I. 20. WRAŻLIWOŚĆ

Był to piękny ogród, o szerokich trawnikach i wiekowych, cienistych drzewach; dom był przestronny i pełen powietrza, o dużych pokojach w harmonijnych proporcjach. Drzewa dawały schronienie wiewiórkom i czeredom ptaków, a do wodotrysku przylatywały różne -duże i małe, czasem pokazywały się nawet orły, ale przeważnie odwiedzały go wrony, wróble i hałaśliwe papużki. Dom i ogród były odosobnione i zaciszne; zamykał je wysoki biały mur; jakże miło było wewnątrz tego ogrodu! Nie dochodził tu z poza bramy hałas gościńca, ani odgłosy pobliskiej wioski, która rozciągała się opodal, na krańcach dużego miasta.

Wieś to była brudna, z otwartymi ściekami wzdłuż głównej wąskiej uliczki; chaty jej były kryte palmowym liściem, a u wejścia, przed każdym niemal progiem widniały dekoracyjne motywy, narysowane białymi liniami na ubitej ziemi. Na chodnikach i uliczkach bawiły się dzieci. Tkacze rozciągali właśnie, między dwoma drzewami, osnowę z długich barwnych nici, przygotowując ją do tkania, a grupa dzieci przyglądała się z zaciekawieniem ich robocie. Całość przedstawiała ciekawy widok. Gwaro tu było i wesoło, ale wcale nie pachnąco. Wieśniacy byli tylko co po kąpielu, ubrania mieli na sobie niewiele, gdyż klimat był gorący. Nad wieczorem niektórzy upijali się i byli wówczas hałaśliwi i brutalni.

Cienki mur odgradzał piękny ogród od pulsującej życiem wioski. Unikać brzydoty a szukać tylko piękna jest oznaką niewrażliwości. Podkreślanie przeciwieństw i zasilenie jednego z nich zacieśnia umysł i zamyka serce. Cnota nie jest bynajmniej odwrotnością czegoś, a jeśli nią jest przestaje być cnotą. Kto widzi piękno tej wioski, będzie również wrażliwy na ów zieleniejący, rozkwiecony ogród. Zazwyczaj jednak chcemy widzieć tylko piękno, a odwracamy się od brzydoty. Ale takie oddzielanie się rodzi twardość i niewrażliwość, a wcale nie rozwija w nas zmysłu piękna. Piękno i dobro nie przebywa w ogrodzie, z dala od wioski, ukrywa się ono w prawdziwej wrażliwości oddzwiekającej żywo na jedno i drugie.

Odsuwać się od czegoś lub z czymś się jednoczyć wiedzie do ciasnoty, która niweczy wszelką wrażliwość. Ale tej nie da się pielęgnować i rozwijać myślą; intelekt bowiem umie tylko dzielić i narzucać. Istnieje zarówno złe, jak i dobre, ale gonić za jednym, a oddzielać się od długiego, nie budzi owej wrażliwości, która jest nieodzowna aby Prawda mogła się objawić.

Rzeczywiste nie jest odwrotnością ułudy, a Prawda odwrotnością fałszu; a gdy staramy się do niej zbliżyć jako do przeciwieństwa, nie ukaże się nam nigdy. Rzeczywiste może się odsłonić tylko gdy wszystkie przeciwieństwa znikną. W procesie potępiania lub wychwalania tai się zawsze przeciwieństwo, konflikt odwrotności, który musi wytwarzać dalsze tarcia i rozterki. Ale gdy podchodzimy do zjawisk beznamiętnie, nie emocjonalnie, gdy nie odpychamy ich ani usprawiedliwiamy, wówczas nie wywołujemy żadnych sprzeczności ni konfliktów. Zjawiska i fakty same w sobie nie zawierają sprzeczności, nabierają ich dopiero gdy przyjmujemy je z lubością albo z niechęcią i sprzeciwem. Taki emocjonalny stosunek wznosi mury niewrażliwości i niweczy czyn. Jeśli np. wolimy przebywać w ogrodzie, kryje się w tym opór względem wsi; a gdzie jest opór tam nie zrodzi się bezpośredni czyn ani w ogrodzie ani w stosunku do wioski. Wprawdzie może zaistnieć działalność, ale nie czyn, a to są dwie rzeczy różne. Działalność wypływa zawsze z pojęć i wyobrażeń, a czyn jest od nich wolny. Pojęcia i

wyobrażenia mają swe przeciwieństwa; wszelki ruch w obrębie dwójni przeciwieństw jest tylko działalnością, jakkolwiek byśmy ją rozbudowywali czy modyfikowali.

Działalność nie jest nigdy wyzwalająca. Jest ona uwarunkowana przeszłością, rozciąga się też w przyszłość; a czyn jest od obu niezależny. Czyn zachodzi zawsze w "teraz" i dlatego jest bezpośredni. Wszelkie reformy to działalność, a nie czyn; to, co jest ulepszone wymaga wkrótce dalszych ulepszeń. Reformowanie jest antytezą prawdziwego czynu; jest "re-akcją" tzn. ruchem powstającym tylko w przeciwieństwie do czegoś. A czyn staje się bezpośrednio, z godziny na godzinę i od chwili do chwili, i, o dziwo, nie zawiera w sobie sprzeczności. Działanie zaś, choć może się nam zdawać że nie załamuje się nigdzie, ma ich wiele. Działalność rewolucyjna jest pełna zagadkowych sprzeczności, więc w istocie nigdy nie oswobadza. Starcia, wartościowania i wybory - stawanie po jednej lub po drugiej stronie - nie są nigdy czynnikiem wyzwalającym. Gdzie zachodzi wybór, tam ma miejsce działanie a nie czyn; bowiem wyborem rządzą pojęcia i wyobrażenia więc czynniki intelektualne; intelekt może wyrażać się w działaniu, ale nie wie czym jest czyn.

Prawdziwy czyn wypływa z zupełnie innych źródeł.

Księżyc podniósł się właśnie nad wioską, a w ogrodzie pogłębiały się cienie.

I. 22. "JA"

Naprzeciwko nas siedział człowiek wysoko usytuowany, posiadający dużą władzę; był tego w pełni świadom, wyrażały to wszystkie jego ruchy, gesty, spojrzenia, czuło się że ani na chwilę nie zapomina o swej ważności. Miał wysokie stanowisko w rządzie; a ludzie którzy go otaczali zwracali się doń z uniżonością, prawie służalczo. Mówił do kogoś podniesionym głosem, iż zajmowanie mu czasu jakimiś drobnymi urzędowymi sprawami jest zgoła niewłaściwe, a nawet oburzające. Narzekał gderliwie na robotę swoich podwładnych; a obecni zdawali się go słuchać z pewnym nerwowym napięciem.

Lecieliśmy wysoko - 18,000 stóp nad ziemią - ponad zwałami chmur; przez raz po raz otwierające się w nich dziury widniał błękit morza. A gdy obłoki jeszcze bardziej się rozsunęły, dostrzegało się góry pokryte śniegiem, wyspy i szerokie otwarte zatoki. Jakże dalekie i piękne wydawały się stąd samotne domy i małe wioszczyń! Rzeka rwała z gór ku morzu; płynęła przez duże miasto pełne kurzu i dymu, wody jej stawały się tu brudne i mętne, ale już nieco dalej, za miastem, były znów przejrzyste i jasno błyszcząły w słońcu.

O parę foteli od nas siedział oficer w mundurze, a pierś jego zdobiły liczne wstążeczki i ordery. Był równie pewny siebie i swej wyższości jak ów wysoki urzędnik. Czuł swą przynależność do klasy odrębnej, a istniejącej na całym świecie.

Dlaczego chodzi nam tak bardzo o uznanie, o stwierdzenie ważności naszej osoby, o oznaki szacunku? Co jest przyczyną takiego snobizmu? Czemu tak się uparcie trzymamy odrębności naszego imienia, stanowiska, zdobytych osiągnięć i majątności? Czy anonimowość jest poniżająca? Czy być nieznanym jest hańbą? Dlaczego szukamy usilnie towarzystwa ludzi sławnych i popularnych? Czemu nie znajdujemy zadowolenia po prostu w byciu sobą -

tym czym jesteśmy? Czy to na tyle nas przeraża i zawstydza, że imię, stanowisko, tytuły i przeróżne dobra nabierają tak wielkiego znaczenia? Byłoby naprawdę ciekawe przekonać się jak silne jest w nas to pragnienie poklasku i uznania. W podnieceniu bitwy dokonuje się niezwykłych niemal niewiarogodnych czynów, które nam zyskują ludzki szacunek a nawet cześć; mianuje się bohaterem ludzi którzy zabijają swych bliźnich.

Dzięki sprytowi i poparciu, albo zdolnościom i wydajności pracy, człowiek się wspina po społecznej drabinie prawie do jej wierzchołka, ale ten nie jest dlań nigdy szczytem, gdyż w upojeniu powodzeniem pożąda coraz większych wyżyn. Interes, biuro, kraj - stają się niejako nami samymi, utożsamiamy się z nimi; wszak od nas zależą decyzje, w naszym ręku spoczywa władza. Zorganizowane religie rozdają również stanowiska i honory, i tam możemy się stać kimś ważnym, wpływowym i wyodrębnionym od innych. Podobnie się dzieje gdy zostajemy uczniem jakiegoś nauczyciela - Guru, mistrza, lub uczestniczymy w ich pracy. To również przydaje nam ważności, bowiem jesteśmy ich przedstawicielami, bierzemy udział w ich odpowiedzialności, mamy coś do rozdawania innym, którzy to przyjmują. Wprawdzie dajemy w imieniu naszych Guru, ale sami jesteśmy pośrednikami. Można przywdziać szalę mnicha lub wszystkiego się wyrzec prócz kawałka płótna na biodrze, ale to wciąż nasze "ja" się wyrzeka, "ja" czyni ten czy inny gest.

Więc tą czy inną drogą, w sposób subtelny czy jaskrawy, nasze "ja" jest żywione i zasilane. Pomijając wszelkie jego aspołeczne i szkodliwe działania, możemy spytać dlaczego nasze "ja" ma się w ogóle ciągle utwierdzać? Przecie znajdujemy się nieustannie w wirze przykrości i zmartwień, a przyjemności pojawiają się z rzadka, dlaczego więc nasze "ja" tak uparcie się trzyma wewnętrznych i zewnętrznych rozkoszy, czemu goni za tym, co nieuchronnie musi przynieść cierpienie i udrękę? Pożądanie jakiejś konkretnej działalności jako przeciwieństwa negacji i bierności, zmusza nas do ciągłych usiłowań aby czymś być; tylko dzięki tym wysiłkom czujemy że żyjemy, że życie nasze ma jakiś cel, a ufamy iż w miarę postępu potrafimy odrzucić wszystkie przyczyny tarć i udręczeń. Wydaje się nam że bylibyśmy niczym gdyby nasza działalność ustała, bylibyśmy wówczas straceni a życie nasze nie miałoby żadnego sensu; więc tkwimy nadal w tych tarciach, antagonizmach, chaosie. A jednocześnie czujemy że istnieje gdzieś jakaś "inność", coś wielkiego, tak zupełnie niepodobnego do nędzy naszego życia. I stąd rozterka i ciągła ze sobą walka.

Im wspanialsze formy na zewnątrz, na pokaz, tym większe wewnętrzne ubóstwo; ale oswobodzenia się od niego nie da nam szata mnicha, ani wyrzeczenie. Przyczyną tej wewnętrznej pustki jest nieustająca żądza stawania się czymś; ale jakkolwiek wielkie czynilibyśmy wysiłki tej pustki nie zdołamy wypełnić nigdy. Możemy od niej uciekać, w sposób prymitywny lub wielce wyrafinowany, ale jest ona z nami wciąż, równie nieodstępna jak nasz własny cień. Możemy odwracać się od tej pustki, nie chcieć w nią spojrzeć, a przecie ona ciągle i nieodmiennie *trwa*. Żadne wzbogacanie się. Żadne wyrzeczenia - pozory, maski, jakie nasze "ja" przybiera - nie przysłonią nigdy tego wewnętrznego ubóstwa.

Przez wewnętrzne lub zewnętrzne działania nasze małe "ja" wciąż się stara wzbogacić, urosnąć, nazywając to zbieraniem doświadczeń, lub też inne nadając temu imiona, zależnie od chwilowej potrzeby lub upodobania. "Ja" nie znosi anonimowości, nie chce jej nigdy przyjąć; może przywdziać nową szatę, przybrać nowe imię, ale podstawą jego istnienia jest zawsze poczucie

tożsamości. Proces ciągłego utożsamiania się, któremu ulegamy wszyscy - przeszkadza w zdawaniu sobie sprawy (awareness) z naszej właściwej natury. Ten, wciąż narastający proces utożsamiania się rozbudowuje i utrwala nasze "ja" - a dzieje się to zarówno wówczas gdy coś popieramy, podtrzymujemy, jak i wtedy gdy czemuś się przeciwstawiamy; a takie działanie ogranicza nas i zamyka, nieraz nawet szerokim ale zawsze nieprzekraczalnym kręgiem. Każdy wysiłek naszego "ja" aby czymś być, a czymś innym nie być, jest oddalaniem się od tego, czym ono w istocie jest. Czymże jest to "ja" jeśli mu odebrać imię, poczucie własności, cechy, zamiłowania i antypatie, czymże ono *jest*? Czy po odebraniu tych wszystkich właściwości "ja" w ogóle by istniało? To strach naszego "ja" przed własną nicością rzuca nas w ciągłe działanie; ale w *istocie* nasze "ja" jest niczym, jest pustką.

Gdy nas stać na spojrzenie w tą pustkę bez zmrużenia oczu, na pozostanie sam na sam z tą pełnią bólu oddzielnością, strach znika i zachodzi zasadnicza, dogłębna przemiana. Jednak aby się ona mogła dokonać trzeba przeżyć tę nicość do dna, w czystym doznawaniu; a temu zazwyczaj przeszkadza obecność "obserwatora", doznającego. Podobnie jeśli pragniemy przeżyć tę pustkę aby ją przekroczyć, czyli wznieść się poza nią, czy ponad nią, czyste doznawanie nie może zaistnieć; bowiem w tym pragnieniu to samo nasze "ja" trwa nadal. Jeśli podmiot, doznający, świadomie coś przeżywa, nie jest to już stanem czystego doznawania. A właśnie czyste doznawanie tego co *jest*, bez chęci nazywania, analizowania itd. przynosi wolność od tego co *jest*.

I. 23. WIERZENIA

Byliśmy wysoko w górach; a był to czas posuchy; przez wiele miesięcy nie było ani kropli deszczu, aż strumyki ucichły i powysychały. Sosny świeciły brązem, a niektóre całkiem uschły; ale wiatr wciąż w nich grał. Góry ciągnęły się pasmami, jedno za drugimi aż do widnokręgu. Większość zwierząt leśnych uszła w nieco chłodniejsze strony, ku lepszym pastwiskom i strefom łowów; pozostały tylko wiewiórki - a z większych ptaków sroki; było też trochę drobniejszego ptactwa, ale to nie odzywało się w dzień. Sucha sosna, wybielała w przeciągu wielu upalnych dni, była piękna nawet w swej śmierci, pełna siły, wdzięku i niesentymentalnego uroku; ziemia była twarda, ścieżyny kamieniste i pełne kurzu.

Niewiasta która nas przysła odwiedzić mówiła iż należała do paru religijnych zrzeszeń, ale w końcu zatrzymała się przy jednym. Pracowała dla niego, propagowała jego idee, jeżdżąc niemal po całym świecie z wykładami. Opuściła rodzinę, wyrzekła się wygod i wielu innych miłych rzeczy dla dobra tej organizacji; przyjęła jej teorie, nauki, wskazania, szła za jej przywódcami; usiłowała medytować. Była wielce ceniona i szanowana zarówno przez członków, jak przez kierowników. A teraz - opowiadała dalej - słysząc co mówiłem o różnych ideologiach i organizacjach, o niebezpieczeństwie łudzenia się, oszukiwania siebie itp. wystąpiła z tego stowarzyszenia i porzuciła całe jego działanie. Już nie obchodziło ją zbawianie ludzkości; zajęła się swą nieliczną rodziną, jej trudnościami i kłopotami; zagadnienia szerszego świata niewiele ją dziś interesowały. Czuło się w niej pewną gorycz, choć na zewnątrz wyglądała na łagodną i wielkoduszną, gdyż - jak się wyrażała - życie jej zdawało się zmarnowane. Po tylu latach zapału i pracy,

gdzież się dziś znajdowała? Co się z nią stało? Skąd to otępienie, smutek, ociężałość i wielkie znużenie? Czemu w tym wieku zajmowały ją jeszcze drobnostki?

Jakże łatwo niszczyliśmy delikatną wrażliwość naszej natury! Ciągłe walki i tarcia, lęki, niepokoje, ucieczki, stępiają prędko myśl i pustoszą serce; sprytny a usłużny intelekt rychło podsuwa nam jakieś zastępcze wartości, zamiast czujnego oddzwiekania na samo życie. Zajmują nas rozrywki, rodzina, polityka, wierzenia i bogi, a nie miłość i przejrzystość myśli. Jasność myśli zatracą się wśród różnych wierzeń i nagromadzonej wiedzy, a miłość wśród powierzchownych wrażeń. Czyż z wierzeń może się zrodzić myśl jasna i przenikliwa? Czy zamykające nas w swym ciasnym kręgu przekonania mogą sprowadzić rozumienie? Po co właściwie trzymamy się tak uporczywie pewnych wierzeń, czyż nie zaciemniają one tylko i tak przeładowanego różnymi pojęciami umysłu? Na to aby rozumieć to co *jest* nie potrzeba wcale określonych wierzeń, trzeba tylko patrzeć uważnie i widzieć jasno rzecz każdą, a to oznacza prosty, bezpośredni kontakt ze wszystkim co nas otacza, bez udziału pożądań ni pragnień. To one wnoszą zawsze zamęt, a wierzenia są tylko ich odmianą i przedłużeniem. Przejawy pragnień są złożone i nieuchwytnie; gdy ich nie rozumiemy, wierzenia tylko wzmagają w nas konflikty, tarcia i antagonizmy. Przekonania nazywa się także wiarą, a wiara również jest schronieniem i przystanią dla pragnień.

Uważamy ideologie za bodźce do czynu. Dają nam one specyficzną siłę która płynie z ich wyłączności; a że większość z nas koniecznie chce coś zrobić, przeto wierzenia czy ideologie stają się dla nas nieodzowną potrzebą. Zdaje się nam iż nie mając określonych przekonań nie potrafimy działać, że to ideologie wskazują nam coś, dla czego warto pracować i żyć. Dla większości z nas życie nie ma żadnego sensu, poza tym, jaki mu nadają wierzenia i ideologie; więc przekonania nasze w tej czy innej dziedzinie stają się ważniejsze od samego życia. Jesteśmy pewni że powinniśmy żyć według wzoru jaki nam one przedstawiają; bez jakiegoś wzoru czy przykładu jakże byśmy mogli w ogóle działać? Więc podstawą naszych czynów stają się idee; czyn nasz wypływa z pojęć i wyobrażeń, przeto one nabierają stokroć większego znaczenia od samego czynu.

Czy to, co należy do dziedziny intelektu, choćby najwybitniejszego i najbardziej przenikliwego, może kiedykolwiek zrodzić taką pełnię czynu aby ten sprowadził zasadniczą przemianę całej naszej istoty, a co za tym idzie i radykalną przemianę społecznego ładu? Czy pojęcia i wyobrażenia prowadzą do całkowitości czynu? Wprawdzie idea może pobudzić do szeregu czynności, ale będzie to tylko działalność, a ta jest czymś zgoła innym aniżeli czyn. Działalność nas ogranicza - łąpie nas jak w oka sieci - a gdy dla takiej lub innej przyczyny urywa się, czujemy się zupełnie zgubieni, a całe nasze życie traci sens i cel. Stajemy przed pustką. Świadomie lub nieświadomie czujemy niebezpieczeństwo tej pustki w sobie, więc idee i nieustające zajmowanie się jakąkolwiek działalnością nabierają ogromnego znaczenia. Staramy się zapłacić ową pustkę jakimś wierzeniem lub ideologią i jakkolwiek działalność staje się nieodzowna jak haszysz. Jesteśmy gotowi poświęcać się dla niej i wyrzekać się, znosić wszelkie niewygody, poddawać się różnym złudzeniom.

Działalność wynikająca z wierzeń i przekonań jest destrukcyjna, sieje zamęt wokół; na razie może się zdawać sprawna i dobrze zorganizowana, więc i konstruktywna, ale w skutkach swych niesie zawsze walkę i udrękę. Każde

wierzenie - religijne czy polityczne, - zaślepia, więc uniemożliwia nam zrozumienie człowieka, a bez tego rozumienia nie może istnieć prawdziwy czyn.

I. 24. CISZA

Była to potężna, świetnie naregulowana maszyna, szła pod górę lekko i bez zmiany w odgłosie motoru, wrażliwa na najlżejszy ruch akceleratora. Droga wiła się stromo ponad doliną, biegła wśród gajów pomarańczowych i rozłożystych orzechowych drzew. Po obu jej stronach sady ciągnęły się daleko, niemal na czterdzieści mil, aż do samego podnóża gór; przechodziła przez parę małych miasteczek, po czym biegła przez otwartą przestrzeń pomiędzy polami jaśniejącymi mocną zielenią łąbinu, aby za chwilę - wijąc się znów spiralami - wyprowadzić na nagą, prawie pustynną równinę.

Droga była gładka, odgłos motoru równy, a ruch na drodze nieduży. Miałem żywą świadomość krajobrazu, mijających nas od czasu do czasu samochodów, drogowskazów na skraju gościńca, siedzącej w wozie osoby i błękitu nieba; ale dusza pogrążyła się w ciszę. Nie był to spokój znużenia, wyczerpania czy też odprężenia; była to cichość żywa i czujna. Nie istniał punkt z którego by wypływała i nie było tego, kto by ją obserwował; doznający był nieobecny; pomimo urywanej rozmowy, nic nie przerywało milczenia. Gdy wóz toczył się szybko uderzał nas prąd wiatru; ale ciszy tej nie naruszało nic; była ona w szumie wiatru i w odgłosie motoru, i w zamienianych z rzadka słowach. Pamięć uprzednio doznanych milczeń i cisz wcale się nie nasuwała, myśl nie mówiła: "ach. jak cicho!" Nie było werbalizacji, czyli stwierdzenia że obecne przeżycie jest podobne do tego, cośmy już niegdyś przeżyli; nie było żadnego ruchu myśli. Myśl nie rejestrowała wrażeń, przeto nie mogła schwytać tej ciszy, ani w nią wnikać; bo wszak słowo "cisza" nie jest ciszą. Zanim słowo się nie zrodzi myśl nie może operować, a więc doznający nie był zdolny zatrzymać tej ciszy w sobie, by móc się nią potem cieszyć. Ustał zwykły proces myślowy, który gromadzi, porównuje, przyswaja; ucichł wszelki ruch myśli.

Samochód zatrzymał się przed domem. Szczekanie psa, wyładowywanie rzeczy i ogólne zamieszanie w niczym nie wpływało na tę przedziwną ciszę. Nic jej nie mogło zmącić, trwała nieprzerwanie. Wiatr szumiał wśród konarów sosen, długie cienie się kładły, dziki kot chyłkiem przemknął wśród krzaków A cisza była nienaruszona. Wibrowała ruchem, ale ten ruch jej nie rozpraszał. Nie było skupienia uwagi które by się dało rozproszyć. Rozproszenie następuje gdy uwaga odbiega od głównego punktu zainteresowania, a w tej ciszy nie było w ogóle takiego punktu, więc też nie można było odeń się odchylić. Ruch nie był czymś od ciszy oddzielnym, zdawał się być w niej zawarty. Albowiem nie była to cisza martwoży, czy zaniku sił; była to cisza samego życia, wolnego od sprzeczności i tarć.

Większości z nas, przeciwstawianie bólu i radości, wahania pomiędzy nimi, oraz impuls ku działaniu dają poczucie życia; a gdyby nam ten impuls odebrać czulibyśmy się straceni, bezwolni i niebawem popadlibyśmy w rozstrój. Ale ta cisza pulsowała wciąż odnawiającą się twórczością; tał się w niej ruch który nie miał początku, więc nie mógł mieć i końca, nie była również czymś co trwa. Wszelki ruch wymaga czasu, ale tu, w tej ciszy, nie istniał czas. Czas to mniej i więcej, bliżej i dalej, wczoraj i jutro; a w tej ciszy

wszystkie porównania znikły. I nie była to cisza która się kończy, aby znów się rozpocząć; była w niej jakaś jedyność i niepowtarzalność. Sprytnie podstępny intelekt nie mogły się tu wślizgnąć.

Gdyby cisza ta była złudzeniem, intelekt byłby w jakimś do niej stosunku, chwyciłby się jej lub ją odrzucił, przeracjonalizowałby ją albo też z subtelnym zadowoleniem pograżył się w nią, i z nią zjednoczył; ale że nie był w *żadnym* do niej stosunku, więc nie mógł ani jej przyjąć, ani odsunąć. Umysł może operować tylko tym, co jest jego tworem, co się z niego wywodzi, ale nie pozostaje w żadnym związku z tym, czemu sam nie dał życia. A ta cisza nie z niego płynie, nie ma z nim nic wspólnego, więc intelekt nie może ani jej uchwycić i pogłębiać, ani się z nią zjednoczyć i utożsamiać. Treść tej ciszy jest dla słów niewyraźna.

I. 25. WYRZECZENIE SIĘ DOSTATKU

Siedzieliśmy w cieniu olbrzymiego drzewa, zwróceni ku zieleniejącej dolinie. Dziecioty kuły w pobliżu, a mrówki wędrowały długim szeregiem, tam i z powrotem, pomiędzy dwoma drzewami. Wiatr od morza niósł zapach dalekich mgieł. Góry błękitniały w zadumie; czasem wydawały się bliskie, ale dziś były odległe. Mały ptaszek przyleciał pić wodę z kałużki która się utworzyła koło dziurawej rynny. A dwie szare wiewiórki, o ogromnych puszystych ogonach, goniły się po drzewie, wbiegały na sam wierzchołek, a potem w szalonym pędzie zbiegały w dół na ziemię, by znów pędzić z powrotem na szczyt drzewa.

Towarzysz mój był niegdyś bardzo bogatym człowiekiem, ale wyrzekł się całego swego majątku. Posiadał dawniej wielkie dobra, którymi zarządzał z przyjemnością i dużym poczuciem odpowiedzialności; miał dobre serce i lubił być szczodrym; darów nie skąpił i prędko o nich zapominał; był też dobry dla swych pracowników i dbał o ich potrzeby. Robienie majątku przychodziło mu łatwo w tym świecie gdzie tylu goni za pieniądzem. Nie był wcale podobny do ludzi dla których rachunki bankowe i lokaty kapitałów są niejako ważniejsze od nich samych; którzy czują się osamotnieni i pełni obaw wobec ludzi i ich żądań i zamykają się w specyficznej atmosferze swego bogactwa. Nie był despotyczny w rodzinie, ale też nie poddawał się jej zbyt łatwo; miał wielu przyjaciół, lecz wcale nie dlatego że był bogaty. Opowiadał iż pozbył się wszystkich swych majątkości, gdyż pewnego dnia, podczas jakiegoś czytania, uderzyła go nagle myśl jak bezgranicznie głupie jest jego ciągle pomnażanie swego majątku i cały ten otaczający go dostatek. Zachował dla siebie tylko tyle ile było konieczne, starał się prowadzić życie najprostsze i szukać odpowiedzi na pytanie: czym właściwie jest życie, jaki jest jego sens i cel, czy istnieje coś poza czysto fizycznymi pożądaniami i potrzebami organizmu.

Jest względnie łatwo zadawać się małym, podobnie jak nie mieć dużo rzeczy gdy się jest w podróży i zmierza do określonego celu.

Żywe pragnienie szukania głębszych, wewnętrznych wartości uwalnia nas od wielu psychologicznych skomplikowań jakie stwarza posiadanie; ale oswobodzenie się od rzeczy zewnętrznych nie czyni jeszcze życia prostym. Zewnętrzny ład i prostota nie koniecznie wyrażają spokój i prostotę wewnętrzną. Prostota w rzeczach zewnętrznych jest dobra, gdyż daje nam pewną swobodę i jest gestem rzetelności wobec siebie; ale dlaczego zaczynamy zawsze od zewnętrznej, a nie od wewnętrznej prostoty? Czy

chcemy przez to siebie i innych przekonać o szczerości naszej intencji? Po co mamy siebie przekonywać? Uniezależnienie się od przedmiotów wymaga prawdziwej inteligencji, a nie gestów i udowodnień; a wszak prawdziwa inteligencja nie jest cechą należącą do naszego "ja". Gdy zdamy sobie w pełni sprawę jakie psychologiczne czynniki kryją się w każdym posiadaniu, sama ta świadomość oswobadza nas, i nie potrzeba nam wówczas dramatycznych gestów ni potwierżeń. Ale gdy tego jasnego rozpoznawania (awareness) brak, uciekamy się do różnych praktyk, dyscyplin, wyrzeczeń. Nie jest ważne czy posiadamy dużo czy mało, ważną jest prawdziwa inteligencja. Prawdziwie rozumny człowiek zadawalając się małym przestaje być niewolnikiem własności.

Ale zadowolenie a prostota to dwie rzeczy całkiem różne. Pragnienie - czy to zadowolenia czy prostoty - zawsze nas wiąże i stwarza różne skomplikowania. Spokojna radość przychodzi wraz ze zdawaniem sobie sprawy z tego co *jest*; a prostota - wraz z niezależnością, od tego co *jest*.

Dobrze jest być prostym zewnątrz, ale stokroć ważniejsza jest prostota i jasna trzeźwość wewnętrzna. Jasność myśli i widzenia nie rodzi się ze zdecydowanego i wyraźnego do celu zmierzającego intelektu. Umysł nie może nigdy tej jasności stworzyć. Może się przystosować, może ułożyć i uporządkować myśli, ale to nie będzie ani jasnością ich ani prostotą.

Czyny pochodzące z woli wywołują zamęt, gdyż wola nawet najszlachetniejsza jest zawsze narzędziem pragnienia. Wola wzrostu i stawania się, chęć bycia kimś choćby najbardziej wartościowym i szlachetnym, może wprawdzie dać nam dyrektywę, wyznaczyć kierunek, przetorować drogę wśród chaosu, ale ten proces prowadzi do odosobnienia, a prostota i przejrzystość z odosobnienia nie mogą się zrodzić. Czyn płynący z woli może chwilowo oświetlić pierwszy plan akcji, co jest potrzebne dla bezpośredniego działania, ale nie rozjaśni i nie oczyści podłoża, czyli dalszego planu; gdyż sama wola z niego wypływa i przezeń jest zasilana. Podłoże ją żywi, a wola może sprężyć i znacznie wzmocnić kryjące się w nim potencjalne możliwości, ale nie zdoła nigdy oczyścić go, ani przeświecić.

Prostota nie należy do intelektu i nie z niego się rodzi. Świadomie przyjęta, prostota jest tylko przebiegłym przystosowywaniem się dla obrony przed bólem i przed rozkoszą, jest zamykaniem się w sobie, które stwarza zamęt i pogłębia różne konflikty. A tarcia i rozterki sprowadzają zawsze mrok, zarówno wewnątrz nas jak i na zewnątrz. Jasność i prostota nie mogą iść w parze z rozterką; tylko wolność od wszelkich konfliktów - a nie przewyciężanie ich - rodzi prostotę. To, co jest raz przewyciężone, musi być zwyciężane wciąż i wciąż od nowa, a więc rozterka przedłuża się bez końca. Chcąc sobie zdać sprawę czym są rozterki i konflikty, trzeba zrozumieć pragnienie.

Pragnienie może wyabstrahować z siebie obserwatora - tego który ma rozumieć; ale takie rozszczepianie i uwznioślanie pragnień będzie tylko odkładaniem rozumienia na przyszłość, zamiast wejścia w nie teraz, zaraz. Obserwator i obserwowane nie są dwoma odrębnymi czynnikami; jest to proces jednolity i tylko poznając doświadczalnie tę jednolitość, - tj. stopienie się obu czynników, w jedno - możemy się oswobodzić zarówno od pragnień jak od rozterek. Ale pytanie: *jak* można poznać fakt jedności tego procesu, nie powinno w ogóle powstać. Musi to samo we stać; a staje się tylko wtedy, gdy jesteśmy czujnie odbiorczy (*passive awareness*) wobec wszystkiego co w nas

zachodzi.

Nie można zrozumieć czym jest *przeżycie* spotkania z jadowitym wężem, siedząc wygodnie w fotelu w swoim pokoju i tylko wyobrażając je sobie, lub spekulując nad tym domniemanym faktem. Aby naprawdę spotkać węża trzeba się odważyć wyjść poza miasto, poza jego sztuczne światła i brukowane ulice i pójść śmiało w przyrodę.

Myśl może tylko pamiętać i rejestrować, ale nie jest w stanie doznać wolności od rozterek, bowiem prostota, czyli przejrzystość, nie należą do dziedziny umysłu.

I. 26. WRAŻENIA I ICH ODTWARZANIE

Gwar i zapachy miasta wdzierały się przez otwarte okno. W dużym publicznym parku siedzieli ludzie w cieniu drzew i przeglądali ostatnie wiadomości - te wszechświatowe plotki. Gołębie plątały się u ich nóg, szukając smacznych okruszków, a dzieci bawiły się na trawnikach, po których tańczyły cienie rozchwianych drzew.

Towarzysz mój był reporterem, bystrym i szybkim; prosił o wywiad ale poza tym chciał również poruszyć pewne osobiste problemy. Gdy ukończył wywiad dla pisma które przedstawiał, zaczął mówić o swym fachu i jego wartości - nie z punktu korzyści materialnych - a roli jaką odgrywa dziś na świecie. Był człowiekiem zdolnym, sprytnym, nieprzeciętnym i zadufanym w sobie. Przechodził szybko szczyble dziennikarskiej kariery i widział w niej dużą przyszłość.

Intelekt nasz tak jest przeładowany wiadomościami, iż uniemożliwia nam niemal całkowicie bezpośrednie doznawanie. Doświadczanie przyjemności lub cierpienia jest bezpośrednie, indywidualne; ale interpretując je już się wzorujemy na cudzym zdaniu, na społecznych i religijnych autorytetach. Sami jesteśmy wytworem oddziaływujących na nas myśli i wpływów innych ludzi; jesteśmy niejako tych wpływów wypadkową; kształtuje nas i niewoli religijna i polityczna propaganda. Świątynia, kościół, meczet, wywierają na nas nieustający nacisk, rzucają dziwny cień na nasze życie; a polityczne ideologie tylko pozornie dają dużo materiału dla myśli. Propaganda i urabia nas i niszczy. Zorganizowane wyznania są mistrzami propagandy, używają wszelkich środków by ludzi przekonywać, a potem ich pod swym wpływem utrzymać.

Jesteśmy kłępkim zmaconych reakcji, a to co stanowi centrum naszego "ja" jest równie niepewne jak obiecywana nam przyszłość. Same słowa mają dla nas wprost niewiarogodne znaczenie; wywierają bezpośredni wpływ na nerwy, i te wrażenia nerwowe są dla nas ważniejsze od treści która się ukrywa pod symbolami. Obraz, symbol, dźwięk, sztandar nabierają niebywałego znaczenia; czerpiemy siły nie z istoty rzeczy, a z podstawionych zastępczych znaczeń. Czytamy o przeżyciach innych ludzi, obserwujemy jak inni się bawią, cytujemy ich wypowiedzi, idziemy za ich przykładem. Panuje w nas pustka, więc staramy się ją zapełnić słowem, wrażeniem, wyobraźnią, nadzieją; ale pustka wciąż trwa.

Wszelkie powtarzanie czy odtwarzanie minionych wrażeń, choćby były pełne miłych i szlachetnych wzruszeń, nie może być *doznawaniem*; a ciągłe powtarzanie tego samego rytuału, tych samych słów, czy modlitw, jest jeno

wrażeniowo przyjemnym odczuciem, któremu lubimy nadawać wzniosłe miana. Ale doznawanie to nie wrażeniowe odczucia; te emocjonalno-wrażeniowe reakcje muszą ustąpić wkrótce przed tym co *jest*; zaś tego co *jest* nie da się zrozumieć przy pomocy wrażeń jedynie. Zmysły nasze biorą w tym udział, ale rozumienie czy doznawanie dzieje się poza i ponad zmysłami; wrażenia stają się ważne dopiero gdy doznawanie mija, wtedy to słowa nabierają dużego znaczenia, a wpływ symboli nadmiernie wzrasta; wówczas nawet taki gramofon słowny może nas zachwycać.

Doznawanie zachodzi w jednej chwili i kończy się; nie ma ciągłości, nie przedłuża się; to, co można rozciągnąć w czasie i przedłużyć należy zawsze do dziedziny wrażeń, na jakimkolwiek poziomie by się pojawiały. Powtarzane wrażenia mogą się pozornie wydawać nowym przeżyciem, ale w istocie nie są one nigdy *nowe*. *Nowe* jawi się tylko w lotnej chwili doznawania, a to jest możliwe dopiero wówczas gdy żądza wrażeń i poszukiwanie silnych przeżyć doszczętnie w nas zagasną.

Chęć powtarzania jakiegoś przeżycia jest charakterystyczną, a zawsze ograniczającą cechą żądzy wrażeń, jest ich składową częścią; a wzbogacanie pamięci jest tylko ich ekspansją. Chęć powtórzenia jakiegoś doświadczenia czy co własnego, czy cudzego, prowadzi do zaniku wrażliwości, do martwoty. A powtarzanie prawdy staje się fałszem. Prawdy nie można powtarzać ani jej propagować, czy też używać dla jakiegoś celu. To, co się daje używać i powtarzać jest pozbawione życia, mechaniczne, statyczne. Tylko rzeczy martwej można używać, ale nie prawdy. Można zaprzeczyć prawdzie, zabić ją, a wtedy jej używać, ale wówczas nie jest to już prawda. Propagandyści nie dbają o poznawanie prawdy, obchodzi ich tylko uchwycenie w organizacyjne karby wrażeniowych emocji ludzi, w religijnej czy politycznej, społecznej czy osobistej dziedzinie. Propagandysta - religijny czy świecki - głosić Prawdy nie może nigdy.

Doznawanie przychodzi gdy żądza wrażeń wypali się do cna, gdy wszelkie określanie i nadawanie nazw ustaje. Nie ma myśli bez słów, procesu myślowego bez werbalizacji, kto jest w nią wplątany jest niewolnikiem utłudy pożądań.

I. 29. MEDYTACJA

Gość mój mówił iż przez wiele lat uprawiał to, co nazywał medytacją; trzymał się pewnych metod po przestudiowaniu licznych na ten temat książek; przebywał również pewien czas w klasztorze gdzie rozmyślano po parę godzin dziennie. Stosunek jego do tych spraw nie był sentymentalny, nie rozczulał się też nad dziejami swych wysiłków i ofiar. Mówił że po wielu latach praktyki zdobył w pewnym stopniu opanowanie umysłu, jednak i teraz zdarza się czasem że myśl wymknie się z pod jego kontroli; nie znajduje też żadnej radości w swej medytacji; a owe dobrowolnie narzucone sobie dyscypliny czynią go nieco oschłym i surowym. Nieraz ogarnia go zniechęcenie do tego wszystkiego. Należał do kilku tzw. religijnych zrzeczeń, ale teraz porzucił je i samodzielnie szuka Boga, którego znalezienie wszystkie one obiecywały. Ale lata mijają, starzeje się i poczyną się czuć znużony.

Prawdziwa medytacja ma dużą wagę, bo oczyszcza umysł, a jeśli nie umie on odsuwać myśli i pozostawać pusty, nie może się nigdy odnowić. To, co nieprzerwanie trwa - więdnie i martwieje. Umysł po prostu wiotczeje i zużywa

się przez nieustanne powtarzanie tych samych myśli, przez tarcia przy niewłaściwym jego używaniu, przez pobudliwość wrażliwo-nerwową, która go stępia i nuży. Opanowanie umysłu nie jest tak ważne jak przekonanie się co stanowi jego zainteresowania. Nasze "ja" - umysł - to kłębek sprzecznych zainteresowań, a to co nazywamy koncentracją - poddaniem go dyscyplinie - jest jeno zasilaniem jednego zainteresowania, by mogło wziąć górę nad innymi. Wszelka dyscyplina jest wzbudzaniem oporów, a gdzie jest opór tam nie ma rozumienia.

Opanowany umysł nie jest nigdy wolny, a tylko wolność umożliwia odkrywanie. Trzeba dużej bezpośredniości aby móc odkrywać ruchy naszej psychiki - naszego "ja" na każdym z poziomów jego przejawiania się. Choć niektóre odkrycia mogą wcale nie być przyjemne, jednak wszystkie ruchy naszej psychiki *trzeba* odsonić, zdemaskować i zrozumieć; a wszelkie dyscypliny i metody niweczą bezpośredniość dla odkrywania konieczną. Wszystkie one, choćby najdoskonalsze, urabiają myśl wedle pewnego wzoru i ją zatrzymują w pewnym schemacie. Umysł dostosowuje się do tego w co ćwiczenia go wdrużają, ale to na czym się wzoruje nie może być Prawdą. Metody i dyscypliny są narzuconą rutyną, więc nigdy nie mogą dopomóc w obnażaniu siebie. Mogą one wzmocnić umysł w dążeniu do celu, ale ów cel będzie jeno obrazem rzutowanym przez nasze "ja", więc nie może być Rzeczywistym. Wyobrażamy sobie Prawdę, Rzeczywiste, na swe własne podobieństwo, a metody i dyscypliny ten obraz używotniają.

Tylko w odkrywaniu może być prawdziwa radość; w nieustannym odsłanianiu - od chwili do chwili - wszystkich ścieżek naszego "ja", wszystkich jego ruchów - myśli, uczuć, reagowań. A to "ja", na jakimkolwiek poziomie działa, nie przekracza nigdy granic umysłu. Wszystko cokolwiek myśl jest w stanie pomyśleć zachodzi w jego obrębie; nie może on pomyśleć *nic* co by nie stanowiło części jego natury; nie można myśleć o nieznanym, o niewiadomym. Nasze "ja" w każdej sferze swego działania pozostaje zawsze w dziedzinie znanego: a choć istnieje wiele warstw psychiki o których powierzchowna codzienna nasza świadomość nic nie wie, niemniej przeto wszystkie one znajdują się w obrębie poznawalnego.

Ruchy i reakcje naszego "ja" przejawiają się i odsłaniają w stosunku naszym do zjawisk i ludzi, a gdy te stosunki nie zamykają się w ramach przyjętych form i konwencjonalizmu, dają nam świetną sposobność do odkrywania siebie. Stosunki te bowiem są zawsze wyrazem naszego "ja"; a chcąc jego reagowania zrozumieć trzeba zdawać z nich sprawę i bacznie je obserwować - ale bez żadnej chęci wartościowania ani wyboru, gdyż sam wybór jest podkreślaniem jednego zainteresowania w przeciwstawieniu do innego. Ta czujna czysta świadomość (*awereness*) jest rozpoznawaniem zmiennych ruchów naszego "ja", bez rozszczepiania go na obserwatora i obserwowane. A gdy tak patrzymy, wówczas umysł oswobadza się od wszystkiego co zebrął, staje się pusty; "ja" - ów gromadzący podmiot - przestaje istnieć. Wszystko co się uzbierało i przechowało, wszystkie wspomnienia, i obrazy pamięci stanowią właśnie nasze "ja"; nie jest ono jakąś odrębną od nagromadzonych dóbr istnością. "Ja" oddziela się od swych charakterystycznych cech, wyodrębnia się jako obserwator, czuwający, zarządca, by tym skuteczniej się zabezpieczyć i nadać sobie trwałość wśród wszystkiego co jest zmienne i przemijające. A tylko jednolite, integralne doznawanie oswobadza nas od dwoistości.

W tym jednolitym stanie ogarniamy rozumieniem, w momentalnym błysku,

całkowity proces stanowiący naszą psychikę, zarówno powierzchniową, dostrzegalną, jak i ukrytą, i to od razu w jej całości, a nie częściowo i ułamkami. Wtedy sny, jak i codzienne nasze czynności stają się procesem dalszego oswoadzenia się, opróżniania psychiki od balastu przeszłości. A umysł, aby móc coś przyjąć *musi* być zupełnie pusty; ale sama chęć opróżnienia go, po to by mógł coś otrzymać, jest znaczną przeszkodą, jakże często zakorzenioną w naszej naturze; to również należy wszechstronnie, a nie jednopoziomowo zrozumieć. Żądza przeżyć musi całkowicie się wypalić, a to może się stać gdy doznający nie żywi się doświadczeniami i ciągłą o nich pamięcią.

Umysł musi być oczyszczony, nie tylko w swych świadomych ale i w głębszych ukrytych warstwach; musi wyrzucić z nich wszystko, a to się dokonuje gdy przestajemy nadawać imiona każdej rzeczy, każdemu zjawisku i przeżyciu; gdyż nazywanie - określanie tym czy innym terminem - wzmacnia trwałość istnienia tego, który przeżywa, zasila jego pragnienie ciągłości, użyteczność jego jednostkową, wyodrębniającą się pamięć. Trzeba w głębokiej ciszy ogarnąć świadomością cały ten proces nazywania i zrozumieć go wszechstronnie.

Nadajemy nazwy zjawiskom i przeżyciom nie tylko po to aby się porozumiewać z innymi, ale także aby przeżyciom naszym dodać wagi i trwałości, aby je łatwo było odtworzyć w pamięci, a więc i powtórzyć. Ów proces nazywania musi ustać, i to nie tylko na powierzchni naszej psychiki, ale aż do głębi, we wszystkich warstwach jej wewnętrznej struktury. Jest to zadanie trudne, zarówno do zrozumienia jak i do wykonania; albowiem całe nasze świadome życie składa się z procesów nazywania, nadawania imion i terminów doświadczeniom, z rejestrowania ich i skrzętnego przechowywania w pamięci, żeby potem w nią sięgać dla poznawania i określania dalszych przeżyć. Właśnie ten proces żywi i zasila tę ułudną, iluzoryczną istność - tj. tego który doznaje - nadając mu jakby oddzielne od przeżyć i doznań istnienie. Tam gdzie myśl ustaje tam i myśliciel znika. To myśli stwarzają myśliciela, a ten się od nich wyodrębnia by nadać sobie trwałość i ciągłość istnienia, bo same myśli są zmienne i nietrwałe.

Wolność nastaje gdy cała nasza istota, zarówno w swych powierzchniowych jak i głębinowych warstwach zostaje oswoadzona od przeszłości, od tego co było. Wola jest wyrazem pragnienia; gdzie jest działanie woli, gdzie robimy wysiłek dla zdobycia niezależności i oswoadzenia się od wszystkiego co przeszłe, tam nie może zaistnieć prawdziwa wolność, tam istotne oczyszczenie całej naszej psychiki nie jest możliwe. Gdy wszystkie, tak liczne, warstwy naszej świadomości są w całkowitym spokoju, przeniknięte głęboką ciszą, wówczas, ale dopiero wówczas, niezmiernie może się pojawić. A wraz z nim owo szczęście, które jest poza czasem i twórczość która niesie odnowienie.

I. 30. ZŁOŚĆ

Nawet na tej wysokości upał był nieznośny. Wszystkie okiennice były rozpalone. Równy warkot motoru był niemal kojący i wielu pasażerów drzemało w swych fotelach. Ziemia daleko w dole pod nami skrzyła się w tym upale niekończącym się brązem, przeplatany od czasu do czasu łętami zieleni. Wkrótce lądowaliśmy; żar stał się prawie nie do zniesienia, była to

prawdziwa męka; nawet w cieniu budynku zdawało się że głowa pęknie. Był to środek lała, a kraj prawie pustynny. Wznieśliśmy się niebawem znów, samolot wzbijał się coraz wyżej, chcąc dotrzeć do strefy świeżych wiatrów. Pilot podciągał maszynę wyżej i wyżej.

Dwóch nowych pasażerów zajęło przeciwległe miejsca. Rozmawiali tak głośno iż musiało się słyszeć każde słowo. Zaczęli mówić dość spokojnie, ale wkrótce głosy nabrzmiały gniewem; były to pretensje i urazy tak częste w zażyłych stosunkach. Tak się unosili iż zapominali że nie są sami, reszta pasażerów dla nich nie istniała, w swym zacietrzewieniu nie widzieli nikogo po za sobą.

Złość i gniew mają zawsze tą cechę izolowania ludzi; podobnie jak smutek oddzielają nas od innych, i, przynajmniej na pewien czas, przecinają wszelką możliwość porozumienia. Gniew daje nam chwilowo swoista siłę i żywotność, właśnie dzięki temu oddzieleniu się i jakby odrzuceniu w siebie; ale tai się w nim także jakaś dziwna rozpacz. Odosobnienie jest zawsze rozpaczą. Złość wyrażająca się rozczarowaniem, zazdrością, chęcią dokuczenia komuś, jest gwałtownym wyładowaniem energii, które nam chwilowo sprawia przyjemność bo usprawiedliwiamy w nim siebie. Gdy potępiamy innych kryje się w tym zwykle usprawiedliwianie siebie. Bez pewnego rodzaju zadowolenia z własnej osoby - cnoty swojej, czy prawości - lub też odwrotnie: bez poniżania czy niedoceniaania siebie, czymże jesteśmy? Używamy wszelkich środków dla samoutwierdzenia; a gniew jak i nienawiść są jednym z najłatwiejszych po temu sposobów. Zwykle rozgniewanie się - nagły wybuch gniewu o którym w chwilę później się zapomina - jest jednak czymś zupełnie innym aniżeli świadomie żywiona i myślą zasilana złość, która szuka sposobności by dokuczyć, zranić, zaszkodzić. Zwykle ziryutowanie się może mieć po prostu fizjologiczne przyczyny, które łatwo usunąć; ale złość wyrastająca z psychologicznego podłoża jest o wiele bardziej złożona i trudniejsza do zrozumienia, a co za tym idzie i do pozbycia się jej.

Większość z nas nie ma nic przeciw wybuchom gniewu, znajdujemy dla nich zawsze jakieś usprawiedliwienie. Dlaczegoż nie mamy się oburzać gdy np. ktoś źle postępuje w stosunku do kogoś, albo nas samych? I powstaje w nas gniew tak zwanego "świętego oburzenia". Nigdy nie stwierdzamy po prostu "jestem zły" i koniec; a wchodzimy w wielce złożone tłumaczenia przyczyn naszego gniewu, czy oburzenia. Nigdy nie przyznajemy że ogarnia nas zazdrość czy gorycz, a staramy się od razu wytłumaczyć je i usprawiedliwić. Mówimy że miłości zawsze towarzyszy zazdrość, lub że postępowanie czyjeś zupełnie słusznie nas rozgoryczyło.

I właśnie takie wyrozumowane tłumaczenie słowne, czy też myślowe, podtrzymuje i zakorzenia w nas złość, nadając jej celowość i siłę. Tłumaczenie, ciche czy głośne, staje się jakby tarczą, zasłoną która chroni nas przez koniecznością ujrzenia siebie takimi jakimi jesteśmy. Lubimy aby nas chwalono, miłe nam są pochlebstwa, wciąż się czegoś dla siebie spodziewamy, a gdy to nie przychodzi czujemy się rozczarowani, budzi się w nas gorycz lub zawiść. I wówczas gwałtownie albo spokojnie obwiniamy kogoś innego, mówimy że to on jest winien naszemu rozgoryczeniu.

I ten inny staje się bardzo ważny, bo od niego zależy nasze samopoczucie, radość, siła; dzięki niemu coś osiągamy, spodziewamy się jakiegoś dla siebie wypełnienia; więc tak niezwykle nadajemy mu wagę, że musimy go chronić, posiadać. I oto on staje się naszą ucieczką przed sobą; a gdy nagle czujemy

się odrzuceni w sobie z powrotem, ogarnia nas lęk spojrzenia we własny stan i ten strach zmienia się w złość, która różne przybiera formy - zawodu, rozczarowania, pretensji, goryczy, zazdrości, itp.

Żywnienie przez dłuższy czas złości w postaci żalu czy pretensji do kogoś, wymaga antidotum, neutralizującego czynnika w postaci przebaczenia; ale owo narastanie złości jest o wiele bardziej znaczące i ważkie niż przebaczenie. Przebaczenie staje się zgoła niepotrzebne tam, gdzie się nie gromadzi złość; a jest niezmiernie ważne tam, gdzie rośnie pretensja, uraza, żal. Natomiast gdy nie ma poczucia krzywdy, ani też upodobania w pochlebstwach, a jednocześnie i twardej obojętności, rodzi się samorzutnie współczucie i miłosierdzie.

Żadne działanie woli nie może nas uwolnić od złości, gdyż w samej woli kryje się gwałtowność. Wola wykwita z pragnień, z żądz stania się czymś; a pożądanie w samej swej naturze jest zdobywcze i władcze. Tłumić złość wysiłkiem woli to przenosić ją tylko na inną płaszczyznę, nadając jej inne miana, ale to nie zmienia faktu iż pozostaje ona tym czym była. tj. tym samym gniewem.

Aby się uwolnić od gniewu - co nie oznacza bynajmniej kultywowania jego odwrotności w postaci łagodnej słodyczy - trzeba przede wszystkim zrozumieć pożądanie. Nie istnieje żaden duchowy element zastępczy, stanowiący przeciwwagę pożądania; toteż nie można pożądań ani tłumić, ani uwznioślić.

Musi w nas powstać ciche i bezstronne - nie przechylające się na żadną stronę w wyborze - zdawanie sobie sprawy (awareness) z pożądań, a ta, niejako odbiorcza ich świadomość, zmieni się w bezpośrednie doznawanie, bez podmiotu, bez doznającego, który swoim przeżyciom nadaje imiona i nazwy.

I. 32. ODDZIELNOŚĆ

Był to drobny, agresywny człowieczek, profesor na jednym z uniwersytetów. Tyle się naczytał że trudno mu było rozpoznać gdzie się zaczynały jego własne myśli, a gdzie się kończyły cudze. Opowiadał iż przez długi czas był zapalonym nacjonalistą i dość dużo z tego powodu wycierpiał; był również w swoim czasie bardzo nabożny, ale teraz odrzucił cały ten balast i - dzięki Bogu - był wolny od takich przesadów.

Dowodził, z dużą dozą namiętności, iż wszystkie psychologiczne wykłady i dyskusje tylko otumaniąją ludzi, gdyż najważniejszą rzeczą, jest ekonomiczna reorganizacja społeczeństwa; wszak człowiek żyje przede wszystkim chlebem, a dopiero potem może cieszyć się wszystkim innym. Musi przyjść gwałtowna rewolucja, by stworzyć nowe społeczeństwo, w którym zapanuje całkowita równość; jakość użytych po temu środków nie ma żadnego znaczenia, byle osiągnąć cel. Jeśli zajdzie potrzeba - mówił - będziemy umyślnie siać chaos i zamęt, a potem uchwycimy władzę w swe ręce i wprowadzimy na świecie właściwy społeczny ład. Kooperacja jest rzeczą konieczną, a wszelki wyzysk przez jednostki musi raz na zawsze ustać.

Dużo mówił o przyszłości, którą - jak twierdził - doskonale widzi; człowiek jest wytworem środowiska, więc urobi się go odpowiednio dla owej przyszłości, i poświęci się wszystko dla tego nowego społeczeństwa, które się już wkrótce

wytworzy. Cóż znaczy, - mówił - niszczenie ludzi teraźniejszych, wobec wielkiej przyszłości, którą tak dobrze znamy!

Można studiować historię i dowolnie oświetlać historyczne fakty, zależnie od naszych przekonań i przesądów; ale twierdzić że się zna przyszłość to być całkowicie pod władzą ułudy. Człowiek nie jest wytworem tylko jednej kategorii wpływów, jest on istotą niezmiernie złożoną, a podkreślanie jednych wpływów z pominięciem lub pomniejszaniem działania innych, grozi utratą równowagi, co musi wywołać jeszcze większy chaos i mękę. Psychika człowieka przedstawia proces złożony, wielostronny i niepodzielny. Całokształt jego istoty musi być wzięty pod uwagę i zrozumiany, a nie tylko cząstka, choćby w danej chwili wydawała się nam niezmiernie ważna. Poświęcanie teraźniejszości dla przyszłości jest szaleństwem ludzi upojonych żądzą władzy, a władza jest zgubna. Ludzie ci uzurpują prawo do kierowania losami innych, oni to już dziś stworzyli uprzywilejowaną klasę nowych arcykapłanów.

Środki i cel nie są czymś od siebie oddzielnym, stanowią jedno łączne zjawisko; środki stwarzają cel; gwałt nigdy nie zrodzi pokoju; policyjne państwo nie wychowa pokój miłującego obywatela, a przymus nie sprowadzi wolności. Społecznej równości nie ustanowią wszechwładne rządy jednej partii, nie wyda jej również dyktatura. Wszystko to jest jasne i oczywiste.

Oddzielności jednostki nie zniweczy jednoczenie się jej i utożsamienie z zespołem czy z ideologią; identyfikowanie się z czymś poza sobą, czyli podstawianie jakichś zastępczych wartości nie rozwiąże problemu; nie da się też poczucia oddzielności stłumić. Tłumienie albo podstawianie czegoś zastępczego by to poczucie osłabić lub zagłuszyć, może działać tylko przez pewien czas, a potem wybucha ono ze zdwojoną siłą. Lęk może je na chwilę odsunąć w cień, ale samo zagadnienie będzie nadal trwać. A nie idzie tu o to, jak się pozbyć tego zmysłu oddzielności, a raczej idzie nam o zbadanie *dłaczego* każdy z nas nadaje mu tak duże znaczenie. Ci sami ludzie którzy chcą zaprowadzić równość w społeczeństwie, swymi władczymi czynami wywołują jeszcze większe podziały.

Mój sąsiad jest czymś innym ode mnie, a ja czymś różnym od innych ludzi, to jest fakt; ale dlaczego nadajemy temu poczuciu odrębności, wraz ze wszystkimi fatalnymi jego skutkami, tak duże wagę? Choć mamy wszyscy wiele wspólnych cech i podobieństw, jesteśmy zarazem inni i do siebie niepodobni; i właśnie ta inność, ta odmienność wydaje się każdemu z nas rzeczą tak doniosłą; cenimy tę inność - rodziny, imienia, własności, i tę świadomość że jesteśmy odrębną jednostką. Ten zmysł rozdzielności, to wybujałe poczucie indywidualizmu wyrządziły już tak wiele szkody i zła, że zrodziło się w nas, przez reakcję, pragnienie zespołowej pracy, wspólnej akcji, nawet gotowość poświęcenia jednostki na rzecz całości itp. Zorganizowane religie próbowały już niejednokrotnie poddawać wolę jednostek jakiejś nadrzędnej całości: a teraz partie polityczne biorąc na siebie zadania państwa, robią wszystko co się da by jednostkę indywidualną ograniczyć i zniwelować.

Dłaczego tak się uporczywie trzymamy tego poczucia oddzielności? Wrażenia nasze są odrębne, a najczęściej żyjemy wrażeniami, sami *jesteśmy* niejako pasmem wrażeń; gdy odebrać nam przyjemne czy smutne wrażenia coś z nas pozostanie? To one są dla nas tak ważne, a identyfikujemy je z odrębnością naszej osoby. Życie prywatne i obywatelskie - społeczne -

dostarczają nam różnych odmiennych wrażeń, skupiających się na rozmaitych poziomach, a gdy się one ze sobą nie zgadzają następuje starcie. A że wrażenia i emocje, czy to w życiu prywatnym czy publicznym, przeciwstawiają się sobie zawsze, bo w samej ich naturze tkwią sprzeczności, przeto zderzenie jest nieuniknione. Dopóki pragniemy zdobyć władzę, lub też posiąść pokorę, zderzenia i starcia z konieczności będą trwać, a one właśnie stwarzają nie kończące się prywatne i społeczne udręki. Nieustanne pragnienie stania się kimś większym - wywyższenia się, - lub odwrotnie kimś nieznacznym i niezauważanym, daje nam poczucie odrębności i nieodłącznej od niej oddzielności.

Jeśli potrafimy stanąć przed tym faktem twarzą w twarz, odważnie weń spojrzeć i wnikać, nie potępiając przy tym ani usprawiedliwiając, odkryjemy że przecie wrażenia emocjonalne nie stanowią *całości* naszego życia. Wówczas umysł jako pamięć - a pamięć należy także do dziedziny wrazeniowo-emocjonalnej - uspokaja się, uśmierza się jego rozterki i dopiero gdy w nim zapanuje prawdziwy spokój, pojawia się możliwość kochania bez powrotu ku sobie, bez poczucia "ja" i "moje". A bez tej miłości kolektywne działanie będzie zawsze przymusem, który rodzi wciąż nowe antagonizmy i strach, co też jest głównym podłożem jednostkowych i społecznych nieszczęść i walk.

I. 33. WŁADZA

Był to człowiek ubogi ale zdolny i rozsądny; zdawał się chętnie poprzestawać na tym co posiadał, nie był też obciążony rodziną. Często do mnie zachodził by podyskutować i podzielić się swymi marzeniami o przyszłości; był zawsze ochoczy i pełen zapału, skromny w swych potrzebach i rozrywkach, chętny w oddawaniu ludziom drobnych usług. Twierdził że nie nęcą go pieniądze ani wygodne życie, ale z lubością snuł plany co by zrobił gdyby *miał* duże środki, jak pomagałby tej czy innej dobrej sprawie, założyłby np. wzorową szkołę, itp. Wyglądał na marzyciela; łatwo unosił się własnym entuzjazmem i dawał się porywać przez zapal innych.

Przeszło parę lat. Pewnego dnia znów mnie odwiedził; ale nie był to już ten sam człowiek. Dziwna zaszła w nim zmiana. Znikł marzycielski wyraz oczu, był to dziś człowiek praktyczny i trzeźwy, szorstki w wypowiedaniu swych przekonań, surowy niemal brutalny w sądach. W licznych podróżach podczas ostatnich lat zdobył wyszukaną ogładę i spryt, umiał też wywierać na ludzi pewien urok gdy mu na tym specjalnie zależało. Odziedziczył niemałą sumę, którą mu się udało parokrotnie powiększyć, i ... stał się innym człowiekiem. Rzadko teraz do mnie zachodzi, a gdy się czasem spotykamy jest daleki i zamknięty w sobie.

Zarówno ubóstwo jak i bogactwo stanowią więzy. Człowiek wciąż pamiętający o tym że jest ubogi, albo bogaty, staje się igraszką warunków i okoliczności. I jeden i drugi łatwo się deprawują, gdyż obaj gonią za tym, co zawsze demoralizuje tj. za władzą. Władza ma o wiele większy na człowieka wpływ aniżeli własność, większą przedstawia siłę niż bogactwo i ideologie. Wprawdzie te ostatnie dają nam władzę, ale można jedno i drugie odrzucić, a nie pozbyć się wcale żądzy władzy. Władzę nad ludźmi można zdobyć różnymi sposobami - cnotliwością, prostotą życia, wyrzeczeniem, albo też przy pomocy politycznych partii; ale są to tylko środki zastępcze i nie powinny

nas ludzi. Pożądanie stanowiska, sławy, wpływu, - czyli władzy - władzy które się zdobywa zarówno agresywnością jak pokorą, ascetyzmem jak wiedzą, wyzyskiem czy zaparciem się siebie - jest w nas subtelne, nieodparte, niemal instynktowne. Powodzenie, w jakiegokolwiek formie, daje zawsze władzę, a porażki są jeno przeciwieństwem powodzenia. Władza i powodzenie czynią z nas niewolników, a to jest zaprzeczeniem cnoty. Prawdziwa cnota niesie wolność; ale nie jest ona czymś co się da zdobywać. Każde powodzenie, indywidualne czy zbiorowe, staje się środkiem do zdobycia władzy. Trzeba nam więc unikać powodzenia światowego, jak i mocy która płynie z samoopanowania i ascezy, gdyż jedno i drugie wypacza rozumienie. Żądza powodzenia zaprzecza "ubóstwu ducha", a bez pokory jakże by się mogło zrodzić rozumienie? Człowiek któremu świetnie się powodzi staje się twardy, ciasny i egocentryczny; przygniata go poczucie własnej ważności, licznych odpowiedzialności jakie niesie, zdobyczy i wspomnień.

Trzeba być wolnym zarówno od własnowolnie przyjmowanych zobowiązań, jak i od brzemienia osiągnięć, bowiem to, co jest obarczone jakimś ciężarem nie może być chyże i bystre, a rozumienie wymaga szybkiego i giętkiego umysłu. Ludzie którym się wszędzie świetnie powodzi nie poznają miłosierdzia, albowiem nie są zdolni odkryć największego piękna życia jakim jest miłość.

Żądza powodzenia jest pewną formą pożądania władzy i chęci rządzenia; rządzić znaczy posiadać; a posiadanie prowadzi do izolowania się. I właśnie tego wyodrębniania się, czyli oddzielania od innych większość z nas pragnie, poszukuje go przez pracę, stosunki z ludźmi, imię, ideologie. W odosobnieniu jest pewna siła, ale ten rodzaj siły wytwarza zawsze tarcia, antagonizmy, cierpienie; bo odosobnienie się wynika z lęku, a strach kładzie kres wszelkim żywym pomiędzy ludźmi stosunkom. A powinny one prowadzić do prawdziwego obcowania; czy są one miłe czy ciężkie dają nam zawsze sposobność do zapomnienia o sobie, o naszym "ja". Odosobnianie się to właśnie przejaw "ja" - naszej małej osobowości - a każdy jej ruch niesie tarcia i udręki.

I. 34. WIERNOŚĆ ZASADOM

Przed domem ścielił się skrawek trawnika obrzeżony jaskrawymi kwiatami, znakomicie utrzymany wielkim staraniem, bo słońce z całej mocy wypalało trawę i kwiaty. Za tym uroczym ogródkiem ciągnęły się domy, a dalej połyskiwało niebieskie morze z białym żaglem. Z okna rozpościerał się widok na ogród, domy i szczyty drzew. Wczesnym rankiem i wieczorem morze przyjemnie koło wzrok. W ciągu dnia jaskrawy odbłask od wody trudny był do zniesienia; lecz żagiel nie znikał nawet w samo południe. Słońce o zachodzie zatapiało się w falach, znacząc czerwono lśniąca smugę. Bez zmierzchu, nad horyzontem zapalała się wieczorna gwiazda i rychło nikła. Tuż przed odejściem wieczoru zjawiał się cienki sierp młodego księżyca i zaraz także pogrążał się w ruchliwym morzu. Nad wodami zapadały ciemności.

Mówił długo o Bogu, o swych porannych i wieczornych modlitwach, postach, ślubach, o palących żądzach. Wyrażał się jasno i precyzyjnie. Bez wahań znajdował właściwe słowa. Umysł miał doskonale wyćwiczony, jak tego wymagał jego zawód. Oczy błyszczały bardzo przytomnie, choć była w nim

jakaś sztywność. Z całej postawy przebijała nieustępliwa stanowczość i brak giętkości. Czuło się jego potężną wolę i choć się łatwo uśmiechał, wola nie traciła napięcia, czujna i dominująca. Życie miał bardzo uregulowane, a od swych ustalonych nawyków odstępował tylko z rozmysłem. Bez woli - powiedział - nie ma cnoty; wola jest konieczna, aby przełamać zło. Walka dobra ze złem jest ustawiczna i tylko wola może utrzymać zło w szachu. Miał też w sobie pewną subtelność, bo uśmiechał się, patrząc na trawnik i barwne kwiaty, lecz nigdy nie pozwalał swemu umysłowi zapuszczać się poza granice zakreślone przez wolę. Chociaż starannie unikał ostrych słów, gniewu i wszelkich przejawów zniecierpliwienia, jego wola nadawała mu szczególnie rys gwałtowności. Piękno gotów był zaakceptować, jeśli zgadzało się z jego planami; lecz zawsze w tle był lęk przed zmysłowością i związanym z nią bólem, nad którym starał się zapanować. Był czytany i gładki w obejściu, lecz jego wola towarzyszyła mu jak cień.

Wierność zasadom nigdy nie może być prosta; wierność zasadom jest pożywką dla woli, a wola nie potrafi odsłonić obyczajów jaźni.

Poznawanie siebie nie jest wynikiem działania woli. Samopoznanie zjawia się, gdy obecna jest czujność na reakcje wobec tego co życie niesie. Wola odcina te spontaniczne reakcje, a tylko one mogą ujawnić strukturę jaźni. Wola stanowi samą istotę pragnienia; jest przeszkodą w jego zrozumieniu. Wola nigdy nie może być bierna; a tylko w bierności, w czujnej ciszy może pojawić się prawda. Konflikt ma miejsce zawsze między pragnieniami, na każdym możliwym ich poziomie. Umacnianie jednego pragnienia wobec innych rodzi tylko narastający opór, a opór ten jest wolą. Zrozumienie nigdy nie może nastąpić dzięki przeciwstawianiu się. Ważne jest nie to, aby pokonać jakieś pragnienie, lecz to, aby pragnienie zrozumieć.

Pragnienie aby osiągnąć, zyskać coś, jest podłożem dla wierności zasadom; a to dążenie, powierzchowne czy głębokie, sprzyja przystosowywaniu się, co jest zaczątkiem lęku. Lęk ogranicza samopoznanie do tego co już zostało doświadczone i tak ginie sposobność wyjścia poza doświadczenie. Powstaje w ten sposób ograniczona samowiedza, która poszerza tylko i pogłębia poczucie 'ja', przenosząc je z czasem na coraz to inne poziomy, a konflikt i ból wciąż trwają.

Możesz z rozmysłem zapomnieć o sobie, czy zatracić się w jakiejś działalności, w uprawianiu ogrodu, w ideologii, w rozniecaniu w społeczeństwie ostrych nastrojów wojennych; lecz oto utożsamieś się z krajem, z ideą, z działalnością, z bóstwem. Im bardziej wzniosłe utożsamienie, tym szczelniejsza zasłona okrywa twój konflikt i ból. Owo pragnienie zjednoczenia się z wybranym przedmiotem rodzi właściwy dla wierności zasadom konflikt, który zupełnie zaprzecza prostocie. Możesz posypywać głowę popiołem, ubierać się bardzo skromnie, zostać żebrzącym pielgrzymem, jednak nie na tym polega prostota.

Prostota i wierność zasadom nie mogą iść nigdy w parze. Ktoś kto się z czymś utożsamiał, na jakimkolwiek poziomie, może być temu wierny, lecz nie jest prosty. Wola bycia kimś jest wręcz przeciwieństwem prostoty. Prostota pojawia się wraz z wolnością od zachłannego dążenia do osiągnięć. Osiągnięcie polega na utożsamieniu się, zaś utożsamianie się jest wyrazem woli.

Prostota to czujna, bierna uważność, w której nie ma miejsca na obserwatora utrwalającego w pamięci obserwację. Samo - analiza uniemożliwia tego

rodzaju negatywną czujność; w przypadku analizy obecny jest zawsze motyw - aby być wolnym, aby zrozumieć, aby coś uzyskać - a to pragnienie jedynie umacnia świadomość odrębnego 'ja'. Także introspekcyjne wnioski unieruchamiają nurt poznawania jego natury.

I. 36. SŁOWA

Był bardzo odczytany, a choć niezamożny, uważał się za bogatego w wiedzę, i to mu dawało niemało radości. Dużo czasu spędzał nad książkami, chętnie też przebywał sam ze sobą. Żona go odumarła, a dwoje dzieci umieścił u krewnych; był niemal zadowolony z takiego obrotu rodzinnych spraw, oszczędzało mu to kłopotów i trosk. Był dziwnie samowystarczalny, niezależny i spokojnie stanowczy. Przybył z daleka aby omówić kwestię medytacji, a zwłaszcza używania pewnych sanskryckich strof, których ciągle powtarzanie znacznie pomagało - jego zdaniem - w uspokojeniu umysłu. Twierdził również iż w samych słowach kryje się pewna magia, ale trzeba je właściwie wymawiać i odpowiednio śpiewnie recytować. Zostały nam przekazane z pradawnych czasów; samo piękno tych słów w ich przedziwnym rytmie i kadencji wytwarzało atmosferę niezmiernie dla skupienia pomocną.

I poczuł śpiewać. Miał głos przyjemny, głęboki i miękki, czuło się w nim rozmiłowanie w słowach i treści intonowanych strof. Śpiewna recytacja płynęła swobodnie zdradzając długą praktykę, i wielką żarliwość. Porywał go ten śpiew, zatracił się w nim, wszystko inne przestawało dlań istnieć.

A z pola dobiegł głos fujarki, nieśmiały, niewprawnie dobywany, ale jasny i czysty. Grajek siedział w głębokim cieniu rozłożystego drzewa, a za nim w oddali rysowały się przymglone kontury gór. Dalekie milczące góry, te strofy rytmiczne, i głos fujarki zdawały się spotykać i spływać w jedno; to cichnąć, to na nowo wznosić się dźwiękiem. W pobliżu śmignęły z głośnym wrzaskiem zielone papużki, i znów wzbił się głęboki i mocny głos śpiewnych sanskryckich strof i dźwięk fujarki z oddali. Był to wczesny ranek, słońce zaledwie złociło wierzchołki drzew. Ludzie śpieszyli ze swych wiosek ku miastu, śmiejąc się i gawędząc wesoło; a że fujarka i intonowane strofy brzmiały dość donośnie, niejeden zatrzymywał się aby posłuchać, a niektórzy przysiadali na skraju drogi pociągnięci pięknem tonów i urodą poranka. Czar muzyki oraz inkantacji nie naruszył wcale gwizd przechodzącego opodal pociągu; *wszystkie* dźwięki zdawały się łączyć, spływać w jedno i wypełniać powietrze. Nawet głośne krakanie wron nie było dysonansem i nie przerywało harmonii.

Dźwięk słów ma dziwną nad nami władzę; jakie ważne stały się dla nas niektóre wyrazy - Bóg, kraj, ojczyzna, kapłan, demokracja, rewolucja... Żyjemy słowami i lubujemy się wrażeniem jakie w nas wywołują; i one to, te wrażenia, tak dużego, tak nadmiernego nabierają znaczenia. Słowa, bogate w treść dawnych zapomnianych przeżyć cieszą nas, a radują tym bardziej gdy zastępują lub przysłaniają *to co jest*. Zapełniamy pustkę wewnętrzną słowem, dźwiękiem, lub zgiełkiem działania, ruchu, akcji; muzyka i śpiew stają się także wielce miłą ucieczką od własnej małości i nudy naszego życia. Słowa przepelniają nasze biblioteki; a rozmowom naszym nie ma końca. Wydaje się iż nie mamy odwagi pozostać bez książki w ręku, bez żadnego zajęcia, sami ze sobą. A gdy się zdarzy że jesteśmy sami, umysł jest niespokojny, myśl błędzi, przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, zwraca się ku wspomnieniom, przeżuwa troski, zgryzoty, strapienia, wciąż o coś walczy, czegoś się

dopomina; wiać właściwie nigdy nie jesteśmy sami ze sobą, w ciszy.

Wprawdzie powtarzanie słów, modlitwy, śpiewu, może uciszyć myśl, ukołysać ją do snu łagodnie i nieznacznie - jak środkiem nasennym - albo silnym rozkazem zmusić ją do spokoju, można nawet mieć w tym stanie wizje i sny; ale myśl którą do spokoju przymusza jakaś dyscyplina, czy usypia rytuał lub powtarzane wersety i śpiew, nie będzie nigdy bystra, uważna, wolna, czujnie wrażliwa. Takie tłumienie lub ukołysanie myśli - delikatnie czy surowo - nie jest bynajmniej medytacją. Przyjemnie jest śpiewać święte strofy sanskryckie, albo słuchać kogoś kto w tej sztuce jest mistrzem, i jedno i drugie dostarcza tak miłego wrażenia; ale wrażenia żywią się poprzednimi i domagają się następnych wrażeń, i prowadzą do ułud. Większość z nas lubi żyć złudzeniami; jakże miło jest znajdować wciąż głębsze ułudy! A im szerszy zakreślają krąg tym bardziej się ich trzymamy, lęk przed ich utratą skłania nas do przykrywania rzeczywistego, *tego co jest*, lub wręcz do zaprzeczania mu. Ale nie oznacza to bynajmniej że nie stać nas na zrozumienie *tego co jest*; jednak odsuwamy je w obawie iż rozwieją się nasze ulubione złudzenia. Wpadać coraz głębiej w sieć ułudy nie jest bynajmniej medytacją; jak nie jest nią upiększanie i złocenie krat naszego więzienia. Dopiero czujne zdawanie sobie sprawy (*awareness*) - bez chęci wyboru ani osądu - z ruchów umysłu - twórcy ułudy - jest początkiem prawdziwej medytacji.

Jakże dziwną się wydaje ta nasza łatwość wynajdywania różnych środków zastępczych - namiastek - i zadawania się nimi, zamiast szukać wartości prawdziwych i rzeczywistych. Symbol, słowo, obraz, większego nabierają znaczenia aniżeli rzeczy same w sobie; i wokół tych symboli wznosimy całe gmachy ułudy, wzmacniając je wiedzą i doświadczeniem; a doświadczenie na ułudzie oparte jest przeszkodą w zrozumieniu prawdy. Używamy imion i słów nie tylko dla przekazywania myśli innym, ale i dla utrwalania naszych przeżyć, bo to wzmacnia poczucie siebie, naszego "ja"; a gdy raz ten proces pochwyli nas w swe tryby, coraz trudniej się staje "puścić" swoje doznania, czyli wychylić się po za obwód swego "ja". A przecie tak ważne jest pozwolić umrzeć wczorajszym przeżyciom i dzisiejszym wrażeniom, inaczej wszystko zaczyna się powtarzać i jest ciągle odgrzewanie starego. Powtarzanie tych samych słów, rytuałów, czynności, jest puste i jałowe; nigdy nie może przynieść odnowienia. Umieranie w dawnych przeżyciach - to twórczość.

I. 37. POJĘCIE A FAKT

Była od wielu lat zamężna, ale nie mieli dzieci, nie mogła ich mieć, i głęboko nad tym cierpiała. Każda z jej siostr miała liczne potomstwo, czemuż tylko ona jedna była jak pod klątwą? Wydano ją za męża bardzo wcześnie, wedle panującego zwyczaju; i wiele musiała przejść, lecz miewała również okresy cichej radości. Mąż jej miał posadę w jakimś wielkim przedsiębiorstwie, czy urzędzie państwowym. On także cierpiał nad tym że nie mieli dzieci, ale ostatnio zdawał się już godzić z losem; zresztą, -- dodała - był lak bardzo zajęty. Nie trudno było wywnioskować że trzymała go w ręku, chociaż niezbyt twardo. Opierała się na nim, więc z konieczności musiała mieć nad nim przewagę. Nie mając dzieci w nim szukała wypełnienia; spotykało ją jednak rozczarowanie, gdyż mąż był słaby, nie dawał jej oparcia, musiała sama decydować o wszystkim. W biurze - mówiła z uśmiechem - uważano go za pedanta, surowego i wymagającego; ale w domu był łatwy i uległy. Chciała aby się dociągał do jej pojęć, usiłowała nagiąć go - oczywiście łagodnie - do

pewnych ram jej własnych wyobrażeń; ale się to nie udawało. W rezultacie nie miała nikogo na kim by mogła się oprzeć, nic miała kogo kochać.

Wyobrażenia są dla nas ważniejsze od faktów; własne pojęcia o tym jakim ktoś *powinien* być, ma większe znaczenie aniżeli to, jakim *jest*. Przyszłość więcej nas zwykle interesuje i pociąga niż terażniejszość. Obraz, symbol, mają większą wagę niż to, co faktycznie istnieje; staramy się wciąż nad tym co *jest* wznosić jakieś nadbudówki idei, wzorów, wyobrażeń, i tym sposobem stwarzamy sprzeczność pomiędzy tym co *jest*, a tym co powinno by być. Ale owo "powinno" to wyobraźnia, fikcja, i pomiędzy tą ułudą a aktualnością powstaje starcie; sprzeczność ta nie istnieje w samych faktach, istnieje w nas. Nasze własne majaki przemawiają do nas więcej aniżeli to co *jest*; twory wyobraźni pociągają nas i zadawalają więcej aniżeli to, co rzeczywiście istnieje, toteż się ich z uporem trzymamy. I oto fikcji nadajemy realność i uważamy za prawdę, a to co jest w istocie prawdą zdaje się nam złudą; i chwytają nas tryby starć pomiędzy wyobrażaną rzeczywistością a domniemaną ułudą.

Dlaczego, dobrowolnie czy nieświadomie, trzymamy się uparcie pojęć - tych tworów wyobraźni - a odsuwamy, czy się odwracamy, od tego co *jest*? Oto pojęcie, wzór, schemat, są projekcją naszej własnej psychiki, lubowanie się nimi jest rodzajem samouwielbienia i wyrazem tęsknoty do własnej trwałości. Pojęcie, idea staje się źródłem energii potrzebnej do rządzenia, kierowania, urabiania innych, a utwierdzania siebie, i wśród tych pojęć - rzutowanych przez naszą psychikę - nasze "ja" nie może nigdy ucichnąć i zniknąć; czyli wzory i idee tylko wzmacniają i rozszerzają to "ja"; a my i *to* uważamy za miłość. Kocham syna czy męża i chcę go widzieć takim, jakim się mnie podoba, czyli chcę aby był czymś innym niż jest.

Jeśli chcemy zrozumieć to, co *jest*, musimy odsunąć wzory, idee i majaki wyobraźni; owo oddalenie ich jest trudne tylko wtedy, gdy w nas nic nie woła o zrozumienie tego co *jest*. Rozterka istnieje w nas, starcie zachodzi pomiędzy fikcją a tym, co *jest*, gdyż pierwsze - ten własny twór - daje nam większe zadowolenie aniżeli to, co rzeczywiście istnieje. Dopiero gdy *musimy* stanąć przed tym co *jest* twarzą w twarz, ów obraz ulega rozbiciu; więc idzie tu nie tyle o zagadnienie *jak uwolnić się* od tworów własnej wyobraźni, ile o spojrzenie "prosto w oczy" temu co *jest*. Możemy temu sprostać dopiero gdy zrozumiemy cały proces samozadowolenia, czyli ruchy i ścieżki naszego "ja"

Wszystkim nam idzie o samowypełnienie, choć może każdemu w inny sposób: jedni szukają go we władzy, inni w majątku, jeszcze inni w dzieciach, mężu, ojczyźnie, czy ideologii, albo w służeniu, w ofierze, czy też w przewodzeniu innym, lub odwrotnie w poddaniu się im. Ale czy samowypełnienie w w ogóle istnieje i jest osiągalne? Wszak przedmiot w którym szukamy wypełnienia jest zawsze przez nas samych obrany, jest projekcją naszego "ja", więc można powiedzieć że tęsknota do wypełnienia jest tylko odmianą żądzy przedłużenia ciągłości swego bytu. Świadomie lub nieświadomie sami wybieramy różne sposoby ku samowypełnieniu, a wybór nasz wpływa z chęci znalezienia *trwałego* zadowolenia, innymi słowy dążenie do samowypełnienia jest pogonią za utrwaleniem naszych pragnień. Pragnienia i tęsknoty są zawsze przemijające, nie posiadają stałego punktu oparcia, mogą utrzymywać przez pewien czas przedmiot którego się chwytają, ale same w sobie nie posiadają trwałości. Jesteśmy tego instynktownie świadomi, więc usiłujemy nadać trwałość jakiejś idei, wierzeniu, jakimś rzeczom czy związkom z ludźmi; ale że i to jest niemożliwe, stwarzamy

doznającego, obserwatora, jako trwałą, nieprzemijającą istotność, owo "ja" odrębne i od pragnień oddzielne, myśliciela wyodrębnionego od swych myśli. Ale to oddzielanie jest najoczywiściej sztuczne, nieprawdziwe, i wiedzie do niekończących się złudzeń.

Dążenie do trwałości jest podstawą nieustannej tęsknoty do samowypełnienia; ale nasze "ja" nie może nigdy zdobyć tego upragnionego stanu, bowiem samo jest znikome i przemijające, więc i to w czym szuka wypełnienia jest z konieczności nietrwałe, znikome. Trwanie, tj. ciągłość "ja", to upadek i rozkład, ciągłość nie zawiera w sobie czynnika przemiany, ani jednego tchnienia "nowego". "Ja" musi skończyć się aby prawdziwie *nowe* mogło się objawić. Bo "ja" jest pojęciem, wyobrażeniem, ideą, jest ono kłębkim wspomnień, a każde dalsze szukanie samowypełnienia jest tylko dalszym ciągiem, snuciem ciągłości pojęć i przeżyć. Przeżycia zawsze nas ograniczają i uwarunkowują; podmiot doznający zawsze się oddziela i wyodrębnia od doświadczanego; więc trzeba wyzbyć się przeżyć, i uwolnić od ich pożądania.

Pragnienie samowypełnienia jest jednym więcej sposobem przykrywania wewnętrznej pustki i ubóstwa, tai się, w nim zawsze smutek i ból.

I. 39. SAMOOBRONA

Był to człowiek znany, zajmował stanowisko które dawało mu dużo sposobności do szkodenia innym, czego też nieraz nie omieszkął bez wahania robić. Był przebiegły, płytki, małoduszny, pracował dla własnej korzyści jedynie. Powiedział mi iż nie chodzi mu o omawianie żadnych zagadnień, po prostu tak się złożyło że tu przyszedł, więc oto jest. Ze wszystkiego co mówił i czego nie domawiał wynikało jasno iż miał ogromne ambicje, że lubił narzucać swe poglądy innym i urabiać ich na własną modłę; był brutalny gdy mu się to opłacało, a uprzejmy gdy chciał coś uzyskać. Okazywał względy ludziom na wyższych od siebie stanowiskach; równych sobie traktował z nieco wyniosłą tolerancją, a niższych niemal nie zauważał; nie raczył np. nawet spojrzeć na kierowcę samochodu który go przywiózł. Był majątny i to w nim wyrobiło podejrzliwość; przyjaciół miał niewielu. O dzieciach swych mówił jakby miały służyć tylko jego rozrywce, bo - dodawał - "nie mogę znieść samotności".

Ktoś wyrządził mu niegdyś dużą krzywdę, a że nie mógł mu tym samym odpłacić, gdyż człowiek ów był po za jego zasięgiem, przeto wynagradzał to sobie wywierając niejako swą zemstę na tych, których *mógł* osiągnąć. Sam nie rozumiał dlaczego nieraz bez żadnej widocznej przyczyny bywał brutalny, dlaczego chciał często dokuczyć tym, których, jak twierdził, kocha. Powoli, w miarę mówienia, jakby odtajał, i zdawał się być niemal życzliwy. Oczywiście była to życzliwość chwilowa, która znikłaby natychmiast gdyby napotkała opór, albo gdyby od niej czegoś zażądano. Ale że nic się od niego nie chciało, był swobodny i na krótki chwilę nawet serdeczny.

Chęć wyrządzenia komuś krzywdy, dokuczenia słowem, gestem, czy też sięgając jeszcze głębiej, zaznacza się silnie u wielu ludzi, jest rzeczą częstą i zastraszająco przyjemną. Sama obawa aby nas ktoś nie dotknął wywołuje chęć dokuczenia innym; czyli urażenie i krzywdzenie jest rodzajem obrony siebie. Owa samoobrona przybiera nieraz dziwne formy, zależnie od okoliczności i charakteru człowieka.

O, jakże łatwo jest ranić ludzi! Jak wielkiej potrzeba dobroci i subtelności by nigdy nikogo nie ukrzywdzić!

Ranimy innych bo sami jesteśmy poranieni przez nasze własne walki, rozterki, cierpienie. Im większą jest nasza wewnętrzna męka tym żywszą chęć dokuczenia innym. Niepokój i chaos wewnętrzny skłania nas do szukania jakiejś zewnętrznej ochrony, a im bardziej bronimy siebie tym większą jest nasza brutalność wobec innych.

O co nam tak bardzo chodzi? co staramy się tak ochraniać i bronić? Oczywiście nasze pojęcie o sobie, na każdym poziomie i w każdej sferze. Gdybyśmy nie chronili tego pojęcia, tego centrum zaborczości i gromadzenia, "ja" i "moje" przestałoby istnieć. I byłibyśmy wówczas niesłuchanie wrażliwi, bezbronni, otwarci, czujnie świadomi wszelkich odruchów i przejawów naszej psychiki, zarówno w jej powierzchniowych jak i utajonych warstwach. Zazwyczaj wcale nie pragniemy odkrywania ścieżek i chodów naszego "ja", przeto bronimy się przed wszystkim co może naruszyć nasze pojęcie o sobie; to pojęcie jest niezmiernie płytkie, ale że większość z nas żyje na powierzchni siebie, więc zadawalają nas uludy.

Chęć dokuczenia innym jest głęboko zakorzenionym instynktem. Żywimy w sobie urazy, niechęci, pragnienie odwetu, a nagromadzenie ich wzmacnia naszą żywotność i poczucie aktywności; a to, co się w ten sposób nagromadzi musi znaleźć wyładowanie, toteż znajduje ujście w gniewie, złości, obelgach, lekceważeniu, zaciętości, albo też w ich odwrotnościach, np. umyślnie przyjętej uprzejmości, wyrabianej łagodności itp. Właśnie to gromadzenie żalów, uraz, goryczy i żądzy odwetu wymaga antidotum w postaci przebaczenia; przebaczenie jest niepotrzebne tam, gdzie się nie zachowuje żalu, ani poczucia krzywdy.

Co jest przyczyną że tak skrzętnie przechowujemy w pamięci pochlebstwa i obelgi, krzywdy i serdeczności? Bez tego gromadzenia różnych wzruszeń i ich reakcji, po prostu nie istniejemy; jesteśmy niczym jeśli nie mamy imienia, przywiązań, wierzeń, przekonań. I właśnie lęk przed tą nicością zmusza nas do gromadzenia, i tenże - świadomy lub nieświadomy - strach, pomimo całej naszej zachłanności w gromadzeniu, sprowadza w nasze życie rozkład i spustoszenie. Jeśli potrafimy zobaczyć ten strach w całej jego prawdzie, ta prawda nas odeń oswobodzi; ale nie uczyni tego żadne rozmyślane postanowienie przezwyłączenia go i zdobycia wolności.

W istocie *jesteśmy* niczym. Możemy posiadać imię, tytuł, własności, majątek, władzę i sławę, ale pomimo tych wszystkich ochraniających nas dóbr, jesteśmy jako nic. Możemy nie być świadomi tej pustki, tej nicości, albo po prostu nie chcąc w nią spojrzeć i ją uświadomić, ale ona wciąż jest, cokolwiek byśmy robili aby jej nie widzieć i od niej ujść. Możemy starać się od niej uciec w najróżniejszy sposób; przez osobiste lub kolektywne okrucieństwo; przez jednostkowe lub wspólne rytuały i modlitwy; albo też przez zdobywanie wiedzy, lub oddawanie się rozrywkom; ale czy we śnie czy na jawie pustka w nas nieodmiennie trwa. Poznać nasz do tej nicości stosunek i nasz przed nią strach, możemy tylko przez zdawanie sobie sprawy - a bez chęci wartościowania - z naszych ciągłych ucieczek.

Nasz stosunek do owej pustki nie jest stosunkiem odrębnej indywidualnej istoty, nie jesteśmy badaczem który ją obserwuje; bez nas czyli bez myśliciela, bez obserwatora nie ma jej, znika. Myśliciel i owa nicość to jedno; my i owa pustka to jedno łączne zjawisko, a nie dwa odrębne, niezależne od

siebie procesy. Jeśli ja - obserwujący, myśliciel - obawiam się do niej zbliżyć jako do czegoś co mi jest przeciwne i wrogie, tedy wszelki ruch jaki ku niej uczynię doprowadzi nieuniknienie do nowego złudzenia, a więc do nowych rozterek i męki. Ale gdy przyjdzie ku nam odkrywcze przeżycie że pustka to my sami, wówczas strach - który trwa tylko dopóki myśliciel uważa iż jest od swych myśli oddzielny i stara się wejść z nimi w jakiś stosunek odpada i znika, i dopiero wtedy myśl może zupełnie ucichnąć; a w tej ciszy, w tym spokoju, objawia się Prawda.

I. 41. ŚWIADOMOŚĆ (AWARENESS)

Olbrzymie białe obłoki, jak morskie bałwany pienne, unosiły się na krańcach cichego błękitu nieba. O paręset stóp niżej jaśniał szafir zaginającej się łukiem zatoki, a daleko na horyzoncie rysował się stały ląd. Był cichy jasny wieczór; hen na widnokręgu widniał słup dymu z sunącego statku. Pomarańczowe gaje rozciągały się aż do stóp góry na której staliśmy, a mocny zapach pomarańczowego kwiecica napełniał powietrze. Wieczór stopniowo błękitniał, jak to się działo zawsze w tych górach; samo powietrze zdawało się błękitne, a jaskrawa biel pobliskich domów traciła swą ostrość w tej delikatnej niebieskawej poświacie. Szafir morza zdawał się zalewać ląd i otulać go swą barwą, a góry jaśniały również przejrzystą błękitnością. Był to widok jak z bajki; chwila niezmiernej ciszy. Choć dochodziły nas różne wieczorne głosy z oddali, cisza je połykała, zlewały się z nią i myśmy również w niej zatoniły. Dziwną miała własność ta cisza, zdawała się odnawiać rzecz wszelką i zmywać z niej kurz i ból wieków i odświeżać jej serce. I oczy nasze również ta cisza splukwała, a myśl wgarnęła w siebie i roztopiła. Ryk osła dał się słyszeć z oddali, echa roznosiły się po dolinie, a cisza przyjmowała je wszystkie. Dzień się kończył śmiercią wszystkich wczorajszych dni, a w śmierci tej tało się odrodzenie, wolne od smutku przeszłości. Z bezmiaru tej ciszy wyłaniało się nowe życie.

W pokoju gdzieśmy się wkrótce znaleźli, gość czekał na rozmowę; siedział na pozór spokojnie, ale czuć w nim było ukryte napięcie. Pochodził z miasta, wskazywało na to świetnie leżące na nim ubranie, które zupełnie nie pasowało do tej zapadłej wioszczyzny i skromnego pokoju. Począł opowiadać o swych zejściach, o trudnościach swego zawodu, o troskach rodzinnego życia i natarczywości pożądań. Twierdził iż ma dość rozsądku by z tymi trudnościami dawać sobie rady, bezradny był jedynie wobec zmysłowych żądz. Był żonaty, miał dzieci, ale to nie wystarczało. Jego życie seksualne stało się ostatnio zawiłym problemem i dręczyło go do szaleństwa. Radził się lekarzy i psychoanalityków, ale rady ich nie rozwierały trudności, a przecie chce i musi dotrzeć do jej sedna.

Jakże nam spieszo do rozwiązania wszystkich naszych zagadnień! Jak uporczywie szukamy odpowiedzi, wyjścia, środków zaradczych! Nigdy nie staramy się przyrzeć danej sprawie czy trudności uważnie, a w podnieceniu i pośpiechu chwytamy się pierwszej lepszej odpowiedzi nieodmiennie przez własne pragnienia podyktowanej. Sami stwarzamy problem, a rozwiązania szukamy poza sobą. Goniąc za rozwiązaniem unikamy uważnego zbadania samego zagadnienia, właśnie o tą ucieczkę najczęściej nam idzie. Wówczas odpowiedź staje się najważniejsza, a nie pytanie. Ale odpowiedź nie jest czymś od pytania oddzielnym, rozwiązanie kryje się w samym zagadnieniu, nie gdzieś poza nim. A gdy odpowiedź oddzielamy od sedna problemu

tworzymy nowe trudności i nowe powstają, pytania, np.: *jak* zrozumieć odpowiedź, *jak* ją rozwinąć, jak teoretyczne ujęcie zastosować w praktyce itd. A że uporczywe szukanie odpowiedzi jest oddalaniem się od samego zagadnienia, przeto gubimy się niebawem wśród własnych tworów - pojęć, przekonań, ideałów i przeżyć i oddajemy cześć tym "domorosłym bóstwom", a stąd popadamy w coraz większy zamęt i znużenie. Jest stosunkowo łatwo dojść do jakiegoś określonego wniosku, ale jest bardzo trudno zrozumieć całość zagadnienia; wymaga to zupełnie innego podejścia, w którym nie będzie się ukrywać nawet najłżejsza chęć uzyskania natychmiastowej odpowiedzi.

Nie można czatować na odpowiedź, trzeba być wolnym od tej chęci aby móc w pełni zrozumieć dane zagadnienie. Tylko ta wolność umożliwia łatwe skupienie uwagi, gdyż myśli nie rozpraszały wówczas żadne drugorzędne tematy. Dopóki jest w nas opór wobec jakiegoś problemu, dopóty nie jesteśmy w stanie ogarnąć go zrozumieniem, bowiem ten sprzeciw rozstrzela uwagę. Zrozumienie może przyjść dopiero gdy nawiąże się kontakt i bezpośrednio obcowanie z daną sprawą, a te się nie ustalą póki jest w nas sprzeciw, protest, walka czy lęk, albo bierne poddanie się. Trzeba przede wszystkim ustalić nasz właściwy do danego problemu stosunek, jest to pierwszy krok ku zrozumieniu go; ale jak może taki stosunek zaistnieć jeśli nam chodzi o to, aby czym prędzej danej kwestii się pozbyć, wszak chęć znalezienia jak najszybszej odpowiedzi jest właśnie tym. Odpowiedni stosunek to bezpośrednio spokojne "obcowanie", a nie jest ono możliwe póki w nas trwa czynny lub bierny opór wobec problemu. Rodzaj naszego podejścia do zagadnienia jest ważniejszy od niego samego, gdyż nasze podejście je warunkuje i ono określa jego rozwiązanie i cel. Środki i cel nie są różne od naszego stosunku, a ten decyduje o losie zagadnienia. Czyli najważniejszym w tym wszystkim jest nasz stosunek, nasze podejście do rzeczy, gdyż zawarte w nim przesady, lęki i oczekiwania nieuchronnie problem zabarwiają. Bezstronne, spokojne, - od wartościowania wolne - zdawanie sobie sprawy z rodzaju naszego podejścia stworzy żywy kontakt z zagadnieniem. Jest ono wytworem naszego "ja", więc przede wszystkim to "ja" musimy zrozumieć; "ja" i "mój problem" czy trudność, nie są to dwa różne, oddzielne od siebie procesy. Ja sam *jestem* problemem który zachodzi mi drogę.

Działania naszego "ja" są zastraszająco jednostajne; jakże są nudne, błahe, denerwujące, bezsensowne! Jego sprzeczne, wciąż ze sobą walczące pożądania, nadzieje, oczekiwania i żale, wszystkie jego zniechęcenia, jego zdobycze i majaki pochłaniają i niewolą nas, a przecie są nieważkie i beztreściowe, a wszystkie jego odruchy i działania wiodą do znużenia. Ciągłe się wspina i ciągle zsuwa się w dół, wciąż za czymś goni i rozbija o przeszkody, wciąż zdobywa i wciąż traci, i wciąż usiłuje wyrwać się z tego męczącego kręgu małostek. Ucieka w zewnętrzną działalność, w rozkoszne złudzenia, w pijaństwo czy rozpustę, chwyta się książki, radia, studiów, sztuki, zabawy itd. Jego zdolność tworzenia złud jakże jest złożona a niewyczerpana! Te "domowego wyrobu" ułud są przezeń ciągle tworzone, są to własne wyobrażenia ideałów, bałwochwalcze koncepcje o mistrzach, guru, zbawicielach, o przyszłości jako o środku do samowywyższenia się, do ekspansji itd. A usiłując ująć od tej nużącej jednostajności nasze "ja" goni za wewnętrznymi i zewnętrznymi wrażeniami i wciąż się nimi podnieca. Zastępują one samowyrzeczenie i samozaparcie się i w tych środkach

zastępczych zatracą się. I czasem mu się to nawet udaje, ale wkrótce zwiększa to tylko jego znużenie. Goni za tymi namiastkami, to za jedną, to za drugą, a każda z nich stwarza nową, jej właściwą trudność, rozterkę, cierpienie.

Szukamy zapomnienia się wewnątrz i na zewnątrz: jedni zwracają się do religii, inni do pracy, czy jakiejś działalności. Ale nie ma sposobu na zapomnienia o swym "ja". Wewnętrzny czy zewnętrzny zgiełk może je przytłumić, ale za chwilę znów podnosi głowę, w innej ukazuje się postaci, odrębną przybiera maskę; gdyż to, co się stłumi grozi zawsze wybuchem i *musi* znaleźć ujście. Zapominanie się w zmysłowych rozkoszach czy w alkoholu, w studiach, czy w religii, więzi nas, i stajemy się uzależnieni od tych ucieczek, to od czego się uzależniamy urasta w zagadnienie. Jeśli spodziewamy się znaleźć oswobodzenie się od siebie, samozapomnienie i szczęście w trunku, uwielbieniu, czy w mistrzu, to na czym polegamy, od czego się uzależniamy, zmienia się w trudność, w złożone zagadnienie. Uzależnianie się rodzi chęć posiadania, zawiść, lęk i wówczas ten lęk i jego przewyciężenie stają się palącą troską.

W naszym poszukiwaniu zadowolenia i szczęścia wciąż stwarzamy różne problemy i trudności i wpadamy w ich sieci. Znajdujemy pewne zadowolenie w zapomnieniu się jakie nam daje życie seksualne, więc używamy go jako środka do osiągnięcia pożądanego stanu. Zadowolenie czy szczęście z *pomocą czegoś*, lub *dzięki czemuś*, nieuniknienie sprowadza udrękę i konflikty, gdyż środki stają się wówczas ważniejsze od samego celu; tj. szczęścia.

Jeśli piękno tego krzesła które stoi przede mną daje mi zadowolenie, tedy staje się ono ogromnie dla mnie ważne, chcę je ochraniać i bronić przed innymi, i w tym wysiłku i walce radość z jego piękna jaką na początku odczuwałem zatracą się i zapomina, zostają po prostu sam ze zwykłym krzesłem. Samo w sobie krzesło ma niewielkie znaczenie, to ja nadałem mu ogromną wagę czyniąc zeń środek ku mojej radości. W tym wypadku środek zastępuje to, czego miał nam dostarczać, innymi słowy staje się namiastką przyjemności. Gdy środkiem do szczęścia jest dla mnie człowiek, tarcia, rozterki, cierpienie zwiększają się niepomiaralnie. Jeśli stosunek mój z człowiekiem opiera się na używaniu go ku czemuś, czyli na robieniu z niego narzędzia służącego moim celom, czyż może od wyjść poza najbardziej zewnętrzny i powierzchowny? poza taki który może istnieć pomiędzy tym, który używa czegoś, a używanym przedmiotem? Jeśli używam ciebie dla dostarczenia sobie przyjemności, czyż nawiązuję z tobą prawdziwym jakkolwiek kontakt i żywy stosunek? Istotny stosunek to obcowanie z drugim człowiekiem, to "komunia" z nim, na różnych poziomach, w różnych psychologicznych sferach; a czyż istnieje prawdziwy kontakt i obcowanie gdy ja ciebie używam tylko jako narzędzia dla zaspokojenia mej przyjemności, lub tęsknoty do szczęścia? W takim *używaniu* ku czemuś drugiego człowieka czy nie kryje się raczej chęć wyodrębnienia się od niego, spodziewając się znaleźć w tym zadowolenie? I to oddzielanie się nazywam *stosunkiem* do niego; ale w istocie nie ma w tym żadnego z nim kontaktu, tym mniej obcowania. To obcowanie, aż do jednoczenia się - komunii wewnętrznej - może istnieć tylko wówczas gdy nie ma w nas ani odrobiny lęku, a tam gdzie jest używanie, czyli wyzyskiwanie drugiego człowieka, a więc i uzależnianie się od niego, tam zakrada się zawsze przejmujący strach i ból. Nic nie może istnieć w odosobnieniu, więc usiłowania naszego "ja" do wyodrębnienia się i

oddzielenia, prowadzi tylko do jego zahamowań i jałowej udręki. Chcąc uciec od poczucia własnej niecałkowitości, szukamy wypełnienia siebie w ideach, poglądach, ludziach i rzeczach; i powracamy do punktu z któregośmy wyszli - uciekamy się do środków zastępczych, do namiastek.

Trudności i zawile problemy będą istnieć zawsze tam gdzie "ja" bierze górę; a na to aby sobie jasno uświadomić co jest, a co nie jest ruchem i wyrazem naszego "ja", potrzeba nieustannej czujności. Owa czujność nie jest wyćwiczoną uwagą, jest wszechstronną jasnością myśli, wolną od wyborów i wartościowań - czyli czystą świadomością (*awareness*). WYROBIONA uwaga tylko zasila nasze "ja", staje się znów namiastką i uzależnieniem się. Zaś jasna świadomość nie jest umyślnie wywoływana ani wyrobiona przez ćwiczenia i praktyki; jest to ogarnianie zagadnienia w jego całości, zarówno w powierzchniowej jak głębszej, ukrytej postaci. Chcąc aby się nam odstąpiły te głębsze pokłady trzeba zrozumieć wpieryw widzialną, zewnętrzną stronę problemu; ale owo ukryte nie ujawni się zanim powierzchniowy umysł nie ucichnie i nie uspokoi się. Werbalizacja - rozpraszenie się w słowach - zdradza słabą i płytką umysłowość, a przeżycia które zawsze lubimy gromadzić, wciąż się powtarzają. Jasna świadomość nie jest sprawą postanowienia, ani woli. gdyż trzymanie się ustalonego wola kierunku wywołuje opór i sprzyja wyłączeniu. Świadomość - wolna od wartościowania - to ciche obserwowanie tego co *jest*; a w tej bezstronnej cichości całokształt zagadnienia sam się przed nami rozwija i daje się wszechogólnie i wszechstronnie zrozumieć.

Żadne zagadnienie nie może znaleźć rozwiązania jeśli rozpatrywać je będziemy tylko na jednym - jemu właściwym - poziomie i jest ono zjawiskiem wielce złożonym, więc trzeba ogarnąć rozumieniem całość jego procesu, wszystkie jego postacie i przemiany. Starać się rozwiązać problem tylko na jednym poziomie, czy to fizycznym czy psychologicznym, to zaprasza nowe zawilości i udręki. By mógł w pełni się przed nami odstąpić, potrzeba jasnej świadomości, tej czujnej odbiorczości która ukazuje nam od razu całokształt danego procesu.

Miłość nie jest wrażeniem ani emocją. Wrażenia dają początek myślom poprzez symbole i słowa. Emocje i myśli zastępują miłość, zajmują w nas jej miejsce. Ale należą one do intelektu, podobnie jak żądze zmysłowe, które intelekt rozbudza i podtrzymuje wspomnieniami dawniej doznanych rozkoszy. Intelekt podnieca namiętności i popędy zmysłowe, wywołując w pamięci obrazy przeżytego i sam się nimi rozkoszując. Umysł składa się z rozmaitych, a sprzecznych pożądań, pragnień, zainteresowań, z całą im właściwą gamą wrażeń; te zderzają się ze sobą gdy jedno lub drugie zaczyna brać górę nad innymi, i tak się tworzy złożony, niepokojący problem. Jedne wrażenia są przyjemne inne przykre, a nasze "ja" trzyma się pierwszych uparcie i staje się ich niewolnikiem. Te więzy są źródłem nowych zagadnień i trudności, gdyż "ja" jest kłębkim sprzecznych wrażeń. Unikanie wrażeń przykrych jest także niewolą, której towarzyszą specyficzne trudności i złudzenia. To umysł nasz, to "ja" jest twórcą tych niezliczonych problemów, toteż nie może ich nigdy rozwiązać. Ale miłość nie należy do sfery "ja", nie ma z intelektem nic wspólnego; gdy jednak intelekt zaczyna się wtrącać, rodzą się wrażenia, które lubi nazywać miłością. Tę oto "intelektualną miłość" można roztrząsać, myśleć, porównywać, ubierać w dowolne szaty. Umysł może się delektować obrazami doznanych w przeszłości, jak i przewidywanych w przyszłości rozkoszy, a tym samym podsycać żądze, na jakimkolwiek poziomie.

Miłość nie może istnieć w polu działania intelektu. Umysł jest polem lęków i kalkulacji, zawiści i żądzy władzy, porównań i sprzeczności, więc dla miłości nie ma tam miejsca. Zarówno zazdrość jak i pycha należą do intelektu, ale one - to nie miłość. Miłość i procesy intelektualne nie mają żadnego punktu stycznego więc nigdy nie mogą się spotkać. Gdzie wrażenia przeważają tam nie ma miejsca na miłość. Wówczas tylko ruchy myślowe wypełniają serce, a miłość staje się "niewiadomą", nieznanym za którym się tęskni, które się czci. Zostaje uznana za ideał, a w ideały się wierzy i ich się używa. I oto intelekt zapanowuje wszechwładnie, a miłość to już tylko słowo, wrażenie, mit. Można ją wówczas porównywać, mówić: "ja kocham więcej, ty kochasz mniej" itd. Prawdziwa miłość nie jest osobista, ani też bezosobista; miłość jest stanem bytu w którym wrażenie jako myśl nic istnieje.

I. 42. OSAMOTNIENIE

Straciła niedawno syna i nie wiedziała co począć ze sobą. Tak była zgnębiona i smutna, tyle miała czasu do zapelnienia, tak jej to wszystko ciążyło że wolałaby umrzeć. Wychowywała go starannie, rozumnie, z miłością; dała mu najlepsze wykształcenie umieszczając w świetnej szkole a potem na uniwersytecie. Nigdy go nie psuła, ale miał wszystko czego chłopak w jego wieku mógł potrzebować. Cała jej miłość skupiła się na nim, cała nadzieja i duma; on jeden był jej ukochaniem, gdyż z mężem rozstała się dawno.

Umarł dzięki niewłaściwej diagnozie, po operacji którą doktorowie uznali za "udaną" - dodała ze smutnym uśmiechem. A teraz oto została sama i całe jej życie zdawało się rozbite. Płakała długo po jego śmierci, aż wypłakała wszystkie łzy, a teraz została tylko ta straszna, tępa pustka. Tyle snuła planów dla nich obojga... Znikło wszystko; jest sama, zupełnie stracona.

Lekki wiatr niósł się od morza, miękki, orzeźwiający, a pod drzewem było cicho. Góry płonily w dali jasnymi barwami; sroki tuż obok przekomarzały się głośno; krowa ze swym cielątkiem szła drogą, wiewiórka śmignęła na drzewo i usiadłszy na gałęzi, machała puszystym ogonkiem, skrzecząc donośnie. Miała błyszczące oczka i ostre pazurki. Jaszczurka wygrzewała się na słońcu, a po chwili schwytała muchę. Wierzchołki drzew chwiały się lekko w wietrze; a wspaniały kształt uschłego drzewa rysował się ostro na tle nieba. Było ono wybielone przez słońce i piękne w swej śmierci. Obok stało inne, także suche drzewo, ale ciemne i pochylone, widać uschnięte niedawno. Kilka obłoków wisiało nieruchomo nad dalekimi górami.

Jakże dziwną jest samotność, jak straszną! Nie mamy nigdy odwagi podejść do niej zbyt blisko, a gdy się to czasem zdarzy, czym prędzej przed nią uciekamy, jesteśmy gotowi uczynić wszystko by tej samotności ująć lub ją czymkolwiek zasłonić. Świadomie lub nieświadomie usiłujemy jej uniknąć, albo ją przewyciężyć. Ale zarówno unikanie jak przewyciężanie samotności jest daremne. Możemy tłumić ból, odwracać odeń oczy, ale on trwa równie żywy w głębi. Możemy zatracać się w tłumie, a przecie pozostać dojmująco samotni; możemy zagłuszać się w jak najenergiczniejszej działalności, a jednak poczucie samotności zakrada się cicho w serce i nie ustępuje; odłożysz na chwilę robotę i już ją czujesz. Nie da się jej również utopić w zabawie ani pijatyce, można ją tylko chwilowo zagłuszyć lub stłumić; albo samemu rzucić się w zapomnienie zabawy czy alkoholu, ale gdy śmiech i rozbawienie minie, gdy działanie trunku wywietrzeje, samotność wychyli się

znów z całą siłą. Możemy snuć ambitne plany, być upojeni powodzeniem "albo władza nad ludźmi, bogactwem czy wiedzą, możemy szukać zapomnienia w rytuałach i nabożeństwach, ale pomimo wszystko ból samotności jak żądło w sercu kłuje i trwa. Możemy żyć tylko dla kogoś kochanego - syna, ojca, czy Mistrza, - lub dla własnego talentu który chcemy w pełni rozwinąć i wyrazić, a przecie samotność, jak mroczny cień wisi nad nami wciąż. Możemy miłować lub nienawidzić, możemy uchodzić od niej w najróżnorodniejszy sposób, zależnie od naszego charakteru i temperamentu, od psychologicznych dążeń i potrzeb, a jednak samotność jest z nami wciąż, czuwa, czeka, oddala się jeno na chwilę, aby rzucić się na nas z całą siłą znów.

Osamotnienie jest zdawaniem sobie sprawy z naszego odosobnienia; a czyż nasze działania nie zamykają nas ciągle w sobie? Czy myśli nasze i wzruszenia, chociaż są ekspansywne, nie są zarazem wyłączne, czy nie zasilają w nas nieustannie oddzielności? Czy w naszych stosunkach z ludźmi nie staramy się o przewagę nad nimi, czy nie podkreślamy naszych praw, czy nie bronimy naszego stanu posiadania, stwarzając przez to wciąż sprzeciwy i opory? A czy nie dzielimy pracy na "moją" i "waszą"? Czy nie utożsamiamy się z jakimś zespołem, grupą, narodem, a choćby nawet z paru najbliższymi ludźmi? Czyż całe nasze życie nie jest przejawem skłonności do izolowania się, wyodrębniania, odgraniczania od innych? Wszystkie ruchy i działania naszego "ja", na każdym poziomie i w każdej sferze są oddzielające; a poczucie osamotnienia jest uświadomieniem sobie tego przez nasze "ja", gdy wszelka działalność ustaje. Działalność, czy to fizyczna czy psychologiczna, jest środkiem do wyrażania i rozszerzania siebie - do ekspansji - a gdy się działanie urywa, uderza nas boleśnie świadomość pustki naszego "ja". Całe życie nam schodzi na zapełnianiu czymkolwiek bądź tej pustki, czasem w sposób szlachetny, to znów marny i mały. Można by twierdzić że z punktu społecznego zapełnianie tej pustki czymś szlachetnym nie jest bynajmniej szkodliwe, a jednak - wszelkie łudzenie się przynosi wcześniej czy później - choć może nie od razu - nieskończoną mękę i spustoszenie. Tego palącego pragnienia by zapełnić tę pustkę, czy też od niej ujść - co na jedno wychodzi - nie można stłumić ani uszlachetnić; bowiem któż - jaka istność - miałaby tłumić albo uwznioślać, czyż nie byłaby ona tylko inną odmianą tego samego pragnienia? Przedmioty pożądania mogą być różne, ale czyż istota jego nie będzie zawsze podobna, ta sama? Można zmienić przedmiot pożądania, przejść od trunków do wyobrażeń i ideologii, ale nie rozumiejąc samego procesu pożądania nie możemy uniknąć ułudy.

Nie istnieję w nas oddzielna od pożądań istota, jest *tylko* pragnienie, nie ma tego który pragnie. Pożądanie przybiera o różnym czasie różne formy i maski, zależnie od naszych zainteresowań i korzyści. Pamięć tych różnorodnych chęci i korzyści spotyka *nowe*, co powoduje zderzenie, i w tym starciu rodzi się *ten*, który wybiera i który utwierdza siebie jako odrębną i oddzielną od pragnienia istność. Ale istność ta nie jest od twych cech odrębna; istota która usiłuje zapełnić pustkę, albo od niej uciec, która chce ujść od niecałkowitości i osamotnienia, nie jest bynajmniej czymś innym od tego, czego chce uniknąć; sama *jest* tym. Nie może uciec od siebie samej, wszystko co może zrobić to siebie zrozumieć; bo *wszak* sama *jest* tą pustką, tą samotnością, tym smutkiem, a dopóki uważa je za oddzielne od siebie, będzie trwać w ciągłej rozterce i ułudzie. Dopiero gdy w bezpośrednim przeżyciu pozna że sama jest swą własną samotnością, oswobodzi się od lęku. Strach istnieje tylko w

związku z jakimś wyobrażeniem, a wyobrażenie jest odpowiedzią pamięci w formie myśli. Myśl jest rezultatem doświadczeń; a choć może zastanawiać się i spekulować nad pustką i mieć pewne wrażeniowe jej odczucie, jednak nie jest w stanie doznać tej pustki i samotności "nago" i bezpośrednio. Słowo "samotność", ze wszystkimi asocjacjami lęku i bólu, przeszkadza w doznawaniu tej samotności bezpośrednio, *na nowo*. Słowo jest pamięcią, a gdy jakieś słowo traci zupełnie swe znaczenie, wówczas dopiero stosunek pomiędzy doznającym a doznawanym zmienia się, staje się bezpośredni, mierzący w sam rdzeń, a nie dokonuje się poprzez słowo, pamięć, pojęcie; wówczas doznający jest doznawaniem; i tylko to daje wolność od lęku.

Miłość i samotność nie mogą nigdy iść w parze; gdy czujemy osamotnienie możemy być pewni że nie kochamy. Możemy wprowadzić ukrywać pustkę pod słowem "miłość", ale gdy przedmiot tej miłości nie jest z nami, albo nie odpowiada tym samym uczuciem, wówczas odczuwamy boleśnie oną pustkę i uderzenie zawodu. Używamy słowa "miłość" jako ucieczki od siebie, od naszej własnej połowiczności. Chwytny się i trzymamy kogoś kochanego, stajemy się wyłączni i zazdrośni, tęsknimy gdy odjeżdża, jesteśmy zmiażdżeni i zupełnie straceni gdy umiera; rzucają się wtedy w coś co by nam dało jakąś pociechę - wierzenie, rytuały, gorączkową działalność, - coś co by się stało wartością zastępczą.

Ale czyż to jest miłość? Miłość nie jest pojęciem, wyobrażeniem, ideą, ani też skutkiem obcowania z kimś. Miłość nie jest czymś, czego by można używać jako ucieczki od siebie, od własnej małości i nędzy; a gdy to czynimy stwarzamy nierozwiązalne zagadnienia, matnie, tragedie. Miłość nie jest abstrakcją; ale poznać jej rzeczywistość można tylko wtedy gdy pojęcia, wyobrażenia, idee i sam intelekt przestaną w nas być dominującym czynnikiem.

I. 43. KONSEKWENTNOŚĆ

Był to człowiek inteligentny, energiczny, czytał z wyborem, tylko najlepsze książki. Choć żonaty, niezbyt był pochłonięty życiem rodzinnym; uważał siebie za idealistę i pracownika społecznego; przebył czas jakiś w więzieniu za działalność polityczną; miał wielu przyjaciół. Nie szukał uznania i sławy dla siebie, ani dla swej partii, z którą był głęboko związany. Interesowała go żywo praca społeczna, która jego zadaniem, służyła dobru ludzkości. Był człowiekiem religijnym, ale bez sentymentalizmu i przesądów, nic przywiązywał też wagi do obrzędów ani specjalnych wyznaniowych doktryn. Przyszedł aby omówić ze mną zagadnienie przeciwieństw, które widział nie tylko w sobie ale i w przyrodzie i we wszechświecie Sądził iż przeciwieństwa są nieodłączną cechą zjawisk; obserwował je wszędzie: oto człowiek rozumny i głupiec, oto słowa sprzeciwiające się czynom, a czyny często zupełnie niezgodne z myślą, oto wciąż ścierające się w nas przeciwstawne pragnienia itd. itd. Przeciwieństwa i sprzeczności widział wszędzie.

Człowiek konsekwentny nie jest człowiekiem myślącym. Łatwiej jest i bezpieczniej bez wahań ni odchyień trzymać się wyznaczonego planu działania, być wiernym tradycji lub ideologii, aniżeli narażać się na trud i niebezpieczeństwo samodzielnego myślenia. Poddanie się wewnętrznym czy zewnętrznym autorytetom oszczędza nam wahań i wątpliwości, uwalnia od potrzeby zastanawiania się, broni przed niepokojem i myślową rozterką. Gdy

trzymamy się własnych wniosków, doświadczeń, decyzji, sprzeczności nie powstają w nas również, czujemy że postępujemy konsekwentnie, że jesteśmy wierni raz obranemu celowi i zmierzamy doń mocno i nieugięcie. Czyż większość z nas nie stara się znaleźć takiego spokojnego sposobu życia, który by niezbyt był trudny i zapewnił przynajmniej psychologiczne bezpieczeństwo? A człowieka który żyje według swego ideału szanujemy wszyscy, stawiamy go jako przykład godny czci i naśladowania. Realizowanie choćby częściowe ideału w czynie, wymaga wprawdzie dużego wysiłku, nawet zmagania się, ale ogólnie biorąc daje nam wiele zadowolenia i radości, bo wszak ideał jest zawsze własnym tworem naszej psychiki, przez nią na zewnątrz rzutowanym. Obieramy sobie za wzór kogoś ze świeckich lub religijnych przywódców i idziemy w jego ślady. Chcemy być w tym konsekwentni gdyż daje nam to specjalną siłę i zadowolenie; w rzetelnym oddaniu się czemuś zawsze znajdujemy pewne zabezpieczenie. Ale takie, nawet bardzo szczere oddanie się, to nie prostota, a bez prostoty nie masz zrozumienia. Konsekwentne trzymanie się dobrze obmyślanego planu postępowania zadawała nasze pragnienie coraz wyższych osiągnięć, a powodzenie krzepi i ochrania. Postawienie sobie jakiegoś ideału i wytrwałe do niego dążenie rodzi jednak różne opory, a pewna giętkość działa tylko w obrębie z góry ustalonych ram. Konsekwentność zdaje się nam dawać pewność i bezpieczeństwo, dlatego się jej tak rozpaczliwie trzymamy.

Być ze sobą w sprzeczności to rozterka i cierpienie; ale nasze "ja" w samej swej naturze jest pełne sprzeczności; składa się z licznych istot o różnych maskach i obliczach, a każda jest w opozycji do innych. Cała struktura naszego "ja" splata się ze sprzecznych dążeń i wartościowań, z licznych pożądań i pragnień, działających na różnych płaszczyznach naszej psychiki, a wszystkie rodzą swe własne odwrotności. "Ja" - osobowość nasza - jest splątaną siecią niezmiernie złożonych pragnień, pożądań, tęsknot, a każde z nich ma swój rozpęd, i w swój własny, a odrębny, mierzy cel, nieraz wprost przeciwstawiający się innym drżeniom i nadziejom. Maski te nasze "ja" przybiera zależnie od pobudzających je w różny sposób okoliczności, bodźców i wrażeń; więc w jego obrębie sprzeczności są nieuniknione, a wiodą one zawsze do ułudy i męki; chcąc od nich uciec wynajdujemy nowe środki oszukiwania siebie, a to znów powiększa starcia i zawikłania. Gdy wewnętrzne sprzeczności stają się nie do zniesienia, świadomie lub nieświadomie usiłujemy od nich ująć przez śmierć czy też chorobę umysłową. Albo też rzucamy się w jakąś działalność, która może całkowicie nas pochłonąć - oddajemy się jakiejś idei, grupie, partii, ojczyźnie, albo szukamy ratunku w zorganizowanych religiach z ich dogmatami i rytuałami. Więc to wewnętrzne rozdarcie prowadzi albo do dalszej ekspansji - przerostu naszego "ja" - albo do samounicestwienia przez szaleństwo.

Gdy chcemy być czymś innym niż jesteśmy powiększamy tylko wewnętrzne sprzeczności; lęk przed *tym co jest* stwarza ułudną odwrotność tego co jest, i w pogoni za tą odwrotnością, mamy nadzieję iż uda się nam zniweczyć strach. Synteza nie jest kultywowaniem odwrotnych cech; nie osiąga się jej też przez uzgadnianie sprzeczności, bowiem wszystkie sprzeczności zawierają załączki swych własnych odwrotności. Każda wewnętrzna sprzeczność prowadzi do różnych fizycznych czy psychologicznych reakcji, łagodnych i szanowanych w naszym środowisku, albo zgoła niebezpiecznych, a konsekwentność tylko dalej zaciemnia i komplikuje sprawę. Jednolite i konsekwentne dążenie do urzeczywistnienia tylko jednego pragnienia, do

dania całkowitej przewagi jednemu z wielu zainteresowań, prowadzi do zamykających nas w sobie oporów. Sprzeczności wewnętrzne stwarzają nieodmiennie tarcia i zatargi na zewnątrz; więc konflikty zewnętrzne są dowodem wewnętrznej sprzeczności. Tylko w zrozumieniu całego nurtu pragnień możemy się uwolnić od wszystkich wewnętrznych sprzeczności.

Integracja - scalenie - nie może ograniczać się do powierzchniowych warstw umysłu, nie można się jej też nauczyć w żadnej szkole; nie dokonuje się ona przy pomocy wiedzy lub samozaparcia. A tylko całkowite scalenie naszej natury oswobadza nas zarówno od sprzeczności, jak i od konsekwentności w działaniu; ale nie oznacza ono zestrzelenia w jedno ognisko wszystkich pragnień, oraz niezliczonych a wyrachowanych zainteresowań.

Scalenie nie jest stosowaniem się do jakichkolwiek, choćby najszlachetniejszych, czy najlepiej pomyślanych, wzorów czy schematów; trzeba umieć podejść do tego zagadnienia nie wprost, pozytywnie i twierdząco, a jakby od innej strony, czujnie, odbiorczo. Mieć o nim pewne określone pojęcie, jakoś je sobie wyobrażać, byłoby już naśladowaniem wzoru, co jest głupie i dla psychiki niszczące. Dążyć do scalenia naszej natury to uczynić z niego ideał, który "ja" rzutuje z siebie jako cel do osiągnięcia. A że wszystkie ideały to twory naszej wyobraźni, przeto dążenie do nich sprowadza zawsze zatargi i walki. Wszystko co jest projekcją naszego "ja" musi być z konieczności tej samej co ono natury, a więc zawierać w sobie sprzeczności i niejasność. Scalenie - integracja - nie jest pojęciem, ani też pamięciowym obrazem, więc nie da się go wyrobić ani rozwijać. Wprawdzie znużeni rozterką i sprzecznościami, pragniemy scalenia które stopi w jednolitość całą naszą naturę, ale starając się o nie wcale się nie wnosimy ponad walki i tarcia. Sprzeczności w sobie można ukrywać, lub do nich się nie przyznawać, można też nie zdawać sobie z nich sprawy, ale one w nas są i lada chwila grożą wybuchem.

Zadaniem naszym jest zrozumieć konflikt, a nie troszczyć się o integrację. Ta, podobnie jak i spokój, jest wartością wtórną, nie jest celem sama w sobie, jest jeno rezultatem, więc nie ma pierwszorzędного znaczenia, Gdy zrozumimy konflikt, nie tylko scalenie całej natury dokona się samo przez się i pokój sam się pojawi, ale stanie się jeszcze coś od nich nieskończenie większego. Nie można rozterki stłumić ani jej uwzniościć, nie można też znaleźć na jej miejsce żadnego zastępczego środka. Rozterka pojawia się wraz z pożądaniem, wraz z pragnieniem nieprzerwanego istnienia i z dążeniem by stawać się wciąż czymś większym i większym i posiadać więcej i więcej; ale to nie znaczy że ma w nas panować zastój samozadowolenia. "Więcej i więcej" to nieustanny krzyk żądzy naszego "ja", to pożądanie wrażeń, czy to w postaci wspomnień przeszłości, czy też marzeń i przewidywań na przyszłość. Wrażenia i zmysłowe podniety należą do dziedziny intelektu, więc nie może on być odpowiednim narzędziem do ich zrozumienia. Rozumienie to nie zespół słów, to nie proces mentalny, a więc nie jest też i wynikiem przeżyć. Przeżycie to pamięć; bez słowa, i symbolu nie ma obrazu pamięci. Możemy czytać całe tomy o znaczeniu wewnętrznych rozterek, a nie będzie to miało nic wspólnego z ich prawdziwym zrozumieniem. Abyśmy mogli zrozumieć konflikt myśl nasza nie powinna się wtrącać, musi ustąpić miejsca owej jasnej czujności, w której znika podmiot - myśliciel. Bowiem myśliciel jest tym, który rozpoznaje i wybiera, który niezmiennie przechyla się na którąś stronę, - oczywiście zazwyczaj ku temu co przyjemne i schlebiające, - a przez to samo pogłębia rozterki i konflikty. Może się zdarzyć iż rozwiąże jakiś jeden

poszczególne problemy, ale jednocześnie utrzymuje żyznym grunt pod wszystkie inne. Myśliciel, czyli nasze "ja", wciąż uniewinnia lub oskarża, a przez to uniemożliwia rozumienie. Gdy myśl się nie wtrąca, gdy myśliciel jest nieobecny, przeżywamy rozterkę bezpośrednio, bezosobowo, ogólnie niejako, bez powrotu ku sobie, jakby coś, co nie koniecznie dotyczy wyłącznie naszego "ja", jest to rozterka czy zmaganie się, ale nie koniecznie "moja" rozterka, "moje" zmaganie. A w stanie wolnym od "ja" granica pomiędzy przeżywającym a przeżywanym znika. Doznawanie jest wówczas bezpośrednio, doświadczamy czegoś wprost, w pełni aktualności, a nie poprzez pomysł. Z takiej bezpośredniości wyłania się rozumienie, wyzwajające od wszelkich rozterek. A w tej wolności dokonuje się scalenie - integracja - całej naszej natury.

I. 49. PROBLEMY I OD NICH UCIECZKA

"Mam wiele poważnych problemów, ale zdaje mi się że im większy czynię wysiłek by je rozwiązać, tym bardziej stają się zawikłane i bolesne. Zupełnie nie wiem co robić. A w dodatku głuchnę i muszę ciągle posługiwać się tym okropnym aparatem. Mąż mnie dawno porzucił; mam kilkoro dzieci, są one wielką moją troską; jakże bardzo bym chciała by uniknęły różnych przeżyć jakich mnie los nie szczędził."

Jakże niecierpliwi jesteśmy, jak od razu chcemy na wszystko mieć gotową odpowiedź! Tak nam pilno by znaleźć rozwiązanie że nie mamy czasu by samemu zagadnieniu uważnie się przyjrzeć i spokojnie je zbadać. Pośpiech uniemożliwia cichą obserwację; a przecie właśnie problem jest ważny, a nie odpowiedź. Oczywiście znajdziemy jakąkolwiek odpowiedź jeśli nam o nią tak chodzi, ale ona nie wpłynie na sam problem. Nasza chęć znalezienia od razu rozwiązania jest jeno ucieczką od zagadnienia które nas męczy, więc znajduwane odpowiedzi są powierzchowne i samego problemu nie rozjaśniają. Wszystkie nasze trudności i problemy pochodzą z jednego źródła, i dopóki nie poznamy i nie zrozumiemy tego źródła, każdy wysiłek by jakiś poszczególny problem rozwiązać, będzie daremny, sprowadzi tylko dalszy zamęt i udrękę. Przede wszystkim musimy być pewni że naprawdę *chcemy* rozwiązać zagadnienie, że czujemy konieczność uwolnienia się od wszystkich problemów i rozterek jakie stwarzają; bez tego nie dotrzemy do sedna, nie znajdziemy *twórcy* wszystkich zmagania i trudności. A nie osiągniemy spokoju dopóki nie uwolnimy się od wszystkich problemów; spokój zaś - ta prawdziwa cisza wewnętrzna - jest warunkiem szczęścia, które wszakże nie jest samo w sobie celem. Jak powierzchnia jeziora jest cicha gdy ustana wichry, tak umysł jest cichy gdy wszystkie zagadnienia znikną. Ale nie można myśli do spokoju przymusić, a jeśli to robimy umysł wiotczeje, zmienia się w martwe stojące wody. Gdy wszystko to stanie się nam jasne, wówczas możemy zacząć obserwować i badać samego *twórcę* problemów i trudności. Badanie musi być ciche, bezstronne, nie zamącone pragnieniem radości, ani obawą bólu.

"Ależ chcecie niemożliwości! Całe nasze wykształcenie ćwiczy umysł, ucząc go rozpoznawać, porównywać, oceniać i wybierać, a więc powstrzymywanie się od potępiania lub usprawiedliwiania tego co obserwujemy jest straszliwie trudne. Jakże uwolnić się od tych wpływów i ograniczeń i obserwować w ciszy?"

Gdy zrozumiemy że skupiona obserwacja przez odbiorczą, jasną świadomość jest nieodzowna w poznawaniu prawdy, sam ten fakt uwolni nas od

nawarstwień przeszłości. Ale dopóki nie odczuwamy natychmiastowej konieczności obudzenia w sobie tej odbiorczej, a żywej i jasnej świadomości (*awareness*) powstaje w nas wciąż pytanie "jak" problem rozwiązać, "jak" zniweczyć przeszłość. Tylko Prawda wyzwala, a nie jakiegokolwiek środki, czy systemy. Trzeba zobaczyć prawdę że tylko cicha, czujna, bezstronna obserwacja prowadzi do rozumienia, a wówczas nawyk kwalifikowania wszystkiego przez potępienie czy usprawiedliwianie, sam zniknie. Gdy widzimy tuż przed sobą wielkie niebezpieczeństwo nie pytamy *jak* go uniknąć; jeśli usiłując rozwiązywać jakiś problem, pytamy "jak", "jakim sposobem", znaczy iż nie zobaczyliśmy jeszcze naglącej potrzeby by w czujnej ciszy go zbadać. Dlaczego tej potrzeby nie czujemy ?

"Chciałabym ją poczuć, ale nigdy przedtem w ten sposób nie myślałam, jest to coś zupełnie dla mnie nowego. Wiem jedno że chcę się pozbyć moich problemów, bo są męką. Chcę być, jak inni ludzie, szczeliwa."

Świadomie czy nieświadomie uchylamy się od uznania że to ciche, odbiorcze obserwowanie naszych problemów jest konieczne i najważniejsze, po prostu dlatego że w istocie wcale nie chcemy "puścić" tych zagadnień i pozbyć się ich, bo cóż byśmy bez nich robili ? Wolimy trzymać się uparcie czegoś co znamy, choć byłoby przykre i ciężkie, aniżeli zapuszczać się w ryzykowne dociekania czegoś, co nas może Bóg wie gdzie zaprowadzić. Problemy nasze są nam przynajmniej dobrze znane, a myśl o szukaniu ich twórcy, czy źródła, gdy nie wiemy dokąd nas to zaprowadzi, obezwładnia nas i napełnia lękiem. Umysł nawykły do różnych zagadnień nad którymi się wciąż biedzi byłby stracony, gdyby te nagłe znikły; wszak żywi się wciąż troskami, i nie jest ważne czy przedmiotem ich są sprawy kuchenne, czy wszechświatowe, osobiste czy polityczne, religijne czy ideologiczne; troski i problemy zacieśniają nas i ograniczają Umysłowość którą pozerają sprawy ludzkości jest równie ciasna jak ta, która wciąż troszczy się o swój duchowy rozwój, lub "rozpacza o własnym zbawieniu". Problemy obciążają umysł, napełniają go lękiem, bo zawsze i nieodmiennie zasilają nasze "ja" i "moje". Gdy nie ma zagadnień, problemów, spraw, osiągnięć i klęsk, nie masz i "ja".

"Ależ bez "ja" jakże w ogóle można żyć?"

Dopóki czynem rządzi pragnienie, pamięć, strach, rozkosz, lub cierpienie - czyli "ja" - stwarza ono walki, tarcia, zamęt i nienawiść. Czyn nasz jest wynikiem naszych ograniczeń, bez względu na to na jakiej płaszczyźnie działa, a że odpowiedzi nasze na wyzwania życia są zazwyczaj nieodpowiednie i niecałkowite, z konieczności rodzą tarcie i to staje się zagadnieniem. Nasze "ja" jest utkane ze sprzeczności i tarć. Ale jest rzeczą zupełnie możliwą żyć bez zatargów i konfliktów powodowanych przez chciwość, strach, powodzenie czy klęski; oczywiście dopóki nie odkryjemy tego własnym bezpośrednim doznaniem pozostanie to dla nas tylko teorią. Ale nie możemy uwolnić się od chciwości ani pragnień dopóki nie zrozumieliśmy naszego "ja".

"Czy myślicie że przyczyną mojej głuchoty są różne lęki i stłumienia ? Lekarze zapewniali mnie że nie ma żadnej organicznej wady. Czy więc mogłabym odzyskać słuch? Całe życie byłam gnębiona, zawsze pozostawałam pod takim czy innym przymusem. Nigdy nie mogłam robić tego co chciałam."

Zarówno wewnątrz jak zewnątrz łatwiej jest siebie tłumić i hamować, aniżeli rozumieć. Rozumienie jest rzeczą trudną, zwłaszcza dla ludzi którzy od dzieciństwa byli hamowani i ograniczani. Gdy przez długi czas żyje się w

stłumieniu staje się ono przyzwyczajeniem. A rozumienie nie może nigdy zmienić się w nałóg ani rutynę, gdyż wymaga nieustannej czujności i pełnej uwagi. Chcąc coś zrozumieć trzeba mieć giętkość, wrażliwość i nieco serdeczności - ale nie sentymentalizmu - w podejściu do zagadnienia. Na tłumienie w sobie czegokolwiek bądź, w tej czy innej formie, nie trzeba żywości ani jasności myśli, jest to najłatwiejszy i najgłupszy stosunek do naszych reagowań. Opanowywanie siebie jest zawsze przystosowywaniem się do pewnych wzorów i pojęć, zapewnia nam bezpieczeństwo, uznanie innych - tzw. "szanowność", ale też zacieśnia nas i zamyka. A rozumienie wyzwala. W lęku przed autorytetem, przed opinią i niepewnością jutra, stwarzamy sobie schronienia w ideologii i jej fizycznych wyrazach: zrzeszeniach i organizacjach, których się chętnie czepiamy. Ale takie schronienia, na tej czy innej płaszczyźnie, tylko wzmagają i podtrzymują strach, a wszelki strach staje się przyczyną różnych uwzniośleń, szukania zastępczych wartości, praktyk i ćwiczeń w samoopanowaniu, które nie są niczym innym jak odmianami stłumień. To co jest stłumione, zduszone, musi się odprostować i znaleźć ujście; może nim być nawet fizyczne niedomaganie, lub ucieczka w jakąś ideologiczną ułudę. Płacimy różne ceny, każdy wedle swego usposobienia, zamięłowań i antypatii.

"Zauważyłam że gdy grozi mi usłyszenie czegoś przykrego, chronię się za swój aparat, to mi pomaga wymknąć się w mój świat. Ale jakże uwolnić się od tych stłumień i zahamowań trwających lata? Czy nie zajmie to zbyt dużo czasu?"

Nie jest to kwestii czasu ani grzebania się w przeszłości czy drobiazgowej analizy; chodzi o to abyśmy zrozumieli czym jest samo stłumienie. Widzimy od razu jego prawdę gdy patrzymy z czujną odbiorczością - bez wyboru ni wartościowania - na cały proces stłumień i zahamowań. Ale nie da się zrozumieć czym jest w istocie stłumienie, jeśli będziemy myśleć w kategoriach "wczoraj" i "jutra" ; prawdy nie ogarnie się stopniowo, z biegiem czasu. Prawdy się w ogóle nie osiąga, nie można jej odsłaniać po trochu; albo się ją, widzi, albo nie. Postanowienie oswobodzenia się od zahamowań jest tylko przeszkodą w uchwyceniu prawdy o nich, bo wola jest odmianą pragnienia, w obu jego postaciach - przyciągania i odpychania, - a odbiorcza czujność (*passive awareness*) nigdy nie idzie z pragnieniem w parze. Stłumienie było wszak wywołane przez pragnienie, przez żądzę, jakże więc wola - czyli to samo pragnienie choć innym nazwane mianem - mogłoby się od własnego tworu uwolnić? Musimy ujrzeć wolę w całej jej prawdzie w chwili cichej, odbiorczej czujności, i przyjąć to, co ujrzemy, bez najmniejszego oporu. Analizą nie uwolnimy się od tego co analizujemy, bo analizujący nie jest oddzielny od przedmiotu który analizuje, odwrotnie, sam jest jego częścią. To również musimy dogłębnie zrozumieć. Widzenie Prawdy wyzwala, a nie wola i wysiłek.

I. 50. TO CO JEST A CO POWINNO BYĆ

"Jestem żoną i matką" - mówiła, - "ale zdaje mi się, że utraciłam wszelką zdolność kochania, jakbym wędła i usychała wewnątrz. Pracuję społecznie, ale więcej dla zabicia czasu niż z przekonania, gdyż widzę całą błahość tych działań. Nic mnie naprawdę nie interesuje. Niedawno zrobiłam sobie dość długie wakacje, usuwając się od rodzinnych obowiązków i społecznych prac, i próbowałam malować; ale nie potrafiłam włożyć w to

duszy. Czuję się martwa i beztwórcza, przytłoczona jakimś dojmującym niezadowoleniem, głęboko nieszczęśliwa. Jestem jeszcze młoda, a przecie przyszłość mi się wydaje mroczna i beznadziejna. Myślałam o samobójstwie, ale jakoś wydało mi się to nazbyt niedorzecznym wyjściem. Czuję w sobie coraz większy zamęt i nie widzę końca tej męki."

Wokół czego skupia się ta męka? Czy chodzi tu o stosunek z jakimś człowiekiem, czy z ludźmi w ogóle?

"Nie, to nie to. Te tragedie są już poza mną, wyszłam z nich nawet nie zanadto poraniona. Po prostu wszystko wokół mnie tonie w mroku, nic mnie nie interesuje, nic nie daje najmniejszego zadowolenia."

Czy dręczy panią jakieś jedno niepokojące zagadnienie czy też jest to niezadowolenie ogólne, protest przeciwko wszystkiemu? Musi być gdzieś głęboko ukryta jakaś udręka, jakiś lęk, którego pani zapewne nie jest wcale świadoma. Czy chce pani odkryć to, odsłonić i dotrzeć do sedna?

"Oczywiście, wszak po to przyszłam, bo już naprawdę nie mogę tak dłużej żyć. W niczym nie widzę żadnej wartości, a przy tym zapadam raz po raz na zdrowiu."

Choroba może być ucieczką od siebie i wszystkiego co panią otacza.

"Tak, jestem przekonana iż tak jest. Ale jak na to poradzić? Ogarnia mnie po prostu rozpacz. Zanim stąd wyjdę *muszę* zobaczyć jakieś rozwiązanie."

Czy konflikt zachodzi pomiędzy dwoma konkretnymi faktami, czy też pomiędzy rzeczywistym, aktualnym faktem a fikcją? Czy jest to niezadowolenie które nietrudno byłoby zaspokoić, czy też udręka i rozpacz niemal bez widocznej uchwytnej przyczyny? Na niezadowolenie można znaleźć z łatwością jakieś lekarstwo, taki czy inny środek zaradczy, coś co zaspokoi ukryte pragnienie, można znaleźć dlań jakieś ujście; ale męka która jest zarazem buntem przeciw wszystkiemu, nie da się ukoić i uśmierzyć myślą, ani uleczyć żadnym intelektualnym sposobem. Czy ten protest powstał bo w niczym nie mogła pani znaleźć zaspokojenia swego wewnętrznego głodu, czy zniknął by jeśliby naraz przyszło coś prawdziwie radosnego? Czy nie chodzi pani właśnie o takie trwałe samozadowolenie?

"Nie, to jeszcze nie to. Naprawdę nie szukam wcale samozadowolenia, tak mi się przynajmniej wydaje. Wiem tylko że mam w sobie zamęt, że czuję mękę i konflikt, że nie widzę żadnego wyjścia i jestem w rozpaczach".

Gdy pani mówi "konflikt", musi on być z kimś, lub z czymś, czy to z mężem, dziećmi, z otoczeniem, czy na polu działalności społecznej. A jeśli - jak pani mówi - konfliktu z tym nie ma, w takim razie jest to chyba sprzeczność pomiędzy tym czym pani *jest*, a tym, czym pani *chciałaby* być, czyli pomiędzy ideałem a aktualnym stanem, między tym co *jest*, a mitem o tym co *powinno by być*. Stworzyła pani zapewne ideał siebie i może cały zamęt i rozterka pochodzą z chęci dociągnięcia się do tego ideału, dorównania wyobrażonemu przez siebie wzorowi. Zmaga się pani starając się być czymś, czym pani nie jest. Czy nie o to chodzi?

"Zaczynam dostrzegać źródło mej męki. Zapewne ma pan słuszność."

Starcie zachodzi pomiędzy konkretnym faktem a fikcją, mitem, pomiędzy tym, czym pani jest, a tym czym pani chce być; treść tego mitu musiała kształtować się od dawna, od dzieciństwa, rozszerzała się z biegiem czasu i zyskiwała na głębi, zapuszczając w pani korzenie, na przekór aktualnym

faktom, kontrastując jaskrawo z pani prawdziwym stanem; zresztą mit zmieniał się nieco zależnie od ciśnienia warunków. Ów mit, jak wszystkie ideały, wyobrażenia, utopie, jest w wyraźnej sprzeczności z tym co *jest*, ze stanem faktycznym, a więc mit staje się ucieczką od tego czym pani rzeczywiście teraz *jest*. To uchodzenie wywołuje nieuniknione a jałowe starcie przeciwieństw; a wszelkie takie wewnętrzne czy zewnętrzne starcia są czcze i beztwórcze, rodzą, zamęt i bezwład.

Więc - jeśli mi wolno powiedzieć - męka pani powstała ze sprzeczności pomiędzy tym czym pani *jest*, a czym *chciałaby pani być*, czyli wyobrażonym ideałem, mitem o sobie samej. Mit, ideał, to ucieczka, to urojenia naszej własnej wyobraźni, nie mające żadnego realnego pokrycia. Prawdą aktualną jest to, czym pani *jest*, a stokroć ważniejsza jest ta prawda pani obecnej, dzisiejszej, aniżeli wyobrażenia czy marzenia, o tym, czym pani by mogła, chciała, lub *powinna* być. Można zrozumieć to co *jest*, ale nie da się pojąć tego czym powinno się być. Nie można ogarnąć rozumieniem urojenia, można tylko zrozumieć w jaki sposób ono powstaje, jak się tworzy. Mit, fikcja, ideał nie mają znaczenia, są jeno końcowym punktem, czy skutkiem pewnego procesu; ważne jest natomiast zrozumienie *całego* procesu który im dał początek.

Aby zrozumieć to czym jesteśmy - czy to będzie przyjemne czy przykre - mit, ideał czy też wyobrażenie przyszłego możliwego stanu powinny całkowicie z naszej psychiki zniknąć. Dopiero gdy się one rozwieją, można się zmierzyć z tym co *jest*, natomiast aby je zrozumieć, trzeba móc na tym jednym skupić uwagę, a usprawiedliwianie siebie czy też potępianie rozprasza uwagę; odciągają ją również porównania, które są jeno oporem przeciwko temu co *jest*, podobnie jak i wszelkie umyślne wyrabianie swego charakteru, czy też wysiłki lub postanowienia w rodzaju: "muszę zrobić, muszę zrozumieć". Wszystko co odciąga i rozprasza uwagę jest przeszkodą w szybkim i bystrym obserwowaniu chwili obecnej; ta nie jest statyczna, jest ciągle w ruchu, zmienia się, płynie; chcąc iść za jej ruchem musimy mieć umysł wolny, nie związany żadnymi wierzeniami, wyzbyty doszczętnie zarówno żądy zwycięstw, jak lęku przed klęską. Tylko w cichej, jasnej a odbiorczej czujności może odsłonić się przed nami *to, to jest*. A odkrywanie to wychyla się poza czas.

I. 52. ZAZDROŚĆ

Słońce oświetlało jaskrawo przeciwległy mur, a odbłask był tak silny że twarze obecnych w pokoju - przez kontrast - zdawały się szare. Mała dziewczynka zbliżyła się do mnie, bez żadnej ze strony matki zachęty, usiadła bliźutko i rozglądała się szeroko otwartymi oczkami, jakby dziwiła się co takie zgromadzenie ma znaczyć. Była czyściutka, ładnie ubrana, z kwiatami we włosach. Przyglądała się wszystkim wokoło bacznie i ciekawie, bez zapamiętywania, jak to dzieci zwykły czynić. Oczki miała żywe, błyszczące ciekawością, ale niezbyt wiedziała co ma w tej chwili robić - śmiać się czy bawić, skakać czy też wykrzykiwać. Wreszcie wzięła moją rękę i zaczęła przyglądać się jej z najwyższym zainteresowaniem, a za chwilę - nie zwracając najmniejszej uwagi na zgromadzone w pokoju osoby - usadowiła się wygodnie na dywanie i usnęła z głową na moich kolanach. Główkę miała kształtną, o szlachetnych harmonijnych liniach, a cała osóbką aż pachniała schludnością.

Przyszłość jej była tak samo niepewna i smutna jak innych obecnych w tym pokoju osób. Czekają ją rozterki, troski, ból, było to równie nieuniknione jak te blaski słońca na murze; bo wszak na to aby od bólu i trosk być wolnym, potrzeba najwyższej inteligencji, a zarówno wychowanie dzicwczynki jak i wszystkie otaczające ją wpływy sprzysięgną się na pewno aby do rozwoju tej inteligencji nie dopuścić.

Miłość - ów płomień bez dymu - jest w naszym świecie zjawiskiem tak rzadkim; w życiu najczęściej gryzący dym nas dusi, żre nam oczy, dławi gardło, wyciska łyżę. Z poza gęstego dymu rzadko można dojrzeć płomień; a kiedy dym się zgęszcza i przybiera na sile płomyk zagasa. A przecie bez płomienia miłości życie ma tak niewielką wartość, jest jałowe i nużące; ale jakże ogień ma płonąć wśród kłębow gęstego dymu? Oba nie mogą istnieć jednocześnie; dym musi opaść, aby ogień mógł się w pełni rozjarzyć. Płomień nie walczy z dymem, gdyż ten nie jest jego rywalem, jego przeciwieństwem, płomień w ogóle nie ma rywali, ni wrogów. Dym nie jest płomieniem, nigdy nie może go w sobie zawrzeć, ale obecność dymu nie wskazuje też bynajmniej na istnienie ognia; gdyż *ten* ogień jest od dymu wolny.

"Czy miłość i nienawiść nie mogą istnieć jednocześnie? Czyż zazdrość np. nie jest dowodem miłości? Trzymamy się w harmonii za ręce, a za chwilę sobie wymyślamy; unosimy się, mówimy sobie wzajem twarde słowa, a za godzinę znów ściskamy się serdecznie. Spieramy się, a potem godzimy wśród pocałunków. Czyż to wszystko razem nie jest miłością? Czyż same objawy zazdrości nie są oznaką kochania? Zdają się iść zawsze w parze, jak światło i mrok. Szybki i krótki gniew, a po nim zgoda i pieszczota: czyż nie wyrażają pełni miłości? Wszak nurt rzeki czasem jest gwałtowny i rwący, a czasem cichy i spokojny; raz rzeka płynie przez mroczne wąwozy, to znów przez osłonecznione równiny, czyż nie stanowi to właśnie jej piękna?"

Co właściwie nazywamy miłością? Czy cały ten splątany splot na który się składa rozkosz i zazdrość, żądza i pieszczota, ostre słowa i serdeczne uściski, twardość kłótni i słodycz powtarzającej się zgody? Tak, są to wszystko zjawiska zachodzące na polu tzw. miłości. Gniew naprzemian z pieszczotą są codziennym na tym polu zjawiskiem, nieprawdą? A my staramy się ustanowić jakiś związek i stosunek pomiędzy tymi różnymi, a faktycznie istniejącymi wzruszeniami, albo też porównujemy je ze sobą. Używamy jednego faktu - wzruszenia dla potępienia lub usprawiedliwienia innego, który zachodzi na tym samym polu, albo staramy się znaleźć jakąś łączność pomiędzy czymś w obrębie tego pola, a czymś poza nim. Nie ujmujemy nigdy żadnego zjawiska oddzielnie, a staramy się odkryć jakieś pomiędzy nimi wzajemne stosunki i zależności. *Dlaczego* tak sobie poczynamy? Wszak można zrozumieć każde zjawisko, a więc i te wzruszenia, tylko wówczas, gdy nie używamy innych zjawisk znajdujących się w na tym samym polu, jako *środka* do zrozumienia tych o które nam chodzi, gdyż takie łączenie wprowadza tylko chaos i zamieszanie pojęć. Ale dlaczego tak nam chodzi o to porównywanie? Dlaczego przenosimy znaczenie jednego zjawiska na drugie, lub używamy go jako rodzaju kompensaty i wytłumaczenia?

"Zaczynam rozumieć co macie na myśli. Istotnie powstaje pytanie dlaczego to robimy?"

Czy można zrozumieć jakieś zjawisko poprzez zasłonę wyobrażeń czy też pamięci? Czy mogę zrozumieć istotę zazdrości bo przed chwilą ściskałam serdecznie twą rękę? Jedno i drugie ma miejsce, i zazdrość jest faktem i

pieszczota jest faktem, ale czy mogę wniknąć w cały proces zazdrości mając w pamięci naszą serdeczność? Czy pamięć pomaga do rozumienia? Wszak to pamięć porównuje, usprawiedliwia, potępia, modyfikuje czy utożsamia; ale czy może przybliżyć rozumienie? Podchodzimy do zjawisk - wzruszeń zachodzących na polu tzw. "miłości" - z pewnym określonym pojęciem, z przyjętym z góry wnioskiem. Nie zatrzymujemy się nad samym faktem zazdrości i nie obserwujemy go spokojnie takim jakim jest, a chcemy go od razu wtłoczyć w ramy własnego wyobrażenia czy wniosku; czynimy to po prostu dlatego że w istocie wcale nie pragniemy zrozumieć zjawiska zazdrości. Wrażenia jakich nam dostarcza zazdrość są równie podniecające jak pieszczoty; ale chcielibyśmy aby te podniety były niejako odbarwione, wolne od przykrości i udręczeń jakie zazwyczaj zazdrości towarzyszą. Stąd starcia, zamęt i walka w obrębie pola które zwiemy "miłością". Ale czy *to* jest miłość? Czy miłość to pojęcie, wrażenie, podnieta lub emocja? Czy miłość jest równoznaczna z zazdrością?

"A czyż rzeczywiste nie jest otulone ułudą? A ciemność czy nie otacza światła? Czy nawet Bóg nie jest zamknięty ograniczeniem?"

To są tylko słowa, pojęcia, przypuszczenia, więc nie mają żadnej wartości. Takie opinie tylko wzmagają wrogość między ludźmi, nie zawierają one Prawdy ani do niej nie zbliżają. Gdzie jest światłość tam *nie ma* mroku. Mrok nie może ukryć światłości; a jeśli ją skrywa tedy jej nie ma. Gdzie jest zazdrość tam nie ma miłości. Żadne pojęcie nie może przysłonić ani zastąpić miłości. Aby istniał jakiś kontakt, jakiś wzajemny stosunek, musi być coś wspólnego, a miłość nie pozostaje w *żadnym* do wyobrażeń stosunku, więc pojęcia nie mogą się nigdy *spotkać* z miłością. Miłość jest płomieniem *bez dymu*.

I. 53. BEZPOŚREDNIOŚĆ

Znalazła się w grupie osób które przyszły przedyskutować parę poważnych zagadnień; może przywiodła ją ciekawość, a może towarzyszyła komuś ze swych przyjaciół. Była ubrana z wystukaną elegancją, zachowywała się z pewną dumną godnością, widać było również że dużo myśli o swej urodzie. Była całkowicie pochłonięta sobą, zwracając bez przerwy uwagę na swój wygląd, postawę, ułożenie włosów, oraz wrażenie jakie wywierała na innych. Każdy jej ruch był starannie wystudiowany; od czasu do czasu zmieniała pozę, ale zapewne każda musiała być wpierw obmyślana i ułożona. Cała jej postać wskazywała że na coś pozuje, że za wszelką cenę chce naśladować jakiś obrany wzór.

Rozmowa toczyła się o rzeczach poważnych, a ona przez całą godzinę nie wyszła ze swej roli. Dziwnie wyglądała wśród poważnych, skupionych twarzy, ta sobą tylko zaabsorbowana dziewczyna; starała się jednak udawać że coś rozumie z rozwijającej się dyskusji, że bierze w niej jakiś udział, ale oczywiście żadne słowo nie wyszło z jej ust; choć usiłowała okazać że i ją interesują omawiane sprawy, że nie jest głupsza od innych, widać było z wyrazu jej oczu że nic a nic nie rozumie, i że w ogóle niezdolna jest do poważniejszej rozmowy. Więc szybko jakby cofnęła się w siebie, nie zanedbując jednak wystudiowanych póz, była w niej sztywność i ani odrobiny bezpośredniości.

Każdy z nas wyrabia sobie jakaś pozę. Specjalny chód, zachowanie się i

uśmiech ma dostatni kupiec u szczytu swego powodzenia, artystę również charakteryzuje specjalne wejrzenie i "artystyczna" poza; a szanowny uczeń jakiegoś znanego Guru ma także odrębną, właściwą mu pozę, jak i opanowany asceta. Jak ta egocentryczna dziewczyna podobnie człowiek pozornie bez reszty oddany religii, przybiera pozę uduchowienia które usilnie wyrabiał drogą wyrzeczeń i ofiar. Ona poświęca bezpośredniość dla efektu, a on ją niweczy dla osiągnięcia swego celu, ale oboje obchodzi cel, choć nie na tej samej płaszczyźnie; cel do którego on dąży może być z punktu społecznego uważany za wyższy i użyteczniejszy, ale w zasadzie są one zupełnie do siebie podobne: żaden nie jest od drugiego lepszy. Jeden i drugi rodzi się z braku inteligencji, z głupoty, oba zdradzają małość i ciasnotę; płytki umysł lubi się chwycić pozy i rutyny. Ciasny umysł zawsze pozostanie ciasny, nie może nagle stać się wybitny i twórczy. Może się starać o przyozdabianie siebie i rozwijanie cnót, ale zasadniczo przez gromadzenie coraz to nowych doświadczeń tylko się zasila jego przeciętność. Rzeczy brzydkiej nie można zmienić w ładną. Bóg człowieka o płytkiej i ciasnej myśli, będzie bogiem małym. Powierzchnowa umysłowość nie zmienia się we wszechstronną i głęboką strojąc się w nabywane wiadomości, w sprytne czy dowcipne powiedzenia, w mądre cytaty, czy też jakoś inaczej upiększając swoją zewnętrzność. Zewnętrzne czy wewnętrzne ozdoby nie przyczyniają się do pogłębienia myśli i duszy, a przecie tylko ogromna głębia myśli nadaje jej piękno, nie zaś błyskotliwość nabytych cnót. Piękno jawi się gdy człowiek widzi bezstronnie - a bez żadnej chęci zmian, czy wyborów - swą własną małość, gdy zaistnieje prosta tego faktu świadomość, w której znika sama możliwość jakichkolwiek porównań.

Wystudiowana poza tej dziewczyny, jak i starannie wyrobiona poza ascety, pozornie oddanego religii, są bardzo do siebie podobne; jedna i druga jest równie wymęczonym tworem małości uczuć i ciasnoty myśli, jedna i druga zaprzecza samorzutnej bezpośredniości. Oboje obawiają się wszystkiego co jest naturalne i bezpośrednio, gdyż to może odsłonić - przed ich własnym wzrokiem, jak i przed innymi - prawdę o tym, czym w istocie są; więc oboje chcą stłumić i zniweczyć wszelką bezpośredniość; a udaje im się to zależnie od stopnia w jakim poddali się konwencjonalizmowi, od konsekwentności z jaką trzymają się obranego wzoru czy ideału

A bezpośredniość jest jedynym kluczem który otwiera wejście w *to, co jest*. Samorzutne nasze reakcje ukazują nam naszą psychikę taką jaką naprawdę jest, bez ozdób i strojów, jakby naga; ale zazwyczaj gdy się nam ona na chwilę odsłania, natychmiast ją przykrywamy, czy też przystrajamy jakąś ozdobą, więc bezpośredniość znika, jest w samej kolebce zabita. Owo zabijanie bezpośredniości jest zwyczajem ludzi o ciasnych umysłach; oni to dekorują przemyślnie zewnętrzność swą, na wszystkich poziomach, a dekoracja ta staje się samouwielbieniem. A tylko w samorzutnej bezpośredniości i swobodzie można robić odkrycia. Myśl opanowana i urobiona na pewną modłę, działająca wedle rutyny nie jest w stanie nic odkryć. Może funkcjonować sprawnie a więc bezwzględnie, ale nie może odsłonić tego co jest bezdenne i niezgłębione. Twórcą oporów, które się zwie opanowaniem, jest strach, zdać sobie z tego sprawę w bezpośrednim rzucie - to się od strachu uwolnić. Stosowanie się do wzorów, na jakimkolwiek poziomie i w jakiegokolwiek dziedzinie, wypływa zawsze z lęku, a ten rodzi nieuniknione starcia, zamieszanie, antagonizmy; ale psychika, pełna protestu i buntu, nie koniecznie ma być nieustraszona, bowiem protest to tylko

odwrotność, a powodowanie się przeciwieństwami nie jest nigdy samorzutne ani wolne.

Bez samorzutnej bezpośredniości nie masz samopoznania; a bez niego człowiek poddaje się każdej przejściowej fali wpływów, które mogą spowodować zacieśnienie umysłu albo jego ekspansję, ale nie mogą uwolnić go od naporu najróżnorodniejszych zewnętrznych oddziaływań. To, co się składa z rozmaitych cząstek, może być rozłożone, tj. na części rozbite; ale to, co nie jest konglomeratem, co jest niepodzielne i jednolite można poznać tylko przez samowiedzę. Nasze "ja" jest zlepkiem, konglomeratem licznych cząstek, i dopiero gdy się "ja" na poszczególne czynniki rozłoży, można poznać to, co nie jest wynikiem żadnych wpływów, co jest jednolite i pozaprzyczynowe.

I. 55. WYZWANIE I ODPOWIEDŹ

Rzeka była wezbrana i rwąca, w paru miejscach na milę szeroka; rozkoszą było patrzeć na ten ogrom wód. Na północ rozciągały się wzgórza pokryte świeżą, po deszczach, zielenią. Wspaniały był widok tej rozlanej rzeki zataczającej potężny łuk, a usianej białymi żaglami. Żagle były duże, trójkątne; w świetle wczesnego poranku, we mgle, zdawały się wyrastać jak skrzydła wprost z wody. Gwar codziennego dnia jeszcze się nie zaczął; pieśń rybaka z drugiego brzegu niosła się po wodzie daleko, zdawała się wypełniać przestwory i wchłaniać wszystkie inne dźwięki, nawet gwizd pociągu łagodniał i w niej się roztopiał.

Stopniowo poczęły dobiegać z dala głosy budzącej się wioski: spory kobiet u studni, beki kóz, ryczenie krów zdających się prosić o ulżenie nabrzmiałym wymionom; skrzywienie ciężkich wozów na drodze, ostre krakanie wron, śmiech i krzyk dzieci... Oto rodził się nowy dzień.

Słońce wzniosło się ponad palmy, na murze usadowiły się małpy, ogonami niemal dotykając ziemi; były duże ale lekkie, na przyjazne wołania zeskakiwały z muru w popłochu i pędziły na duże drzewo widniejące wśród pobliskiego pola. Twarze i dłonie miały całkiem czarne; wyglądały wcale inteligentnie, jednak mniej były sprytnie i psotne od innego gatunku mniejszych brunatnych małpek.

"Dlaczego myślisz tak natarczywie? Tak niespokojne, tak rozpaczliwie natrętne! Rób co chcesz, nie dasz im rady. Są w ciągłym ruchu, jak te małpy na drzewie, a ten ruch męczy i wyczerpuje. Nie można od nich uciec, zdają się wszędzie nas ścigać. Staramy się je stłumić, a one za chwilę znów podnoszą głowę; i nigdy nie mamy spokoju, nigdy ciszy; analizy, przeglądy, gonitwy i ciągłe samoudręczenie. We śnie, czy na jawie, nie ma różnicy, wir myśli wcale nie ustaje. Chyba nigdy nie spocznę, nigdy się nie uspokoję."

Czyż myśl może być kiedykolwiek w bezruchu, w spokoju? Można *myśleć* o spokoju, lub zmuszać się do ciszy, ale czy myśl może być w ogóle sama przez się spokojna? Czyż nieustanna ruchliwość nie stanowi jej właściwej natury? Czy myśl nie jest odpowiedzią na nieustannie, co chwila pojawiające się wyzwania życia? A te nie mogą ustać, bo wszak każdy ruch życia jest wyzwaniem; a jeśli tych wyzwań nie jesteśmy świadomi, jeśli przestajemy je słyszeć i być na nie wrażliwi, oznacza to tylko zanik żywotności w nas, martwość i śmierć. Wyzwanie-odpowiedź to ruch samego życia. Ale

odpowiedzi dawane przez nas mogą być odpowiednie lub nieodpowiednie, a te niewłaściwe, niewspółmierne, jakby rozmiijające się z wyzwaniem odpowiedzi, dają początek myślom z całym ich niepokojem. Wyzwania życia żądają czynów nie słów; nie werbalizacji, ta jest myślą. Słowo, symbol opóźniają czyn; pojęcie to słowo, pamięć jest słowem również. Nie ma pamięci - wspomnienia - bez słowa, bez symbolu. Pamięć jest słowem, jest myślą; a czyż myśl może dać pełną odpowiedź na wyzwania życia? Wyzwania to nie pojęcia, nie idee. Wyzwanie jest zawsze nowe, świeże, nieoczekiwane; a myśl-pojęcie czy może kiedykolwiek być nowe? Gdy spotykamy myślą wiecznie nowe, świeże wyzwanie, czyż odpowiedź którą dajemy nie jest wypadkową przeszłości, a więc starego i zwietrzałego?

Gdy starym spotykamy nowe, spotkanie to jest zawsze niewspółmierne, niecałkowite, i owa niecałkowitość jest myślą w jej wiecznie niespokojnym szukaniu pełni. Ale czy myśli i pojęcia mogą w ogóle być pełnią? Wszak jedno i drugie to odpowiedź pamięci, a ta jest zawsze cząstkowa, niepełna. Przeżycie jest odpowiedzią na wyzwanie, odpowiedzią uwarunkowaną przez przeszłość, - przez obrazy wspomnień, lub wyobraźni - więc tylko powiększa nasze ograniczenia. Przeżycia nie wyzwają, tylko w nas wzmacniają wierzenia i poglądy, wzbogacają pamięć, i z tej pamięci wychodząc dajemy na wyzwanie odpowiedź; więc przeżycia są także czynnikami ograniczającym.

"Jakież w takim razie miejsce zajmuje myśl?"

Czy chcecie spytać jakie jest miejsce myśli w stosunku do czynu? Czy pojęcia pełnią w nim jakąś funkcję? Idee urabiają czyn, rządzą nim, zmieniają jego kierunek; ale idea nie jest czynem. Odwrotnie, wierzenia i poglądy są rodzajem ochrony, bronią nas przed koniecznością czynu; pełnią rolę zarządcy, czynnika kontrolującego i urabiającego czyn; idee stanowią wzór dla czynu.

"Ale czyż może istnieć czyn bez wzoru, bez planu?"

Nie, nie może jeśli nam chodzi o rezultat. Ale czyn który dąży do obranego, z góry określonego, celu, nie jest czynem, jest tylko naśladownictwem, stosowaniem się do przekonań i wyobrażeń. Gdy idzie o naśladowanie, o dostosowywanie się, tedy myśl, pojęcie, idea zajmują poczytne miejsce. Funkcją myśli jest tworzenie wzorów, programów, schematów, wedle których ma się kształtować tzw. czyn; ale to jest zabijaniem żywego, bezpośredniego czynu i o to właśnie wielu ludziom chodzi, chcą oni uniemożliwić bezpośredni czyn, zabić go w jego kolebce; a idee, wierzenia, dogmaty najskuteczniej w tym dopomagają. Czyn bezpośredni to rzecz niebezpieczna, to otwartość na nieznaną; a myśli i przekonania - czyli znane - są świetną przed nieznanym obroną. Myśl nigdy nie zdoła przeniknąć w nieznaną; musi całkowicie ucichnąć aby nieznaną mogło się objawić. Działanie nieznanego wykracza poza pole funkcjonowania myśli; a czując to, świadomie lub nieświadomie, z całym uporem trzymamy się myślą tego co jest znane. I w rezultacie owo "znane" odpowiada na wyzwania życia, które są zawsze niewiadome i nieoczekiwane; i z tej niewspółmiernej, niewystarczającej odpowiedzi powstaje chaos, zamęt, tarcia i udręki. Dopiero gdy znane - a więc pojęcia, myśli, idee - całkowicie zniknie, nieznaną może począć działać. A jest ono bezgraniczne.

I. 56. WYŁĄCZNOŚĆ W POSIADANIU

Przyszedł z żoną, gdyż - jak mówił - mają wspólną trudność do rozwiązania. Była drobna, o żywych i wesołych oczach, czuło się w niej jednak duży niepokój. Oboje byli prości i serdeczni; on władał dobrze angielskim, ona tyle tylko że rozumiała i potrafiła sklecić parę prostych pytań. A gdy nie mogła uchwycić sensu trudniejszych wyrażen, zwracała się do męża, który tłumaczył je na ich język. Opowiadał że pobrali się dawno, niemal przed dwudziestu pięciu laty; mieli kilkoro dzieci, ale nie one stanowiły trudność, a stosunek i tarcia pomiędzy nimi samymi. Miał posadę która wystarczała na ich skromne potrzeby, dodawał jednak iż trudno jest żyć w spokoju w dzisiejszych czasach, zwłaszcza gdy się ma żonę; podkreślał przy tym te nie narzeka, jeno stwierdza. Spełniał jak mógł najlepiej swe obowiązki małżonka, a nie zawsze było to łatwe.

Wyczuwało się jak bardzo było im trudno poruszyć główny, bolesny punkt, więc przez pewien czas rozmawiało się o różnych innych rzeczach - o wychowaniu dzieci, o wydaniu córek za mąż, o kosztach obrzędów i niedawnej żałobie w rodzinie, itd. Czuli się swobodnie, nigdzie się nie spieszyli, tak miło im było mówić z kimś kto umiał słuchać, a może mógł i pomóc.

Któż gotów jest dziś słuchać długich opowiadań o czyichś trudnościach i strapieniach? Tyle mamy własnych kłopotów i trosk iż zawsze brak nam czasu na zapoznawanie się z cudzymi. By znaleźć chętnego słuchacza trzeba za to sownie zapłacić - monetą, modłami lub przekonaniem. Ci których to jest fachem oczywiście słuchają nas, ale zazwyczaj nie daje nam to trwałej ulgi. A chciałoby się móc wypowiedzieć się swobodnie i samorzutnie, bez żadnych późniejszych żalów. Pełne oczyszczenie przez wyznanie nie tyle zależy od słuchającego, ile od tego który mówi i pragnie otworzyć serce; to serdeczne otwarcie się jest najważniejsze, a gdy ono zaistnieje zawsze znajdzie się ktoś - choćby przechodzień czy żebrak - przed którym będziemy mogli się wypowiedzieć. Analityczna introspekcja nie otwiera serca, raczej odwrotnie, zamyka nas i przygnębia, jest też zgoła bezużyteczna. Otworzyć się to wsłuchiwać, nie tylko w siebie samego, ale w każdy prąd myślo-czuć, w każdy ruch życia wokół nas. Można nie móc nic poradzić na to, co usłyszymy, ale sam fakt że jesteśmy otwarci i przyjmujemy zwierzenia, ma swoją wymowę i aktywność. Takie wsłuchanie się w drugiego człowieka oczyszcza także nasze własne serce, wymiata zeń wszystko co należy do intelektu. Słuchanie intelektem to tylko odmiana plotkowania; nie przynosi ono ulgi a tym mniej oswobodzenia, ani słuchającemu ani temu który mówi; jest tylko przedłużaniem udręki, a to jest głupie.

Powoli zbliżyli się do sedna sprawy, która ich do mnie przyprowadziła.

"Przyszliśmy właściwie omówić naszą trudność - oto jesteśmy zazdrośni, a raczej ja nie, ale ona bardzo. Choć przedtem nigdy nie była tak otwarcie i wyraźnie zazdrosna jak teraz, jednak musiało to w niej tkwić od dawna, choć w przytłumionej formie. Zdaje mi się że nigdy nie dałem jej do tego powodu ale ona zawsze coś wynajdzie."

Czy sądzicie że musi istnieć jakiś powód, jakiś grunt dla zazdrości? Czy zazdrość zniknie gdy się pozna jej przyczynę? Czy nie zauważyliście że nawet gdy się odkryje przyczynę, zazdrość trwa nadal? Nie szukajmy więc powodów, a przyjrzyjmy się samej zazdrości. Jak mówicie można zawsze coś wynaleźć, o co się będzie zazdrosnym, toteż samą zazdrość trzeba rozpatrzeć i zrozumieć, a nie jej przedmiot czy pretekst.

"Zazdrość była we mnie od bardzo dawna. Nie znałam dobrze mego męża gdyśmy się pobierali... wiecie jak się to dzieje - zazdrość wciska się powoli coraz więcej, jak ten dym w kuchni."

Zazdrość jest jedną z form "trzymania" tego, kogo się posiada - mężczyzny czy kobiety. Im bardziej jesteśmy o kogoś zazdrośni tym poczucie posiadania jest większe; a posiadać coś czy kogoś daje nam zadowolenie; móc powiedzieć o czymś: to moje, moje własne - choćby to był pies - budzi w nas dziwne uczucie ciepła i swojskości. Wyłączność posiadania napawa nas jakąś pewnością siebie i wrażeniem bezpieczeństwa. Posiadanie czegoś na własność nadaje ważność naszej osobie i właśnie tej naszej wzmożonej ważności trzymamy się tak namiętnie. Czuć że posiadamy - nie taką rzecz jak ołówek czy dom - a człowieka, zwiększa w nas siłę i napełnia jakimś pełnym samozadowolenia zaspokojeniem. Zazdrość w istocie nic dotyczy bezpośrednio tego drugiego człowieka; żywimy ją tak chętnie dlatego że nadaje wartość i ważność naszej osobie.

"Ależ ja wcale nie czuję się ważna, jestem niczym, a mąż mój jest wszystkim co mam, nawet dzieci się nie liczą."

Wszyscy mamy coś - jakąś jedną rzecz, czy osobę - której się kurczowo trzymamy, choć może się to wyrażać w rozmaity sposób. Ty się trzymasz męża, a inni dzieci, jeszcze inni przekonani czy wierzeń; ale treść, pobudka jest ta sama. A pozbawieni tego jedyne przedmiotu czujemy się rozpaczliwie, beznadziejnie straceni; czyż tak nie jest? Tak bardzo obawiamy się pozostać zupełnie sami a strach ten przejawia się jako zazdrość, ból czy niechęć. Zazdrość niewiele się różni od nienawiści.

"Ależ my się przecie kochamy."

Jeśli tak, jakże możecie zazdrościć? Nie, w istocie nie kochamy nikogo i to jest najsmutniejsze. Używasz męża, a on używa ciebie, dla swej wygody, dla towarzystwa, dla przyjemności, dla obrony przed samotnością. Materialnie możecie posiadać niewiele, ale przynajmniej posiadacie wzajemnie siebie. I tą obustronną potrzebę nazywacie miłością.

"Ależ to straszne!"

Nie, nie jest wcale straszne, aleśmy nigdy nie spojrzeli w to uważnie; mówimy: "straszne", czyli kwalifikujemy, nadajemy miano i szybko, jak najszybciej odwracamy się; właśnie to w tej chwili robisz.

"Wiem, ale ja nie chcę patrzeć. Chcę dalej żyć jak żyłam, być taką jaką jestem, nawet z moją zazdrością, bo nic innego nie widzę w życiu."

Gdybyś miała coś innego w życiu nie byłoby zazdrości o męża, nieprawdaż? Uchwyciłabyś się tej innej rzeczy, jak teraz trzymasz się męża, no i byłabyś o tanto zazdrosna. Chciałabyś znaleźć jakąś wartość zastępczą, nie pragnąc wcale uwolnić się od zazdrości. Wszyscy robimy to samo; zanim puścimy jedno, chcemy upewnić się w posiadaniu czegoś innego. Ale dopiero w całkowitej niepewności nie ma miejsca na zazdrość; gdy coś posiadamy i chcemy być pewni że to się da utrzymać, zazdrość się rodzi. Wyłączność jest poczuciem pewności posiadania; posiadać to być zazdrosnym. W poczuciu własności ukrywa się niechęć. W istocie nienawidzimy to, co posiadamy, i to się przejawia w zazdrości. Gdzie jest posiadanie tam nie ma miłości; posiadać to znaczy zniweczyć wszelką miłość.

"Zaczynam rozumieć. Tak. więc chyba nigdy męża nie kochałam. Dopiero

teraz to widzę."

I rozpląkała się.

I. 57. POCZUCIE GODNOŚCI WŁASNEJ

Przyszła z trzema przyjaciółkami; rozmowa była poważna, nacechowana godnością, jaką daje inteligencja. Jedna rozumiała w lot, druga była nieco niecierpliwa w swej żywości, a trzecia szczerze zainteresowana, lecz niezbyt skupiona; tworzyły zgrany zespół gdyż wszystkie brały serdeczny udział w problemie przyjaciółki, a jednak żadna nie wysuwała własnych rad i opinii; chciały pomóc jej postąpić według jej własnego poczucia słuszności, bez oglądania się na tradycję i opinię publiczną i bez trzymania się własnych uprzedzeń. Ale trudność polegała na pytaniu: co było w tym wypadku słuszne. Sama dobrze nie wiedziała, czuła się stracona i pełna wahań. Ale konieczność czynu była nagląca, nie można było dłużej zwlekać. Chodziło o zerwanie związku osobistej natury. "Chcę być zupełnie wolna" powtarzała parokrotnie i zdecydowanie.

W pokoju było cicho, nerwowe podniecenie znikło; wszystkie gorąco i szczerze chciały zgłębić zagadnienie, nie oczekując natychmiastowej odpowiedzi ani określonej definicji co w danym wypadku byłoby czynem słusznym. Uważały iż w miarę obnażania problemu i zrozumienia go, słuszny czyn wyłoni się sam, prosto i naturalnie. Ważne było dotarcie do sedna problemu, a nie szukanie od razu pełnej odpowiedzi, gdyż każda byłaby tylko wyrozumowanym wnioskiem, jeszcze jedną radą czy opinią, i nie rozwiązywałaby wcale problemu. Wiedziały że trzeba zgłębić i zrozumieć sam problem - gdyż w nim się ukrywał właściwy czyn - a nie troszczyć się o swoje nań reakcje.

Słońce kładło się na rzekę szeroką złotą smugą a wody igrały drobnymi falami; przecięła je łódź o białym żaglu, lecz płąsu falek nie zmaciła. Był to wesoły płas czystej radości. Drzewa były pełne przekomarzających się ptaków, jedne czyściły piórka, inne gawrzyły lub odlatywały by za chwilę powrócić. Parę małą obrywało świeże listki i pchało je garściami w usta; wiotkie gałązki uginały się pod ich ciężarem tworząc długie wygięte łuki, ale małe trzymały się zręcznie a mocno, i wcale się nie bały; jakże swobodnie i lekko przerzucały się z jednej gałęzi na drugą, odbicie się od jednej a usadowienie na drugiej było jakby jednym płynnym ruchem. Siadały wysoko, ze spuszczone niemal do ziemi ogonami i zrywały listki wokoło, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi przechodzących pod drzewem. Wraz ze zmierzchem setki papug szukało schronienia na noc wśród gęstwy listowia. Widziało się jak przelatywały i znikły między gałęziami drzew. Młody miesiąc wynurzył stęż nad horyzontu, a z oddali dobiegł gwizd pociągu który przechodził właśnie przez długi most nad zaginającą się wielkim łukiem rzeką. Rzeką to była święta; lud ciągnął do niej ze wszystkich stron kraju by zanurzyć się w jej wody, wierząc iż te spluczą wszystkie grzechy. Każda rzeka jest piękna i święta, a uroda tej była w majestatycznej szerokości i harmonijnie zaginającym się potężnym łuku, w piaszczystych wysepkach wśród ogromu wód, i cichych, białych żaglów łodzi sunących codziennie to w dół, to w górę rzeki.

"Chcę być od tego związku wolna" powiedziała niewiasta której problem mieliśmy rozpatrzyć. .

Co pani rozumie przez chęć wolności? Gdy pani mówi: "chcę być wolna" czy znaczy to że pani wolna nie jest? Na czym ten brak wolności polega?

"Fizycznie jestem wolna, nie jestem już jego żoną i mogę udać się gdzie mi się podoba; ale chcę być wolna całkowicie, nie chcę po prostu mieć nic z tym człowiekiem wspólnego."

Cóż panią z nim wiąże, jeśli fizycznie jest pani zupełnie wolna? Czy istnieje pomiędzy wami jeszcze jakieś inne związanie ?

"Nie wiem, ale mam tyle do niego żalu i gniewu. Nie chcę mieć z nim nic, ale to nic wspólnego!"

"Chce pani być wolna a jednocześnie ma pani do niego niechęć i żal? Więc nie jest pani od niego wolna. Cóż jest tego oburzenia i żalu przyczyną ?

"Dopiero niedawno zobaczyłam jaki on jest naprawdę, przekonałam się jaki jest mały, nędzny, jak bardzo samolubny, bez krzty miłości i dobroci. Trudno mi nawet wyrazić jak okropne ujrzałam w nim cechy. Gdy pomyślę że mogłam być o tego człowieka zazdrosna, że go uwielbiałam i całkowicie mu się poddawałam, dreszcz obrzydzenia mnie przejmuję. Przekonanie się że jest głupi i przebiegły gdy ja wierzyłam że jest idealnym mężem kochającym i dobrym, obudziło mój mściwy żal, niemal nienawiść. Gdy myślę o naszym związku, czuję się skalana, brudna. Ach chcę być całkiem od niego wolna!"

Może pani być wolna od niego fizycznie, ale póki trwa żal i gorycz, niechęć, nie jest to prawdziwa wolność. Jeśli pani ma niechęć czy nienawiść do niego, jest pani z nim związana, a jeśli panią dręczy za niego wstyd, znaczy to że jest pani dotąd pod jego władzą. Czy gniew pani zwraca się ku niemu czy też ku sobie samej ? Jest on taki jaki jest, po cóż się nań o to gniewać? Czy ten żal jest naprawdę do niego ? Czy też gdy ujrzała pani *to co jest* wstyd panią ogarnął za siebie, za swe dotychczasowe o nim pojęcie i cały ten związek? Czyż nie jest oczywiste że właściwa pani pretensja nie kieruje się do niego a raczej do siebie samej, za swój mylny sąd, za swe własne czyny. To za siebie pani się wstydzi; a że nie chce pani tego przyznać, obwinia pani jego za to że jest taki jaki jest. Gdy pani zrozumie że ten gniew na niego jest jeno ucieczką przed wstydem za własne romantyczne idealizowanie go, przed wstrętem do siebie za swój stosunek do niego wówczas on sam znika z obrazu. Wstydzi się pani siebie i ma niechęć do siebie, nie do niego. Wszak właściwie do siebie ma pani ten gorzki żal.

"Tak, to prawda."

Jeśli pani to zobaczy i istotnie przyjmie bez zastrzeżeń za fakt, będzie pani od tego człowieka wolna, przestanie on być przedmiotem niechęci. Nienawiść, podobnie jak i miłość, zwiazuje.

"Ale jak uwolnić się od wstydu za swe własną głupotę i krótkowzroczność? Widzę teraz jasno iż on jest taki jaki jest i że nie można mieć mu tego za złe; ale jak się oczyścić, jak się pozbyć tego uczucia wstydu i poniżenia, tego gorzkiego żalu który narastał i gromadził się we mnie powoli, aż wybuchnął teraz, w tej przełomowej chwili? Jak zetrzeć i wymazać przeszłość?"

Zrozumienie *dla czego* chce pani wymazać tę przeszłość, jest stokroć ważniejsze aniżeli odkrycie *co* ją może zniweczyć. Intencja z jaką podchodzi się do danego problemu jest ważniejsza niżli odkrycie *co i jak* trzeba zrobić. *Dla czego* chce pani wyrzucić z pamięci wszystko co było z tym stosunkiem związane?

"Wspomnienia tych lat napawają mnie wstrętem. Pozostawiły mi niesmak. Czyż nie jest to dostateczny powód?"

Niezupełnie. Co jest przyczyną chęci wymazania wszystkich tych wspomnień, przecie nie tylko ten niesmak po nich? Nawet gdyby się pani udało, tym czy innym sposobem, wyrzucić z pamięci ową przeszłość, nie byłoby to żadną gwarancją że nie popełni pani znów czynów po których pozostałby nowy niesmak i wstyd. Samo pozbycie się jakichś przykrych wspomnień nie rozwiązuje problemu.

"Sądziłam że rozwiązuje. Ale cóż w takim razie jest tym problemem ? Czy nie komplikujecie tego za bardzo ? Już i tak mam dość komplikacji w moim życiu, po cóż dodawać mi, ciężaru?"

Czyż naprawdę dodajemy do istniejącego ciężaru, czy też raczej staramy się zrozumieć wszechstronnie *całość* zagadnienia, a więc i uwolnić się od niego? Jeszcze trochę cierpliwości! Zastanówmy się co jest pani pobudką, co jest u podstaw tej chęci by wymazać przeszłość? Może ona być przykra, ale czemu powstaje tak żywa chęć wymazania jej? Ma pani pewne pojęcie, pewien obraz siebie, a owe wspomnienia temu obrazowi przeczą; czy nie dlatego powstaje chęć pozbycia się ich? Ma pani pewien szacunek dla siebie, pewne poczucie własnej godności, nieprawdaż?

"Oczywiście, inaczej jakżebym..."

Wszyscy mamy pewne wyobrażenia o sobie, stawiamy siebie na pewnym poziomie - zazwyczaj wysokim - i wciąż z tych wyżyn spadamy; właśnie tego upadku tak się wstydzimy bo przeczy naszemu wygórowanemu o sobie mniemaniu. Poczucie godności własnej jest przyczyną wstydu ogarniającego nas gdy spadamy z piedestału na który siebie postawiliśmy. Trzeba zrozumieć to wysokie poczucie godności osobistej a nie upadek, którego ono jest przyczyną.

Gdybyśmy nie stawili siebie na jakiejś wyżynie, nie byłoby możliwości upadku. Po cóż więc stawić siebie na piedestale zwanym godnością osobistą, szacunkiem ludzkim, miłością własną, ideałem itp.? Jeśli potrafi to pani zrozumieć, wstyd za przeszłość sam zniknie, nie będzie w ogóle możliwości wstydzania się za siebie; będzie pani tym, czym pani jest, bez żadnych koturnów ani piedestałów. Gdy się nie staje na wyżynach z których się patrzy na innych bądź z góry, bądź z dołu, jest się wówczas tym czym się w istocie jest, a tego dotychczas nie chciała pani zobaczyć. To uchylanie się od widzenia tego co *jest*, od widzenia siebie taką jaką się jest, stwarza cały ten zamęt, wstyd, rozterkę i niechęć. Oczywiście nie ma potrzeby mówienia mnie, lub komukolwiek innemu, o tym jaką pani siebie, bez złudzeń, zobaczy; wystarczy zdawać sobie z tego sprawę, bez względu na to czy jest to przyjemne czy przykre; trzeba żyć z tą prawdą, nie usprawiedliwiając siebie, ani protestując ; trzeba przyjąć prawdę tego, jaką się jest, i żyć z nią bez nadawania jej żadnych nazw, gdyż samo nazywanie już zawiera w sobie oskarżenie i sąd. Żyć z tym trzeba dalej bez lęku, gdyż lęk uniemożliwia proste przyjęcie prawdy, uniemożliwia prawdziwy kontakt, nawet ze sobą samym. Nie mając miłości nie da się żyć ciągle z tą prawdą o sobie; bez miłości nie wymaże się tego co jest przeszłością; a gdzie jest miłość tam przeszłość znika. Miłujcie, a czas przestanie istnieć.

I. 64. PŁOMIENÍ A DYM

Upał panował dzień cały i trudno było wychylić się z domu. Refleksy na białych domach czyniły jeszcze ostrzejszym rażący blask wody i szosy, ziemia, tak niedawno zielona, ciemniała teraz złotawym brązem spalonej gleby. Strumyk pobliski wysechł, a łożysko jego świeciło wstęgą żółtego piasku. Parę krów pasło się w cieniu drzew, a pastuszek siedzący opodal bawił się rzucaniem kamyków i podśpiewywał dla rozweselenia swej samotności, wioska bowiem leżała o parę mil dalej. Był to szczupły, wąty ale wesoły chłopaczyna, a piosnki jego wcale nie były smutne.

Na drugim stoku wzgórza stał nasz dom, dotarliśmy doń dopiero o zachodzie. Z górnego tarasu widziało się czubki palm kołyszące się jak fale nieskończonego morza zieleni, aż do nadbrzeżnych piasków. Zieleń palm była też brązowawe złota, a cienie ich żółtawe. Poza szerokim pasem piachów w oddali rozciągało się zielonkawo-szare morze; białe grzywy fal rzucały się na brzeg, ale dalej, ku głębiom, wody były spokojne. Obłoki ponad morzem zabarwiły się jaskrawo pod promieniami zachodzącego słońca. Wkrótce zabłysła wieczorna gwiazda. Świeży wiatr nadleciał od morza, ale kamienie tarasu były jeszcze rozgrzane.

Na dole czekało parę osób na rozmowę.

"Jestem mężatką i matką kilkorga dzieci, a przecie nie wiem czym jest miłość. Zaczynam powątpiewać czy ona w ogóle istnieje. Znamy wrażenia, namiętności, emocje, podniety i zaspakajające nasze pożądanía rozkosze, ale wątpię byśmy znali miłość. Wprawdzie nieraz mówimy że kochamy, ale nigdy całym sobą, zawsze coś zatrzymujemy dla siebie; nie fizycznie, fizycznie oddajemy się całkowicie, zwłaszcza na początku, ale może nawet i tu pozostaje jakaś reszta. To, co dajemy jest tylko darem zmysłów, a to, co naprawdę mogłoby darzyć, jest dalekie, chyba wcale w nas nie obudzone. Spotykamy się wśród dymu i gubimy się w nim, a o płomieniu nie wiemy nic. Dlaczego nie ma w nas płomienia? Czemu nie pali się on jasno i czysto, bez nijakiego dymu? Czyśmy się stali aż tak wykształceni i sprytni? Czy obarcza nas za dużo wiadomości byśmy mogli czuć dogłębnie i prosto i żywić w sercu ten prawdziwy aromat? Co do mnie, sądzę że jestem na to za bardzo odczytana, zbyt współczesna i rozpaczliwie powierzchowna. Pomimo zdolności do błyskotliwej rozmowy wydają się sobie głupia i nudna."

Czyż miłość ma coś wspólnego z inteligencją lub głupotą? Czy jest to świetlany ideał, owo "niedosięgalne", które się daje zdobyć tylko pod pewnymi warunkami? A my nie mamy czasu aby je wypełniać. Wiele mówimy i piszemy o pięknie, malujemy je i staramy się wyrażać w tańcu, jakże często prawimy o nim kazania; a przecie sami sobą nie tworzymy piękna, i nie znamy miłości. Znamy tylko słowa.

Być otwartym i bezbronnym - to wrażliwość; a dawać i jednocześnie coś zatrzymywać - to twardość i niewrażliwość. Człowiek bezbronny jest niepewny jutra, a więc od tego jutra wolny; w tym co jest otwarte mieści się niezmiernie wiele; jest ono w stanie wyjść na spotkanie nieznanego. Proste, bezbronne, otwarte, jest też i piękne; a zamykające się w sobie jest tępe, niewrażliwe, ociężałe. Ociężałość i głupota zarówno jak i spryt, to formy samoobrony. Otwieramy jedno okno, a inne trzymamy zamknięte, gdyż chcemy by świeży wiatr wlatywał tylko poprzez okno któreśmy świadomie wybrali. Nigdy nie wychodzimy sami w szeroką, otwartą przestrzeń; nie otwieramy też nigdy na oścież *wszystkich* okien i drzwi.

Wrażliwości nie nabywa się stopniowo, z biegiem czasu. Człowiek tępy i ociężały nigdy nie stanie się wrażliwy, tępy pozostanie tępy. Głupota nie może zmienić się w inteligencję; usiłować *stać się* inteligentnym jest po prostu niedorzecznością. A przecie na tym polega jedna z największych naszych trudności: wciąż staramy się *stawać się* czymś większym i lepszym; ale tępota i ociężałość w nas trwają i wcale nie ustępują.

"Cóż więc mamy robić?"

Nic. Nie rób nic, bądź taką jaką jesteś - czyli niewrażliwą. "Robić coś" to uchylać się od *tego co jest*, a takie uchylanie się to najcięższa głupota. Niewrażliwy nie stanie się wrażliwym, wszystko co może zrobić to zdać sobie sprawę z tego *jaki jest*, czyli ze swej niewrażliwości i pozwolić by ona wyjawiała mu swą pełną treść. Nie trzeba w ten proces wtrącać się intelektem, nie trzeba chcieć zmienić swoją niewrażliwość, bo ten kto się wtrąca i chce zmiany jest właśnie głupi i niewrażliwy. Trzeba wsłuchać się w *to co jest*, a ono odsłoni nam całą swą zawartość, swe źródło i treść; nie staraj się jej tłumaczyć, nie chciej też zaraz działać, tylko słuchaj pilnie, nie przerywając, nie interpretując, słuchaj całej opowieści do końca. Dopiero wówczas możesz podjąć czyn. Robienie nie jest ważne, słuchanie jest najważniejsze.

Aby moc dawać musi istnieć niewyczerpane, bezdenne źródło. Gdy dając, zatrzymujemy chociaż trochę dla siebie, motywem jest zawsze strach że się to skończy, że się wyczerpie i nic w nas nie pozostanie. Ale tylko gdy coś istotnie się kończy, może wychylić się bezdenne i niewyczerpalne. Ale w dawaniu naszym zwykle nic się nie kończy; dajemy z dużej zawartości, czy też z małej, ale i ta duża i ta mała jest ograniczona, jest dymem, jest dawaniami ale i braniem - więc wymianą. Dym to pożądanie, czyli zazdrość, złość, rozczarowanie; dym to lęk przed uchodzeniem czasu, to pamięć, to doświadczenie. Nie masz w tym prawdziwego darzenia, a to, co się rozszerza i wzmacnia to tylko dym. Zatrzymywanie czegoś dla siebie jest nieuniknione, bo właściwie nie mamy *nic* do dania. Dzielenie się nie jest darzeniem; sama świadomość dawania czy dzielenia się uniemożliwia najgłębszy kontakt, prawdziwe obcowanie. Dym nie jest płomieniem, a my go najczęściej bierzemy za płomień i z nim go utożsamiamy. Bądźmy świadomi dymu, czyli *tego co jest*, nie starajmy się jednak rozpraszać go ciągłym dmuchaniem, chcąc ujrzeć płomień.

"Czy jest możliwe poznać w sobie ten płomień? czy też jest on dostępny tylko nielicznym?"

Nie jest ważne czy jest on dla wszystkich, czy dla niewielu; jeśli się będziemy nad tym zastanawiać zaplączemy się dalej w utudę. Płomień jest dla nas ważny, on musi skupić naszą uwagę; czy może się w nas pojawić ten płomień bez dymu? Przekonajmy się. Obserwujmy dym cicho, uważnie, cierpliwie; rozproszyć go nie możemy, gdyż sami nim *jesteśmy*, ale gdy dym się rozejdzie, promień sam się ukaże. A ogień ten jest niezniszczalny, nie gaśnie nigdy. Wszystko ma swój początek, ma też swój koniec, prędko wyczerpuje się i niszczy. Gdy serce jest czyste, wolne od wpływu intelektu, a umysł wolny od myśli, wówczas jawi się miłość. Tylko to, co jest puste, bez zawartości nijakiej, jest niewymierne i niewyczerpalne.

Płomień nie zмага się z dymem; tylko różne odruchy i reakcje ścierają się ze sobą wśród dymu. Płomień i dym nigdy ze sobą nie walczą, bo do walki potrzebny jest jakiś kontakt, jakiś stosunek, czy wspólna płaszczyzna, a coż *ten* płomień może mieć z dymem wspólnego? Jeden się pojawia gdy drugi

znika.

Jiddu KRISHNAMURTI
UWAGI O ŻYCIU

wybór z tomów 2 i 3

Przekład Wandy Dynowskiej

Commentaries on Living: Second Series. From the Notebooks of J.

Krishnamurti. Ed. by D. Rajagopal. London: Victor Gollancz 1959

Uwagi o ludziach i życiu. Tom II. Madras: Biblioteka Polsko-Indyjska 1968, ss.
204.

SPIS TREŚCI

(numery rozdziałów wg wydania BPI)

1. [Radość twórcza](#)
2. [Bez-obronność](#)
3. Rozpacz i nadzieja
4. Wysilek
5. Lęk wewnętrznej samotności
6. "Ja"
7. Nuda
8. Doznanie szczęścia
9. Co jest istotnym zadaniem nauczyciela
10. Proces nienawiści
11. Zainteresowanie
12. "Co czyni was tak apatycznymi?"
13. Zagadnienie miłości
14. Zadowolenie
15. Czystość
16. Zapomnieć o przeszłości
17. Właściwość pożądań i pragnień
18. Cichość myśli
19. Wychowanie a scalenie naszej natury
20. Śmierć
21. Pogoń za władzą
22. Ograniczenia
23. Obawa śmierci
24. Czemu nie posiadam głębokiej wnikliwości (t. 3)
25. "Chcę znaleźć źródło szczęścia" (t. 3)
26. Wartościowanie
27. Zazdrość a samotność
28. Droga wiedzy
29. [Bezmiar](#)
30. Przyjemność, rozkosz a nałóg (t. 3)
 31. "Czy nie wstąpicie do naszego towarzystwa opieki nad zwierzętami?"
(t. 3)
 - 32.

RADOŚĆ TWÓRCZA

Istnieje miasto położone nad wspaniałą rzeką; szerokie, długie schody wiodą w dół nad sam skraj wody; cały świat zdaje się żyć na tych schodach. Od

najwcześniejszego rana aż do późna w noc są zawsze pełne ludzi i gwaru; prawie na równi z powierzchnią wody, na małych wystających schodkach siadają ludzie pochłonięci pieśnią i czcią swoich bogów, swą nadzieją i tęsknotą. Słyszą dzwony świątyni i wołanie muezina; ktoś śpiewa, a wokół gromadzi się tłum słuchający w pełnym uznaniu milczeniu.

Dalej w górę rzeki za zakrętem, widać szereg budynków, ciągną się po obu stronach alej i wysadzanych drzewami dróg na parę mil w głąb kraju; a idąc wzdłuż rzeki przez wąską, brudną uliczkę wchodzi się w królestwo nauki. Iluż tu studentów ze wszystkich stron kraju, czynnych, ochoczych i hałaśliwych. Profesorowie zadowoleni z siebie, oddają się intrygom dla uzyskania lepszej posady i pensji. Nikt zdaje się nie troszczyć o przeszłość studentów gdy opuszczają uczelnię. Profesorowie przekazują pewną wiedzę i technikę, szybko przyswajaną przez sprytniejszych; a gdy zdają ostatnie egzaminy na tym wszystko się kończy. Profesorowie mają zapewnione posady i zabezpieczenie życia. Wszędzie w kraju mamy takie gmachy, takich nauczycieli i takich uczniów. Niektórzy z nich zdobywają rozgłos i stanowiska; inni dają życie potomstwu, walczą i umierają. Państwo potrzebuje dobrych techników i administratorów by kierować i rządzić; jest też zawsze w odwodzie armia, organizacje wyznaniowe i finansowe interesy. Wszędzie na świecie jest to samo.

Aby nauczyć się techniki, dostać posadę, zdobyć fach, poddajemy się procesowi przeładowywania umysłu faktami i wiedzą. Oczywiście dobry technik ma w dzisiejszym świecie większe szanse zabezpieczenia sobie bytu; ale... co dalej? Czy technik specjalista jest lepiej przygotowany do stawiania czoła złożonym problemom życia, aniżeli inni którzy tego wykształcenia nie posiadają? Fach stanowi tylko część życia, istnieją inne jego dziedziny, bardziej ukryte, subtelne, tajemnicze. Podkreślanie jednej strony, a zaprzeczanie lub lekceważenie reszty, musi z konieczności prowadzić do jednostronnej i szkodliwej działalności. Właśnie to ma dziś miejsce na całym świecie z jego wciąż wzrastającym cierpieniem, walką, chaosem. Istnieją oczywiście nieliczne wyjątki ludzi twórczych, szczęśliwych, mających kontakt z czymś, co nie jest dziełem ludzkich rąk, którzy nie ograniczają się do spraw intelektu.

Wy, moi słuchacze, jak i ja, mamy wrodzoną zdolność do szczęścia, możliwość twórczości, oraz wchodzenia w kontakt z czymś, co istnieje poza chwytem szponów czasu. Radość twórcza nie jest darem przeznaczonym dla niewielu; dlaczegoż tedy znaczna większość ludzi nie zna tej radości? Czemu niektórzy potrafią, pozostawać w kontakcie z głębią, pomimo warunków i przeciwności, gdy inni stają się ich ofiarą i są zmiażdżeni? Czemu niektórzy są prężni, giętki, a inni pozostają uparci i sztywni i życie ich niszczy? Bez względu na wiedzę niektórzy potrafią mieć wrota otwarte ku temu, czego żaden człowiek, ani książka, nie są w stanie dać; a inni zostają przytłoczeni przez technikę i autorytet. Dlaczego? Jasne jest iż nasz intelekt chce być pochłonięty i zabezpieczony w jakiegokolwiek działalności, pomijając drogi szersze i bardziej głębokie, gdyż czuje się być wówczas na pewniejszym gruncie; więc jego wykształcenie, różne ćwiczenia i działalności są utrzymywane na tym poziomie i znajduje się wymówki usprawiedliwiające nie sięganie dalej i wyżej poza nie.

Niejedno dziecko, zanim nie zostanie zepsute przez wychowanie, jest w kontakcie z nieznanym; w różny sposób dzieci to okazują. Ale otoczenie wkrótce zamyka się wokół nich i od pewnego wieku tracą to światło, to piękno,

którego nie znajdzie się w żadnej książce ani szkole. Dlaczego? Nie mówcie że życie jest dla nich zbyt trudne, że muszą stawić czoło twardym koniecznościom istnienia, że to ich Karma, grzech ich ojca, lub inne podobne nonsensy. Twórcza radość jest dla wszystkich, a nie tylko dla paru wybrańców. Wy możecie ją wyrażać w pewien właściwy sobie sposób, a ja w inny, ale jest ona dla wszystkich. Radość twórcza nie ma ceny na rynkach, nie jest towarem do nabycia przez tego, kto więcej zapłaci; jest jedyną rzeczą; która może być wszystkim dostępną.

Czy owa radość twórcza jest osiągalna? Inaczej mówiąc, czy można pozostawać w kontakcie z tym, co jest źródłem wszelkiej radości? Czy takie otwarcie się wewnętrzne może być utrzymane pomimo wszelkiej wiedzy i techniki; pomimo wykształcenia i natłoku wrażeń w naszym życiu? Owszem może, ale tylko wtedy gdy wychowawca będzie wprowadzony w tę rzeczywistość, gdy ten który naucza będzie sam w kontakcie z tym źródłem wszelkiej radości. Więc nie dziecko, nie uczeń stanowi zagadnienie, a nauczyciel i rodzic. Wychowanie staje się zaczarowanym kołem bez wyjścia tylko wówczas gdy nie widzi się zasadniczej; ponad wszystko inne ważnej potrzeby tej twórczej radości. Wszak być otwartym ku źródłu wszelkiego szczęścia jest najwyższą religią, ale aby móc poznać to szczęście trzeba nam skupić na tym właściwą uwagę, jak ją skupiamy na sprawach materialnych. Powołanie nauczyciela to nie tylko posada i rutyna, jest ono wyrazem piękna i radości, które nie dają się mierzyć powodzeniem ni osiągnięciami.

Światło Rzeczywistego i szczęście odeń nieodłączne znikają tam, gdzie pasuje intelekt, on to jest siedliskiem naszego "ja".

Poznanie siebie jest początkiem mądrości; bez niego wiedza prowadzi do walki, ciemnoty, cierpienia i udręczeń.

BEZ-OBRONNOŚĆ

Być bez-obronnym to żyć, cofać się i zamykać to zamierać.

Huragan zniszczył zbiory, woda morska rozlała się po polach. Pociąg włókł się powoli, a po obu stronach toru widniały czubki drzew, domy bez dachów i opustoszałe pola Burza zniszczyła wiele żywych stworzeń, wyrządziła dużo szkód na wiele mil wokoło; naga ziemia patrzyła otwartym okiem w niebo.

Nigdy nie jesteśmy prawdziwie sami; otaczają nas wciąż ludzie i cały tłum własnych myśli, patrzymy na wszystko poprzez ich zasłonę, nawet wówczas gdy jesteśmy z dala od ludzi. Nie ma ani chwili, albo są one niezmiernie rzadkie, gdy znika myśl. Nie wiemy naprawdę co znaczy być samym, wolnym od wszelkich asocjacji, od wszystkich obrazów i słów. Czujemy się nieraz osamotnieni, ale nie wiemy czym jest istotna samotność. Ból osamotnienia ciąży sercu, a umysł przysłania go lękiem. Owo głębokie odosobnienie jest jak mroczny cień towarzyszący naszemu życiu. Robimy wszystko co się da aby od niego uciec, ale ów cień wciąż idzie za nami i nigdy nie jesteśmy odeń wolni. Odosobnienie jest jakby przyjętą metodą naszego życia; niezmiernie rzadko jednoczymy się z kimś, bowiem sami w sobie jesteśmy rozdarci, skłócenii, w rozterce. Nikt z nas nie ma w sobie pełni i całkowitości, a jednoczenie się z innymi jest możliwe tylko gdy człowiek jest w sobie wewnętrznie scalony i jednolity. Obawiamy się samotności, gdyż pozostanie sam na sam ze sobą zmusza nas niejako do spojrzenia we własną płytkość i

ubóstwo; a przecie właśnie prawdziwa samotność może uzdrowić ową wciąż pogłębiającą się ranę osamotnienia. Iść zupełnie samemu, bez narzucających się i zawadzających myśli, bez pożądań i pragnień, to przekroczyć granice umysłu; bo to on wyosabnia nas, oddziela i uniemożliwia wszelkie jednoczenie się z czymś poza nami. Nie da się scalić umysłu, nie można uczynić go jednolitym, bowiem sam wysiłek ku temu jest odosabniającym procesem, jest częścią osamotnienia, którego nie można niczym przystłonić. Umysł jest wytworem wielości; a to, co składa się z części nie może być nigdy scalone i samoistne. Samotność, jednolitość, nie jest wytworem ani rezultatem myśli. Dopiero gdy myśl całkowicie ucicha może zaistnieć lot jednego w Jedno.

Dom znajdował się nieco z dala od drogi, otaczał go przepych kwiatów. Był świeży ranek, a niebo świeciło mocnym błękitem; poranne słońce było miłe, a w zacienionym, nieco w dole położonym ogrodzie nie słyszało się ulicznego gwaru, ani nawoływań sprzedawców i odgłosów kopyt końskich na bruku; cały ten hałas zdawał się bardzo daleki. Koza o małym ruchliwym ogonku, wdarała się do ogrodu i zabierała się już do kwiatów gdy nadszedł ogrodnik by ją wypędzić.

Mówiła iż czuje wielki niepokój, a niespokojną być nie chce; chciałaby uniknąć tych przykrych stanów niepokoju i niepewności. Dlaczego tak się obawia wytrącającego z równowagi niepokoju?

Co pani rozumie mówiąc "niepokój"? I dlaczego jest taki przed nim lęk?

"Chcę być w ciszy, chcę aby mnie pozostawiono w spokoju. Nawet Wy budzicie we mnie niepokój. Choć widziałam Was dopiero parę razy, ciąży mi obawa że zakłóćcie mój spokój. Chcę zrozumieć czemu jest we mnie ten strach przed wewnętrzną niepewnością. Pragnę być w ciszy, w pokoju ze sobą, a tymczasem wciąż nie jedno to drugie ten mój spokój narusza. Do niedawna udawało mi się, mniej lub bardziej, utrzymać ten spokój ze sobą, ale oto ktoś z przyjaciół wziął mnie na któryś z waszych wykładów, i czuję się teraz zupełnie wytrącona z równowagi. Sądziłam że wzmocnicie mnie w moim spokoju, a tymczasem rozbiliście go niemal doszczętnie. Nie chciałam tu przyjść, bo wiedziałam że będę wyglądać na głupią, a jednak przyszedłam."

Dlaczego tak bardzo pani chodzi aby być w spokoju! Dlaczego robi pani z tego tak ważną sprawę? Wszak usilna chęć równowagi staje się sama w sobie konfliktem, czyż nie? Czy mogę spytać o co właściwie pani chodzi? Jeśli pani tak bardzo zależy na odosobnieniu, spokoju i ciszy, dlaczegoż pani pozwala aby ją cokolwiek wstrząsało? Wszak można z łatwością pozamykać drzwi i okna naszej istoty, odciąć się od wszystkiego i żyć w takim odosobnieniu jak w pustelni. Większość ludzi właśnie tego pragnie. Niektórzy kultywują świadomie takie izolowanie się; inni przez swe pożądania myśli i czyny, zarówno oczywiste jak ukryte, sprowadzają takie odosobnienie i odłączają się od wszystkich. Ludzie szczerzy stają się dumni ze swych cnót i ideałów, które w istocie stanowią tylko ich samoobronę; a lekkomyślni bywają pchnięci w odosobnienie jakby bez ich woli, przez ciśnienia ekonomiczne, lub wpływy społeczne. Większość z nas wciąż usiłuje otoczyć się murem ochronnym, aby nas nic nie mogło dotknąć, ale na nieszczęście zawsze się w nim znajdzie jakąś szpara przez którą wciska się życie.

"Na ogół udawało mi się odeprzeć wiele niepokojów, ale przez ostatnich parę tygodni, dzięki Wam, byłam bardziej niż kiedykolwiek . wytrącona z równowagi. Powiedzcie mi, proszę, dlaczego jestem tak niespokojna, co jest

tego przyczyną?"

Dlaczego chce pani poznać przyczynę? Oczywiście w nadziei iż poznanie jej pomoże do pozbycia się jej skutków. W istocie wcale pani nie chodzi o poznanie przyczyny, a tylko o uniknięcie niepokoju.

"Ach, ja chcę tylko aby mi dano święty spokój! Chcę być sama i w ciszy, więc czemu mnie wciąż coś wytraca z równowagi?"

Odosobnienie było samoobroną, czyż nie? I właściwie chodzi pani o znalezienie sposobu zamknięcia wszystkich wylotów, a wcale nie o odkrycie jak można żyć bez lęku i bez uzależniania się. Z tego co pani powiedziała, jak i co pozostało niedopowiedziane, wynika jasno że usiłowała pani zabezpieczyć się przed wszelkim wewnętrznym niepokojem; usunęła się pani od wszelkich stosunków z ludźmi które mogłyby spowodować cierpienie. Na ogół doskonale się pani udało unikać wszelkich wstrząsów i żyć poza zamkniętymi drzwiami i oknami. Niektórym ludziom to się rzeczywiście udaje; ale jeśli posunąć to dość daleko kończy się w domu wariatów. A innym się to nie udaje, ci wpadają w cynizm i rozgoryczenie; jeszcze inni bogacą się umyślnie nabywając wiedzę lub dobra materialne, i te stają się ich samoobroną. Większość ludzi, nie wyłączając tzw. religijnych, pragnie stałego, niezamąconego spokoju, stanu w którym by ustały wszelkie rozterki i tarcia. Z drugiej strony istnieją ludzie którzy sławią walkę, jako jedyny prawdziwy wyraz życia, dla tych walka staje się ich tarczą obronną przed życiem.

Czyż można kiedykolwiek, osiągnąć spokój chroniąc się poza mury własnych leków i nadziei? Przez całe życie cofała się pani i zasłaniała chcąc czuć się bezpieczną w obrębie bardzo ograniczonych stosunków z ludźmi, i to takich w których pani mogła górować i nimi rządzić. Czyż nie jest to sednem pani zagadnienia? Ponieważ pani się uzależnia, przeto rodzi się chęć zapanowania nad tym, co panią uzależnia. Obawia się pani i unika wszelkich stosunków w których nie może pani być czynnikiem kierowniczym; czyż tak nie jest?

"Jest to brutalne sformułowanie, ale chyba słuszne."

Gdyby pani mogła opanować przyczynę obecnego niepokoju nastąpiłby spokój; ale że się to nie udaje, więc panią to korci. Wszyscy chcemy opanować to, czego nie możemy zrozumieć; pragniemy posiąść, lub być posiadany, gdy boimy się siebie. Niepewność w sobie rodzi uczucie wyższości, wyodrębniania się i wyłączenia.

Czy mogę spytać czego się pani tak obawia? Czy boi się pani pozostać samą, wykluczoną z czegoś, czy też pchnięcia w stan niepewności?

"Widzicie, całe życie żyłam dla innych, albo sama w to wierzyłam; wyznawałam pewien ideał, i wciąż mnie chwalono za sprawność w pracy którą uważa się za dobrą; prowadziłam życie samozaparcia się, bez domu, bez rodziny, bez żadnego zabezpieczenia. Siostry moje dobrze powychodziły za mąż, są dziś znane i poważane w towarzystwie; bracia zajmują wyższe państwowe stanowiska. Gdy ich odwiedzam wydaje mi się że zmarnowałam życie. Ogarnia mnie rozgoryczenie i żal za tym, czego sobie odmawiałam. Straciłam wszelkie zamiłowanie do mojej pracy, nie daje mi już żadnego zadowolenia, przekazałam ją innym. Odwróciłam się od tego wszystkiego. Jak słusznie zauważyliście stwardniałam w samoobronie. Mój młodszy brat, który nie jest dobrze sytuowany i uważa siebie za szukającego Boga, stał się dziś

moją jedyną ostoją. Staralam się jakoś zabezpieczyć się wewnątrznie, ale była to długa i żmudna walka. Właśnie ten młodszy brat przyprowadził mnie na jeden z waszych wykładów; i mój, z takim trudem wznoszony gmach, zaczął chwiać się i walić. Ach, gdybymż była nigdy was nie usłyszała! A teraz nie zdołam już nie odbudować, nie byłabym w stanie przejść raz jeszcze tej męki. Nie macie pojęcia czym dla mnie było widzieć mych braci i siostry na wysokich stanowiskach, bogatych, wpływowych, poważanych. Ale nie będę się teraz nad tym rozwodzić. Odeszłam od nich i rzadko się widzimy. Jak powiedzieliście, zrywałam powoli wszystkie stosunki prócz zaledwie paru; ale na moje nieszczęście przyjechaliście do naszego miasta, i teraz znów wszystko ożyło, dawne rany się pootwierały, cały ból się odnowił. I cóż mam teraz począć?"

Im więcej się bronimy, tym bardziej się wzmagają naciski których chcemy uniknąć; im więcej dbamy o zabezpieczenie się, tym ono bardziej się wymyka; im goręcej pragniemy spokoju, tym większą staje się nasza rozterka; im więcej żądamy, tym mniej jest nam dane. Robiła pani wszystko co się dało aby uodpornić się na wszelkie wstrząsy i ciosy; stała się pani wewnątrznie niedostępna dla wszystkich, a wyjątkiem paru ludzi, zamknęła pani szczelnie drzwi przed życiem. Jest to powolne samobójstwo. Spytajmy czemu pani to wszystko robiła? Czy zadała pani sobie kiedy to pytanie? Czy nie chce się pani dowiedzieć? Przyszła pani tutaj, albo aby znaleźć sposób jeszcze dokładniejszego zamknięcia wszystkich drzwi, albo aby odkryć czy i jak można być otwartą i bez-obronną wobec życia. O które z tych dwóch pani chodzi, ale nie jako rozumowy wybór, a proste, bezpośrednie życzenie?

"Widzę teraz że nie jest możliwe zamknięcie wszystkich wokół siebie drzwi, gdyż zawsze jakaś szpara zostanie. Rozumiem teraz że wszystko co robiłam było dyktowane ukrytą przyczyną, którą był mój własny lęk niepewności; on to tkwił u podłoża zarówno uzależniania się, jak żądzy panowania. A że pomimo mej chęci nie dało się opanować każdej sytuacji, przeto ograniczałam moje kontakty do paru takich, która mogłam utrzymać i nimi rządzić. Widzę to wszystko. Ale jakże zdołam być znów otwartą, swobodną, bez lęku tej wewnętrznej samotności?"

A czy rozumie pani iż trzeba być otwartą i bez-obronną? Jeśli pani nie widzi tej prawdy, tedy znów zbuduje pani cichaczem różne mury i schrony wokół siebie. Widzieć jasno prawdę w tym co jest błędne, to początek mądrości; a widzieć błąd jako błąd jest najwyższym rozumieniem. Jeśli pani zobaczy że wszystko co pani robiła przez te lata może tylko prowadzić do dalszej walki i cierpienia, jeśli pani tę prawdę przeżyje - a nie tylko powierzchownie ją przyjmie - już samo to przeżycie położy kres temu co było. Nie da się świadomie, umyślnie otworzyć się ku światu; żadne działanie woli nie jest w stanie uczynić nas bezobronnymi, samo pragnienie tego wywołuje opór. Tylko przez poznanie i zrozumienie błędu jako błędu można się odeń uwolnić.

Niech pani się stara być odbiorczo czujną obserwując swoje zwykłe dotychczasowe reakcje; niech pani po prostu zdaje z nich sprawę bez żadnego protestu ni oporu; proszę obserwować je niejako biernie, jak obserwowałyby pani dziecko, bez przyjemności, lub niesmaku, utożsamienia się z obserwowanym. Taka odbiorcza czujność jest sama w sobie bez-obronnością, uniemożliwia zamykanie się. Być bez-obronnym to żyć, zamykać się i cofać to zamierć.

BEZMIAR

Dolina leżała w dali, poniżej, a była pełna ruchu. Słońce skrywało się poza odległą górę na horyzoncie, a cienie były długie i ciemne. Był cichy wieczór z lekkim podmuchem od morza. Rzędy pomarańczowych drzew były czarne, a na długiej, równej drodze, co biegła prosto przez całą dolinę, jawił się od czasu do czasu błysk, gdy promień zachodzącego słońca odbił się w powierzchni ..pędzącego samochodu. Wieczór był pełen czaru i spokoju.

Myśl zdawała się ogarniać szeroką przestrzeń i nieskończoną odległość, a może raczej zdawała się rozszerzać bez końca; a poza i ponad umysłem istniało coś co ogarniało wszystko. Mysi trochę walczyła, chcąc poznać i spamiętać to, co było poza nią; więc jej zwykła ruchliwość cichła; ale nie mogła pochwycić tego, co nie z jej pochodziło natury. Niebawem wszystko, z myślą włącznie, zostało przez ową bezmiarność ogarnione.

Wieczór stawał się coraz ciemniejszy, a dalekie szczekanie psów nie naruszało tego, co się rozciągało ponad wszelką świadomość. Nie można o tym myśleć i umysłem doświadczać. Czymże więc było to, co ujrzało, i co jest świadome czegoś, tak zupełnie odmiennego od myślowych. projekcji? Kto tego doznaje? Oczywiście nie jest to umysł codziennej, zwykłej pamięci, i reakcji. Czy istnieje więc jakiś inny umysł, czy też część umysłu jest uśpiona, a zbudzić ją może tylko to, co jest poza i ponad myślą? Jeśli tak, tedy w głębi umysłu trwa ciągle to, co jest ponad myśl i ponad czas. Jednak to nie może być, gdyż jest to tylko spekulującą myślą, a więc jednym więcej ułudnym jej wyobrażeniem.

Jeśli ten ogrom, ten bezmiar jest przez pracę myśli zrodzony, tedy co zdaje sobie z niego sprawę? Czy to umysł jako doznający jest jej świadom, czy też to bezmierne jest siebie samo świadome, gdy doznający znika? Nie było go gdy to zaistniało schodząc z góry, a jednak świadomość myśli była zgoła inna, w rodzaju, jak i w stopniu, od tego, co jest niewymierne. Umysł nie działał, był jeno czujny i odbiorczy, i choć zauważał podmuchy wiatru igrające wśród listowia, w nim samym żaden nie istniał ruch. Nie było obserwatora który mierzy obserwowane. Było tylko to, i owo to było świadomie siebie, bez nijakiej miary. Nie miało ono początku i nie miało słów.

Myśl wie iż nie jest w stanie pochwycić doświadczeniem i słowem tego co zawsze trwa, jest bezczasowe i bezmierne.